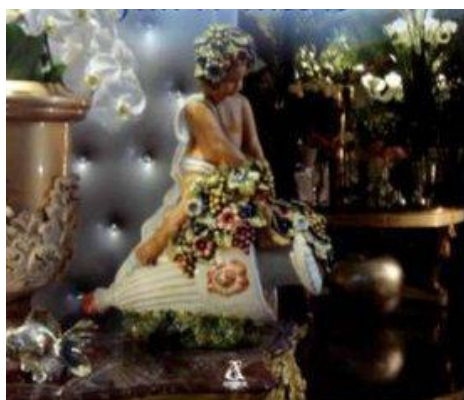




*Julia Quinn*



*Jak w niebie*

*Tytuł oryginału Just Like Heaven*

TTLR

*Dla Pam Spengler–Jaffee.*

*Pod każdym względem jesteś boginią.*

*A także dla Paula, chociaż gdy poprosiłam go o poradę medyczną,  
by uratować chorego bohatera, odpowiedział: „Musi umrzeć”*

## *Prolog*

Marcus Holroyd zawsze był sam.

Jego matka zmarła, kiedy miał cztery lata, ale wywarło to zadziwiająco niewielki wpływ na jego życie. Hrabina Chatteris matkowała synowi tak samo jak jej matka swoim dzieciom – z daleka. Nie świadczyło to o braku odpowiedzialności, gdyż z wielkim oddaniem i dumą wyszukała dziedzicowi swojego męża najlepszą niańkę. Panna Pimm miała pod sześćdziesiątkę i wychowała już spadkobierców dwóch księżąt i wicehrabiego. Lady Chatteris położyła niemowlę w ramionach panny Pimm, przypomniawszy jej, że hrabiemu szkodzi truskawki, więc z dzieckiem może być tak samo, a potem wyjechała bawić się na balach podczas londyńskiego sezonu. Do czasu śmierci matki Marcus widział ją dokładnie siedem razy.

Lord Chatteris bardziej niż żona lubił życie na wsi, częściej więc rezydował w Fensmore, ogromnym pałacu z epoki Tudorów w północnym Cambridgeshire, zbudowanym na planie litery U. Holroydowie mieszkali tam od pokoleń. Ale dla syna był takim samym ojcem, jak jego ojciec dla niego. Co oznacza, że kiedy już upewnił się, że dziecko w wieku trzech lat posadzono na konia, nie uważał za konieczne się nim interesować do czasu, kiedy chłopiec będzie na tyle duży, aby można z nim było w miarę sensownie rozmawiać.

Hrabia nie chciał się żenić ponownie, chociaż radzono mu, żeby zapewnił sobie na wszelki wypadek drugiego dziedzica.

Kiedy patrzył na Marcusa, widział chłopca inteligentnego, wysportowanego, o znośnym wyglądzie. Co najważniejsze, zdrowego jak rydz.

Hrabia nie miał podstaw przypuszczać, że Marcus może rozchorować się i umrzeć, nie widział więc powodu, aby poddawać się torturom ponownego szukania narzeczonej, a co gorsza brać sobie na głowę następną żonę. W zamian za to postanowił inwestować w syna.

Marcus miał najlepszych nauczycieli. Wprowadzono go w arkana wszystkiego, co tylko może przydać się dżentelmenowi. Potrafił nazwać każdy okaz miejscowej fauny i flory. Jeździł konno, jakby urodził się w siodle, a jeśli nawet nie udało mu się wygrać żadnego turnieju szermierczego czy strzelniczego, jego umiejętności w tych dziedzinach znacznie wykraczały ponad przeciętność. Znakomicie mnożył i dodawał długie słupki, nie marnując przy tym ani kropli atramentu. Umiał czytać teksty greckie i łacińskie.

Zanim skończył dwanaście lat.

Co, prawdopodobnie przypadkiem, zbiegło się z wiekiem, w którym ojciec stwierdził, że jest szansa na sensowne rozmowy z nim.

Ponadto postanowił, że Marcus powinien zrobić krok naprzód w swojej edukacji, to znaczy wyjechać z Fensmore, by uczęszczać do Eton College, gdzie wszyscy Holroydowie rozpoczynali swoją formalną naukę. Nieoczekiwanie okazało się to najszcześniejszym wydarzeniem w życiu chłopca, gdyż Marcus Holroyd, dziedzic hrabiego Chatteris, nie miał przyjaciół.

Ani jednego.

W północnej części hrabstwa Cambridge nie było chłopców, z którymi Marcus mógłby się bawić. Najbliżej mieszkali szlachetnie urodzeni Crowlandowie, lecz oni mieli same dziewczynki. Następni w hierarchii byli ziemianie bez tytułu szlacheckiego, co w tych okolicznościach można by zaakceptować, ale ich synowie ani trochę nie pasowali do Marcusa wiekiem. Lord Chatteris nigdy by się nie zgodził, aby jego syn zadawał się z chłopami,

dlatego więc po prostu zatrudnił więcej nauczycieli. Chłopiec, który ma dużo zajęć, nie jest samotny, a poza tym jego syn nie może przecież biegać po polach i łąkach z rozbisurmanionymi dziećmiakami piekarza.

Gdyby hrabia zapytał o zdanie Marcusa, niewykluczone, że usłyszałyby coś całkiem innego. Ale hrabia widywał syna tylko raz dziennie, tuż przed wieczornym posiłkiem. Ich rozmowa trwała około dziesięciu minut, potem Marcus szedł do pokoju dziecięcego, a hrabia do jadalni i na tym koniec.

Z perspektywy czasu granoczyło z cudem, że Marcus nie czuł się w Eton bardzo nieszczęśliwy. Na pewno nie potrafił nawiązywać kontaktów z rówieśnikami. Pierwszego dnia, kiedy wszyscy pozostali chłopcy biegali jak (cytując lokaja jego ojca, który przywiózł go do szkoły) banda dzikusów, Marcus stał z boku, usiłował nikomu się nie przyglądać i sprawiać wrażenie, że chce trzymać dystans i patrzeć w drugą stronę.

Nie wiedział, jak się zachować. Ani co powiedzieć.

Ale Daniel Smythe-Smith wiedział.

Poza tym, że Daniel Smythe-Smith był dziedzicem hrabiego Winstead, miał pięcioro rodzeństwa i trzydzieścioro dwoje braci i sióstr ciotecznych. Jeśli kiedykolwiek jakiś chłopiec umiał dogadywać się z dziećmi, to na pewno Daniel. Już po kilku godzinach stał się niekwestionowanym królem najmłodszych chłopców w Eton. Miał coś w sobie – beztroski uśmiech, szczerść i otwartość, ani śladu nieśmiałości. Był urodzonym przywódcą: szybko podejmował decyzje i sypał dowcipami jak z rękawa.

I przydzielono mu łóżko tuż obok Marcusa.

Zostali najlepszymi przyjaciółmi, a kiedy Daniel na pierwsze ferie zaprosił Marcusa do siebie do domu, ten pojechał. Rodzina Daniela mieszkała w Whipple Hill, niedaleko Windsoru, więc Daniel mógł często ją odwiedzać. Natomiast Marcus... Cóż, trudno powiedzieć, żeby mieszkał aż w Szkocji, ale

podróż do północnego Cambridgeshire trwała dłużej niż dzień. A ponadto jego ojciec nigdy nie jeździł do domu na mało ważne święta, więc nie widział powodu dla którego miałby to robić jego syn. Toteż kiedy nadeszła następna przerwa w nauce i Daniel poprosił Marcusa, ten znowu go odwiedził. A potem znowu. I znowu.

I znowu – w efekcie Marcus więcej czasu spędzał ze Smythe–Smithami niż z własną rodziną. No tak, jego rodzina składała się dokładnie z jednej osoby, niemniej kiedy Marcus się nad tym zastanawiał (a robił to dość często), stwierdzał, że dłużej przebywa z każdym z członków rodziny Smythe–Smithów niż z własnym ojcem.

Nawet z Honorią.

Honorcia, najmłodsza siostra Daniela, w przeciwieństwie do pozostałych Smythe–Smithów nie miała rodzeństwa w swoim wieku, tylko dużo starsze, najmniej o dobrych pięć lat. Była, jak się wydaje, owocem szczęśliwej wpadki we wspaniałej karierze prokreacyjnej lady Winstead.

Ale pięć lat to nie lada przepaść, zwłaszcza jeśli ma się tych lat za ledwie sześć. Właśnie tyle liczyła Honorcia, kiedy Marcus ją poznał. Jej trzy starsze siostry były już zamężne albo zaręczone, a jedenastoletnia Charlotte nie chciała z nią mieć nic wspólnego. Podobnie jak Daniel, ale samotność musiała nedorzecznie zmiękczyć serce Honorii, gdyż kiedy wracał ze szkoły, chodziła za nim jak szczeniak.

– Nie patrz jej w oczy – powiedział kiedyś do Marcusa, kiedy nie chcieli jej zabrać na wycieczkę nad jezioro. – Jeśli jej nie zignorujesz, już po nas.

Zdecydowanie maszerowali przed siebie i nie odwracali głów. Wybierali się na ryby, a kiedy Honorcia ostatnio z nimi poszła, wyrzuciła im wszystkie robaki.

– Daniel! – krzyknęła.

– Nie zwracaj na nią uwagi – mruknął Daniel.

– Daniel!!! – krzyk przeszedł w pisk.

Daniel się skrzywił.

– Szybciej – ponaglił. – Jeśli uda nam się dotrzeć do lasu, nie znajdzie nas.

– Wie, gdzie jest jezioro – przypomniał mu Marcus.

– Tak, ale...

– Daniel!!!

– Wie, że matka urwie jej głowę, jeśli sama pójdzie do lasu. Nawet ona nie jest na tyle głupia, żeby ją aż tak prowokować.

– Dan... – Honoria przerwała. A potem, głosem tak żalnym, że zmięczyłby najtwardsze serce, powiedziała: – Marcus?

Odwrócił się.

– Neeee! – jęknął Daniel.

– Marcus! – ucieszyła się Honoria. W podskokach pobiegła do przodu, a potem odbiła się na obu nóżkach i stanęła przed nimi.

– Co robicie?

– My idziemy na ryby – warknął Daniel. – Ty nie.

– Ale ja lubię łowić ryby.

– Ja też. Bez ciebie. Wygięła usta w podkówkę.

– Nie płacz – szybko powiedział Marcus. Na Danielu nie zrobiło to wrażenia.

– Udaje.

– Nie udaję!

– Tylko nie płacz – powtórzył Marcus, bo to było dla niego naprawdę najważniejsze.

– Nie będę – odparła i zatrzepotała rzęsami – jeśli pozwolicie mi ze sobą pójść.

Skąd sześciolatka umie trzepotać rzęsami? A może nie umie? Już chwilę później krzywiła się i tarła oko piąstką.

– Co znowu? – spytał Daniel.

– Coś mi wpadło do oka.

– Może mucha – podpuścił ją Daniel. Honoria krzyknęła.

– Nie trzeba było tak mówić – stwierdził Marcus.

– Wyjmij ją! Wyjmij! – wrzeszczała.

– Och, uspokój się – zezłościł się Daniel. – Nic ci nie jest. Ale ona dalej krzyczała i biła się rączkami po buzi. W końcu

Marcus chwycił jej ręce, a głowę unieruchomił: skronie Honorii ścisnął jej rączkami, a na nich położył swoje dłonie.

– Honoria – powiedział stanowczo. – Honoria! Zamrugła, głęboko odetchnęła i w końcu się uspokoiła.

– Nie ma żadnej muchy.

– Ale...

– To pewnie była rzęsa.

Usta ułożyły jej się w małe „o”.

– Mogę cię już puścić?

– Uhm.

– Nie zaczniesz wrzeszczeć? Pokręciła przecząco głową.

Marcus powoli ją puścił i zrobił krok w tył.

– Mogę z wami iść? – zapytała.

– Nie! – Daniel prawie zawył.

Tak naprawdę Marcus też tego nie chciał. Miała sześć lat! I w dodatku była dziewczyną.



– Będziemy bardzo zajęci – powiedział, ale nie był tak wściekły jak Daniel.

– Słucham?

Marcus jęknął. Wydawała się taka biedna i opuszczona, kiedy tam stała z rozmazanymi na policzkach łzami. Miała jasnobrązowe włosy z przedziałkiem po jednej stronie, ściągnięte lekko do tyłu i przytrzymane spinką. Sięgały trochę poniżej ramion. Proste i wiotkie, byle jak układały się na karku. I te oczy – prawie dokładnie w tym odcieniu, co oczy Daniela, jasnofiołkowoniebieskie, ogromne, mokre i...

– Mówiłem ci, żebyś jej nie patrzył w oczy – rozzłościł się Daniel.

Marcus jęknął.

– Może ten jeden raz...

– Świetnie. – Podskoczyła jak spłoszony kociak, a potem spontanicznie i (na szczęście szybko) uścisnęła Marcusa.

– Och, dziękuję, Marcus! Dziękuję. Jesteś najlepszy ze wszystkich! Najlepszy z najlepszych! – Zmrużyła oczy i przerażająco dorosłym spojrzeniem obrzuciła Daniela. – Nie to, co ty.

– Jestem dumny z tego, że jestem najgorszy. – Zadarł w górę podbródek.

– Wszystko mi jedno – oznajmiła i chwyciła Marcusa za rękę. – Idziemy?

Spuścił wzrok i popatrzył na jej rączkę w swojej. Poczul się dziwnie, nigdy czegoś takiego nie doświadczył. Poniewczasie zrozumiał, że to panika. Nie pamiętał, kiedy ktoś ostatnio wziął go za rękę. Może jego niańka? Nie, ona lubiła chwytać go za przegub. Kiedyś podsłuchiwał, jak mówiła gosposi, że w ten sposób może go mocniej przytrzymać.

Ojciec? A może matka, zanim zmarła?

Serce waliło mu jak młotem. Poczuł, że rączka Honorii wilgotnieje w jego dłoni. Pewnie się poci – on albo ona, ale raczej on.

Spojrzał na nią. Zadarła do góry głowę i radośnie się do niego uśmiechała. Puścił jej rączkę.

– No, musimy już iść – powiedział zmieszany – dopóki jeszcze jasno.

Oboje Smythe–Smithowie popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

– Dopiero południe. Jak długo chcesz być na tych rybach? – spytał Daniel.

– Nie wiem – bronił się Marcus. – Trochę czasu to zajmie.

Daniel pokręcił głową.

– Ojciec właśnie zarybił staw. Wystarczy nagarnąć wody do buta, żeby złapać rybę.

Honorcia zachichotała.

Daniel natychmiast odwrócił się do niej. – Nawet o tym nie myśl.

– Ale...

– Jeśli moje buty znajdą się w pobliżu wody, każę cię rozedrzeć na strzępy.

Nadaśała się i spuściła wzrok.

– Miałam na myśli moje buty – mruknęła pod nosem.

Marcus parsknął śmiechem. Honorcia natychmiast spojrzała na niego z miną kogoś, kogo zdradzono.

– Bardzo mała byłaby ta ryba – powiedział szybko.

Nie wyglądała na udobruchaną.

– Takich małych się nie je – brnął dalej. – To prawie same ości.

– Chodźmy – mruknął Daniel.

I wyruszyli. Szli przez las, a Honorcia przebierała nóżkami dwa razy szybciej, żeby za nimi nadążyć. Cały czas trajkotała.

– Właściwie to nie lubię ryb – oznajmiła między innymi. –Strasznie śmierdzą. A smak mają taki... rybi...

A w drodze powrotnej:

– Nadal mi się zdaje, że ta różowa była już dość spora i nadawałaby się do zjedzenia. Gdyby ktoś lubił ryby, chociaż ja nie lubię. Ale gdyby ktoś lubił...

– Nigdy więcej jej już z nami nie zabieraj – powiedział Daniel do Marcusa.

– Ja ich nie lubię. Ale mama chyba tak. I na pewno smakowałaby jej taka różowa...

– Jasne – zapewnił go Marcus.

Krytykowanie małej dziewczynki wydawało mu się szczytem grubiaństwa, ale Honoria naprawdę była męcząca.

– ...a Charlotte nie. Charlotte nie znosi tego koloru. Za nic nie włoży różowego ubrania, bo według niej wygląda wtedy mizernie. Nie wiem, co to słowo znaczy, ale chyba coś niemiłego. A ja lubię lawendowy.

Obaj chłopcy jak na komendę westchnęli i szli dalej. Honoria skoczyła przed nich, zastąpiła im drogę i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Jak kolor moich oczu – dodała.

– Ryba? – spytał Marcus, spoglądając na wiaderko w swojej ręce. O jego ścianki obijały się trzy spore pstrągi. Byłoby ich więcej, ale Honoria przypadkiem je kopnęła i dwie pierwsze zdobycze Marcusa wylądowały z powrotem w jeziorze.

– Nie. Nie słuchałeś, co mówię?!

Marcus na zawsze zapamiętał tę chwilę. Po raz pierwszy w życiu musiał zmierzyć się z najbardziej irytującym dziwactwem językowym kobiet, czyli pytaniem, na które nie ma dobrych odpowiedzi.

– Lawendowy jak kolor moich oczu – powtórzyła z absolutnym przekonaniem. – Tata mi tak powiedział.

– To na pewno tak jest – odparł Marcus z ulgą.

– Brązowy jest pod kolor moich włosów, ale wolę lawendowy. – Owinęła kosmyk wokół palca.

Marcus w końcu postawił wiaderko na ziemi. Robiło się coraz cięższe, a rączka wrzynała mu się w dłoń.

– O, nie – zaprotestował Daniel; wolną ręką chwycił wiadro Marcusa i podał mu je z powrotem. – Idziemy do domu. – Oстрым wzrokiem zmierzył Honorię. – Z drogi.

– Dlaczego jesteś miły dla wszystkich oprócz mnie? – zapytała.

– Bo straszny z ciebie utrapieniec! – Daniel niemal wrzeszczał.

To prawda, ale Marcusowi i tak było jej szkoda. Czasami. Była właściwie jedynaczką, a on doskonale wiedział, jakie to uczucie. Chciała tylko być z innymi, brać udział w zabawach, przyjęciach, we wszystkim, na co według rodziny ciągle była za mała.

Honorcia przyjęła krytykę bez zmrużenia oka. Na chwilę znieruchomiała i wbiła w brata jadowite spojrzenie. Potem długo, głośno wciągała przez nos powietrze.

Marcus żałował, że nie zabrał chusteczki.

– Marcus. – Odwróciła się twarzą do niego, bo tak naprawdę chodziło jej o to, żeby stanąć plecami do brata. – Chciałbyś się ze mną pobawić w herbatkę?

Daniel parsknął śmiechem.

– Przyniosę moje najładniejsze lalki – powiedziała z wielką powagą.

Boże, tylko nie to!

– I może ciastka – dodała afektowanym głosem, który śmiertelnie go przeraził.

Spanikowany spojrzał na Daniela, ale ten ani myślał mu pomóc.

– To jak? – zapytała Honoria.

– Nie – wykrztusił Marcus.

– Nie? – Spojrzała na niego surowo.

– Nie mogę. Nie mam czasu.

– A co robisz?

Odchrząknął. Dwa razy.

– Różne rzeczy.

– Jakie?

– Różne. – I nagle poczuł się okropnie, bo nie chciał być taki twardy. –

Mamy swoje plany z Danielem.

Honoria znieruchomiała. Dolna warga zaczęła jej drżeć i tym razem Marcus wiedział, że dziewczynka nie udaje.

– Przepraszam – dodał, bo nie chciał robić jej przykrości. Ale na miłość boską, herbatka! Jaki dwunastoletni chłopiec bawiłby się w herbatkę?!

Z lalkami!

Aż się wzdrygnął.

Honoria poczerwieniała ze złości i odwróciła się do brata.

– Zmusiłeś go, żeby tak powiedział.

– Nawet się nie odezwałem – odparł Daniel.

– Nienawidzę cię – wycedziła. – Obu was nienawidzę! Zwłaszcza ciebie, Marcus! Naprawdę cię nie znoszę!

I pobiegła do domu tak szybko, jak na to pozwalały jej chudziutkie nóżki, a więc niezbyt prędko. Marcus i Daniel stali w ciszy i patrzyli, jak się oddala.

Kiedy już prawie dotarła do domu, Daniel kiwnął głową.

– Nienawidzi cię. Oficjalnie zostałeś członkiem naszej rodziny –  
oznajmił.

Rzeczywiście. Od tej chwili należał do rodziny.

Do wiosny 1821 roku, kiedy Daniel wszystko popsuł.

TTLR

Lady Honoria Smythe–Smith była w desperacji.

Desperacko był jej potrzebny słoneczny dzień, mąż, a także, pomyślała, wzdychając z wyczerpania i patrząc, jak jej się właśnie zniszczyły błękitne pantofelki – nowa para butów.

Ciężko opadła na kamienną ławkę przed Sklepem z Tabaką dla Prawdziwych Dżentelmenów pana Hilleforda i przyłgnęła do ściany za sobą, z desperacją (znowu to okropne słowo) usiłując cała wcisnąć się pod markizę. Lało. Po prostu lało! Nie siąpiło, nie padał zwyczajny deszcz, ale lało jak z cebra. A właściwie jak z balii czy wanny, a nawet i z całego jeziora.

Jak tak dalej pójdzie, nie zdziwi się, jeśli spadnie całe morze deszczu.

A w dodatku śmierdziało. Honoria myślała, że najbardziej nie znosi zapachu cygar z obciętymi końcami, ale nie, pleśń była jeszcze gorsza, a na zewnętrznej ścianie Sklepu z Tabaką dla Prawdziwych Dżentelmenów, którym nie przeszkadza, że im żółkną zęby, rozplenilo się coś czarnego, co miało zapach śmierci.

Doprawdy, czy mogłoby ją spotkać coś gorszego?

Ależ, jak najbardziej. Była bowiem (oczywiście) całkiem sama. Deszcz w ciągu trzydziestu sekund przeszedł z mżawki w ulewę. Koleżanki, z którymi wybrała się na zakupy, były po drugiej stronie ulicy i beztrąsko rozglądały się po ciepłym i przytulnym Składzie Wstążek i Błyskotek panny Pilaster. Nie dość, że ten sklep był pełen fikuśnych szmatek z falbankami, to zapach też miał o wiele przyjemniejszy niż okolice budy pana Hilleforda.

Panna Pilaster sprzedawała perfumy. A także suszone płatki róż i maleńkie świece o zapachu wanilii.

Pan Hilleford hodował pleśń.

Honorio westchnęła. Właśnie takie było jej życie.

Zbyt długo stała przed wystawą księgarni. Zapewniała przyjaciółki, że za minutę lub dwie przyjdzie do nich, do sklepu panny Pilaster. Z dwóch minut zrobiło się pięć, a potem, kiedy już chciała przejść przez ulicę, oberwała się chmura i Honorio musiała schronić się pod jedyną markizą po południowej stronie głównej ulicy Cambridge.

Ponuro gapiała się na deszcz i obserwowała, jak woda tłucze o bruk. Krople uderzały z ogromną siłą, rozpryskiwały się i strzelały w powietrze niczym miniaturowe wybuchy. Z sekundy na sekundę niebo robiło się coraz ciemniejsze i jeśli choć trochę znała się na angielskiej pogodzie, to za chwilę powinien zerwać się wicher, a wtedy markiza kompletnie przestanie ją chronić.

Mina całkiem jej zrzędała; Honorio zmrużyła oczy i spojrzała na niebo.

Miała mokre nogi.

Trzęsła się z zimna.

Nigdy, ani razu w całym swoim życiu, nie przekroczyła granic Anglii, co znaczyło, że na angielskiej pogodzie znała się raczej dobrze, więc mogła przewidzieć, że za jakieś trzy minuty będzie jeszcze gorzej.

A myślała, że to niemożliwe.

– Honorio?

Zamrugła i z nieba przeniosła wzrok na karetkę, która właśnie zatrzymała się tuż przed nią.

– Honorio?

Znała ten głos. Marcus?

No nie, tylko tego potrzebuje, żeby wpaść w jeszcze czarniejszą rozpacz. Marcus Holroyd, hrabia Chatteris, wesóły i suchy w eleganckiej karecie! Honorio poczuła, jak opada jej szczeka, choć właściwie czemu się dziwić?



Marcus mieszkał w Cambridgeshire, niedaleko miasta. I jeśli już ktoś miał ją zobaczyć w chwili, kiedy wygląda jak zmokła kura, to właśnie on.

– Mój Boże, Honorio – powiedział, krzywiąc się z typową dla siebie wyniosłością – przemarzłaś chyba do szpiku kości.

Lekko wzruszyła ramionami.

– Trochę się ochłodziło.

– Co ty tu robisz?

– Niszczę sobie buty.

– Co?

– Jestem na zakupach – wyjaśniła, wskazując drugą stronę ulicy – z przyjaciółkami. I kuzynkami. – Co nie znaczy, że kuzynki nie były jej przyjaciółkami. Ale miała tylu kuzynów, że właściwie stanowili kategorię samą w sobie.

Drzwi karety otworzyły się szerzej.

– Wchodź – rzucił. Nie „Proszę, wejdź” ani „Proszę. Musisz się wysuszyć”. Po prostu „Wchodź”.

Inna dziewczyna pewnie pokręciłaby głową i oświadczyła: „Nie możesz mi rozkazywać!” Inna, nieco mniej dumna panna mogłaby tak pomyśleć, nawet gdyby nie odważyła się głośno tego powiedzieć. Ale Honorii było zimno, wygodę ceniła bardziej niż dumę, a co najważniejsze, to był Marcus Holroyd, którego znała od dziecka.

A dokładnie, od kiedy miała sześć lat.

Chyba też wtedy ostatni raz zrobiłam na nim dobre wrażenie, pomyślała z kwaśną miną. W wieku sześciu lat była tak nieznośna, że Marcus z Danielem przezywali ją Moskitem. Kiedy udała, że to dla niej komplement i podoba jej się taka egzotyczna nazwa, choć brzmi groźnie, uśmiechnęli się złośliwie i zmienili to na Robaczek.

Od tej pory na dobre została Robaczkiem.

W dodatku Marcus widział ją już znacznie bardziej przemoczoną. Tak przemoczoną, że kapiała z niej woda. Miała wtedy osiem lat. Wydawało jej się, że ani trochę nie widać jej wśród gałęzi starego dębu na górze Whipple. Marcus i Daniel zbudowali fort u jej podnóża i nie wpuszczali tam dziewczyn. Tak ją obrzucili kamykami, że puściła gałąź i spadła.

Z perspektywy czasu trzeba stwierdzić, że nie powinna była siadać na gałęzi, która zwiesza się nad jezioro.

To on wyłowił ją z wody, bo jej własny brat wcale się o nią nie zatroszczył.

Marcus Holroyd, pomyślała z rozrzewnieniem. Był częścią jej życia, od kiedy sięgała pamięcią. Zanim został lordem Chatteris, a Daniel lordem Winstead. Zanim Charlotte, najbliższa jej wiekiem siostra, wyszła za mąż i wyjechała z domu.

Zanim i Daniel z niego wyjechał.

– Honorio.

Spojrzała do góry. Głos Marcusa był niecierpliwy, ale jego twarz zatroskana.

– Wchodź – powtórzył.

Skinęła głową i posłuchała. Chwyliła jego dużą dłoń i pozwoliła, aby pomógł jej wsiąść do karety.

– Marcus – powiedziała, usiłując usadowić się na kanapce z gracją i nonszalancją, które prezentowałyaby w wytwornej bawialni, pał sześć kałuże pod stopami. – Co za niespodzianka. Miło cię widzieć.

Tylko się w nią wpatrywał, lekko marszcząc ciemne brwi. Była pewna, że zastanawia się, jak najlepiej ją skrzyczeć.

– Mieszkam tu, w mieście. U Royle'ów – wyjaśniła, chociaż nie pytał. –  
Przyjechałyśmy na pięć dni. Cecily Royle, moje kuzynki Sarah i Iris, no i ja. –  
Chwilkę zaczęła na błysk zrozumienia w jego oczach.

– Nie pamiętasz ich, co?

– Tyle masz tych kuzynek – zauważył.

– Sarah ma ciemne, gęste włosy i oczy.

– Gęste oczy – mruknął i się uśmiechnął.

– Marcus!

Zachichotał.

– No dobrze. Gęste włosy. Ciemne oczy.

– Iris jest bardzo blada. Taka rudawa blondynka? – odpowiedziała. –  
Jeszcze nie kojarzysz?

– Z tej rodziny o imionach kwiatów.

Honorcia zachnęła się. Tak, to prawda, że wujek William i ciocia Maria  
wybrali dla swoich córek imiona Rose, Marigold, Lavender, Iris, Daisy. I co z  
tego?

– Znam pannę Royle – powiedział Marcus.

– Jest twoją sąsiadką. Trudno, żebyś jej nie znał. Wzruszył ramionami.

– W każdym razie jesteśmy w Cambridge, bo mama Cecily uważa, że  
mogłybyśmy się trochę doksztalić.

Uśmiechnął się z lekką ironią.

– Doksztalić?

Honorcia zastanawiała się, dlaczego kobiety muszą się doksztalać,  
podczas gdy mężczyźni mogą iść na studia.

– Przekupiła dwóch profesorów, żeby pozwolili nam posłuchać swoich  
wykładów.

– Naprawdę? – spytał zaciekawiony, lecz jakby z powątpiewaniem.

– Życie królowej Elżbiety i jej czasy – wyrecytowała szybko. – A po tym jakiś wykład w grece.

– Znacie grekę?

– Żadna z nas – przyznała. – Ale oprócz tego drugiego był to jedyny profesor, który chciał wyklądać kobietom. – Przewróciła oczami. – Zamierza wygłosić wykład dwa razy pod rząd. Musimy poczekać, aż studenci wyjdą z sali, żeby nas nie zobaczyli i nie zaczęli błaznować.

Marcus, zamyślony, pokiwał głową.

– Skupienie się na nauce w obecności tak porażająco pięknych kobiet jest dla dżentelmena prawie niemożliwe.

Przez jakieś dwie sekundy Honoria myślała, że mówi poważnie. Zerknęła na niego z ukosa i parsknęła śmiechem.

– No wiesz. – Szturchnęła go w ramię. Taka poufałość była nie do pomyślenia w Londynie, ale tutaj, z Marcusem...

W gruncie rzeczy jest przecież jej bratem.

– Jak czuje się twoja mama? – zapytał.

– Dobrze – odparła Honoria, choć prawda wyglądała trochę inaczej. Lady Winstead nie otrząsnęła się po skandalu, który sprawił, że Daniel musiał opuścić kraj. Martwiła się domniemanymi afrontami lub udawała, że jej jedyny syn nigdy nie istniał.

Było to... trudne.

– Chce wyjechać do Bath – dodała Honoria. – Jej siostra tam mieszka. Myślę, że dobrze czułyby się ze sobą. Nie bardzo lubi Londyn.

– Twoja mama? – zdziwił się Marcus.

– Nie tak, jak kiedyś – wyjaśniła Honoria. – Od czasu, kiedy Daniel...  
No wiesz.

Marcus zacisnął usta. Wiedział.

– Myśli, że ludzie nadal o tym mówią – ciągnęła Honoria.

– A mówią?

Bezradnie wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Chyba nie. Nikt nie robił mi bezpośrednich przytyków. Poza tym to było już trzy lata temu. Wydawałoby się, że powinni mieć inne tematy do rozmowy.

– Mnie się wydawało, że powinni mieć inne tematy do rozmowy, kiedy to się stało – oświadczył ponuro.

Honoria uniosła brwi i przyjrzała się jego gniewnej minie. Nie bez powodu bało się go tyle panien. Jej koleżanki przed nim drżały.

No może nie zawsze. Bały się tylko w jego obecności. W samotności siedziały przy swoich sekretarzykach i rysowały swoje imię splecione z jego imieniem – w nedorzecznych zawijasach ozdobionych dwoma sercami i cherubinami.

Bo z Marcusa był nie lada matrymonialny kasek.

Nie ze względu na urodę. Miał ciemne włosy w ładnym odcieniu, oczy też, ale zdaniem Honorii w jego twarzy było coś surowego: brwi zbyt grube, zbyt proste, a oczy trochę za głęboko osadzone.

Jednak coś w nim przyciągało wzrok. Jakaś wyniosłość, cień pogardy, jakby nie znosił błazenady.

Co sprawiało, że dziewczęta za nim szalały, choć często się wygłupiały.

Szeptaly o nim jak o tajemniczym bohaterze z książki albo ponurym, nieodgadnionym czarnym charakterze, który potrzebuje ratunku.

Natomiast dla Honorii był po prostu Marcusem, przy czym „po prostu” wcale nie oznaczało czegoś prostego. Nie znosiła sposobu, w jaki z protekcyjną dezaprobatą na nią patrzył. W jego towarzystwie nadal czuła się nieznośnym dzieckiem albo niezdarną nastolatką.

Ale jednocześnie jego obecność dodawała jej otuchy. Nie spotykali się już teraz tak często, jak dawniej – wszystko się zmieniło, od kiedy Daniel wyjechał – lecz gdy wchodziła do pokoju, gdzie był Marcus...

Czuła się zadziwiająco dobrze.

– Zamierzasz jechać do Londynu na sezon? – zapytała uprzejmie.

– Nie na cały – odparł z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. – Pewne sprawy muszę pozalać tutaj.

– Aha.

– A ty? – zapytał.

Zamrugła.

– Pojedziesz do Londynu na sezon?

Otworzyła usta. Nie mógł przecież mówić tego serio. A gdzie miałyby jechać, biorąc pod uwagę, że jest niezamężna? Zupełnie jakby...

– Śmiejesz się ze mnie? – spytała nieufnie.

– Skądże znowu. – Ale się uśmiechał.

– Nic w tym śmiesznego – obruszyła się. – Nie mam przecież wyboru. Muszę jechać na sezon. Jestem w desperacji.

– W desperacji – powtórzył, a jego twarz wyrażała powątpiewanie. Często miał taką minę.

– W tym roku muszę znaleźć męża.

Poczuła, że kręci głową, choć sama nie widziała powodu, żeby się przeciw temu buntować. Jej sytuacja niewiele się różniła od sytuacji większości koleżanek. Nie ona jedna liczyła na to, że wyjdzie za mąż. Ale nie szukała męża, żeby móc podziwiać obrączkę na palcu albo szczyścić się statusem szykownej młodej matrony. Chciała mieć własny dom. I rodzinę – dużą, hałaśliwą, czasem na bakier z manierami.

Po prostu nienawidziła ciszy, która zawładnęła jej domem. Nie znosiła odgłosu własnych kroków w salonach i tego, że często całe popołudnie nie słyszała niczego innego.

Musi wyjść za mąż, żeby to zmienić.

– No wiesz, Honorio. Twoje życie nie może być aż tak straszne.

Nie musiała na niego patrzeć, żeby wiedzieć, jaką zrobił minę: protekcyjną i sceptyczną, z lekką domieszką nudy. Zacisnęła zęby. Nienawidziła tego tonu.

– Zapomnij, że cokolwiek powiedziałam – burknęła; doprawdy, nie warto usiłować mu tego tłumaczyć.

Wypuścił z płuc powietrze i nawet w tym było coś protekcyjnego.

– W Cambridge raczej męża nie znajdziesz – stwierdził. Sapnęła. Żałowała, że w ogóle poruszyła ten temat.

– Tutejsi studenci są za młodzi – zauważył.

– Mają tyle samo lat, co ja – odparła, łatwo dając mu się wciągnąć w pułapkę.

Ale Marcus nie triumfował; to nie w jego stylu.

– Właśnie po to przyjechałyście do Cambridge, prawda? Żeby spotykać się ze studentami, którzy nie pojechali do Londynu?

– Mówiłam ci, jesteśmy tu, żeby posłuchać wykładów – powiedziała, uparcie patrząc przed siebie.

Kiwnął głową.

– W grece.

– Marcus.

Uśmiechnął się, ale nie szeroko. Marcus zawsze był taki poważny, taki sztywny, że jego uśmiech wyglądał jak półuśmiech u kogoś innego. Honoria zastanawiała się, jak często uśmiecha się tak, że nikt tego nie zauważa. Ma

szczęście, że ona tak dobrze go zna. Ktoś inny pomyślałby, że kompletnie brak mu poczucia humoru.

– Co to było? – zapytał.

Zdziwiona spojrzała na niego.

– Znaczy co?

– Przewróciłaś oczami.

– Naprawdę? – Szczerze? Nie miała pojęcia, czy zrobiła to, czy nie. Ale po co tale uważnie jej się przygląda? To jest Marcus, na miłość boską! Wyjrzała przez okno.

– Myślisz, że przestało padać?

– Nie – odparł, nawet nie odwracając głowy.

Nie musiał. Zadała głupie pytanie tylko po to, żeby zmienić temat. Deszcz nadal bezlitośnie dudnił o karecę.

– Zawieźć cię do Royle'ów? – zapytał uprzejmie.

– Nie, dziękuję. – Wyciągnęła szyję, usiłując dojrzeć coś przez szybę, ulewę i następną szybę i zajrzeć do sklepu panny Pilaster. Nic nie widziała, ale miała dobrą wymówkę, żeby na niego nie patrzeć, więc zrobiła to ostentacyjnie. – Zaraz dołączę do koleżanek.

– Jesteś głodna? – zapytał. – Byłem właśnie w cukierni U Findla i kazałem sobie zapakować do domu kilka ciastek.

Oczy jej rozbliły.

– Ciastek?

Tego słowa właściwie nie powiedziała. Złzło się z westchnieniem. A może z jękiem. Wszystko jedno. Dobrze знаła swoją słabość do słodczy i jego też. Daniel nigdy nie lubił deseru; nieraz ona i Marcus siedzieli we dwójkę nad talerzem ciast i ciasteczek.



Daniel twierdził, że wyglądają jak dzikusy, co doprowadzało Marcusa do wybuchów śmiechu. Honoria nie rozumiała dlaczego.

Schylił się i wyjął coś z pudełka przy swoich nogach.

– Wciąż jeszcze lubisz czekoladę?

– A jakże. – Poczula, że uśmiecha się do niego jak do bratniej duszy. I co dalej?

Roześmiał się.

– Pamiętasz tort zrobiony przez kucharkę?

– Ten, do którego dobrał się pies?

– Prawie się rozbeczałem.

Skrzywiła się.

– Ja chyba płakałam.

– Dostałem jeden kęs.

– A ja nic. Ale zapach był boski – westchnęła tęsknie.

– Tak. – Wyglądał na zachwyconego wspomnieniem tortu. – O tak.

– Wiesz, zawsze podejrzewałam, że Daniel mógł mieć coś wspólnego z tym, że Buttercup dostał się do domu.

– Jestem o tym przekonany. Ta jego mina...

– Mam nadzieję, że mu wlałeś.

– Tak że ledwo zapał – zapewnił.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Ale nie na serio?

Odwzajemnił uśmiech.

– Nie. – Zachichotał, a potem wyjął małe, brązowe, prostokątne ciastko czekoladowe. Smakowite, leżało na czyściutkim kawałku białego papieru. Zapachniało niebiańsko. Honoria z radością głęboko wciągnęła powietrze i uśmiechnęła się.

Potem spojrzała na Marcusa i znowu się uśmiechnęła. To dlatego, że przez chwilę poczuła się sobą, dziewczynką, którą była zaledwie kilka lat temu, kiedy świat stał przed nią otworem jak pełna obietnic jasna, błyszcząca kula. Ogarnęło ją uczucie, z którego braku nie zdawała sobie nawet sprawy: przynależności, bycia na swoim miejscu z kimś, kto zna cię na wylot, a i tak uważa, że warto się z tobą pośmiać.

To dziwne, że właśnie Marcus sprawił, że tak się poczuła.

A jednocześnie z wielu powodów ani trochę nie dziwne.

Wzięła od niego ciastko i niepewnie na nie popatrzyła.

– Niestety nie mam sztucców – niemal za to przeproszał.

– Mogę strasznie nabrudzić – wybąkała z nadzieją, że zrozumie, co naprawdę chciała powiedzieć: „Proszę, powiedz, że nic nie szkodzi, jeśli nakruszę ci w karecie”.

– Ja też zjem jedno. Żebyś nie czuła się osamotniona.

Usiłowała stłumić uśmiech.

– Cóż za wspaniałomyślność.

– To przecież mój dżentelmeński obowiązek.

– Zjeść ciastko?

– Jeden z miłszych dżentelmeńskich obowiązków – przyznał.

Honorcia zachichotała, a potem odgryzła kawałek.

– Ojej!

– Dobrze?

– Niebo w gębie. – Odgryzła kolejny kęs. – To znaczy lepsze niż niebo.

Uśmiechnął się i wziął ciastko. Za jednym razem ugryzł połowę. I kiedy Honorcia przyglądała mu się ze zdziwieniem, włożył do ust drugą – i po ciastku.

To prawda, nie było duże, ale jednak. Ona skubnęła odrobinę swojego, tak żeby jej starczyło na dłużej.

– Zawsze tak robiłaś – powiedział.

Podniosła wzrok.

– Co?

– Wolno jadłaś deser, żeby nas potortuować.

– Lubię, kiedy mi starcza na dłużej. – Spojrzała na niego figlarnie i wzruszyła ramieniem. – Jeśli to dla ciebie tortury, to już twoja sprawa.

– Jesteś bez serca – mruknął.

– Dla ciebie, zawsze.

Znowu zachichotał, a Honoria ze zdziwieniem stwierdziła, jaki inny jest prywatnie. Niemal jakby powrócił stary Marcus, chłopak, który właściwie mieszkał w Whipple Hill. Naprawdę stał się członkiem rodziny, kiedy włączył się nawet do występów w ich strasznych teatrzykach. Za każdym razem grał drzewo i to z jakiegoś powodu zawsze ją bawiło.

Lubiła tamtego Marcusa. Uwielbiała tamtego Marcusa.

Ale od kilku lat go nie było, a jego miejsce zajął cichy, nachmurzony mężczyzna, znany reszcie świata jako lord Chatteris. Smutne to dla niej, lecz chyba jeszcze bardziej dla niego.

Dokończyła ciastko, usiłując zignorować jego rozbawioną minę, a potem wzięła od niego chusteczkę, żeby wytrzeć ręce.

Podziękowała, gdy mu ją oddawała.

Kiwnął głową na „proszę”.

– Kiedy... – zaczął.

Ale przerwało mu gwałtowne pukanie w szybę. Honoria wyteńczyła wzrok, żeby zobaczyć, kto to.

– Przepraszam, sir – powiedział lokaj w liberii. – Czy to lady Honoria?

– Tak.

Honorcia pochyliła się do przodu.

– To jest... no... – Nie miała pojęcia, jak lokaj ma na imię, ale to z nim grupa dziewcząt wybrała się na zakupy. – Jest od Royle'ów. – Zakłopotana uśmiechnęła się do Marcusa, a potem wstała i schyliła się, żeby wysiąść z karety.

– Muszę iść. Koleżanki na mnie czekają.

– Jutro cię odwiedzę.

– Co?! – Znieruchomiała.

Uniósł brwi ubawiony.

– Pani domu chyba się nie pogniewa?

Pani Royle miałyby się gniewać, że chce do niej przyjść nieżonaty hrabia przed trzydziestką? Będę się musiała postarać, żeby nie zorganizowała parady, pomyślała Honorcia.

– Będzie jej bardzo miło – wykrztusiła wreszcie.

– Świetnie. – Odchrząknął. – Strasznie dawno cię nie widziałem. Spojrzała na niego zaskoczona. Była pewna, że nawet o niej nie pomyślał, kiedy oboje byli w Londynie i stroszyli pióra w przygotowaniach do sezonu.

– Cieszę się, że jesteś zdrowa – powiedział nagle.

Nie miała pojęcia, dlaczego ją to zdziwiło. Ale zdziwiło. I to bardzo.

Marcus przyglądał się, jak lokaj Royle'ów prowadzi Honorię do sklepu po drugiej stronie ulicy, a kiedy upewnił się, że jest bezpieczna, trzy razy zastukał w ściankę karety, dając znak woźnicy, żeby jechał dalej.

Zdziwił się, gdy zobaczył ją w Cambridge. Kiedy przebywała poza Londynem, nie bardzo interesował się tym, co ona robi, ale jednak chyba powinien wiedzieć, że jest tak blisko jego domu.

Trzeba zacząć planować wyjazd do miasta na sezon. Nie kłamał, kiedy powiedział, że ma sprawy do załatwienia na miejscu, ale szczerze mówiąc, najzwyczajniej wolał być na wsi. Nie musiał koniecznie być w Cambridgeshire, chociaż jego obecność rozwiązywała wiele problemów.

Nie wspominając już o tym, że nienawidził sezonu. Naprawdę nienawidził. Ale jeśli Honoria zawzięła się, że znajdzie męża, pojedzie do Londynu, aby się upewnić, że nie popełniła katastrofalnego błędu.

W końcu złożył przysięgę.

Daniel Smythe-Smith był jego najbliższym przyjacielem. Nie, jego jedynym przyjacielem, jedynym prawdziwym przyjacielem. Tysiąc znajomych i jeden prawdziwy przyjaciel. Tak mu się układało w życiu.

Ale Daniel wyjechał i o ile nic się nie zmieniło od ostatniego listu, był gdzieś we Włoszech. Mało też prawdopodobne, żeby wrócił, dopóki żyje żądny zemsty markiz Ramsgate.

Cały ten incydent był jednym wielkim nieporozumieniem. Marcus mówił Danielowi, żeby nie grał w karty z Hugh Prentice'em. Ale nie, Daniel tylko się roześmiał i uparł się spróbować. Prentice zawsze wygrywał. Zawsze. Był diabelnie bystry, każdy to wiedział. Matematyka, fizyka, historia – doszło do tego, że uczył wykładowców uniwersytetu. Hugh Prentice nie oszukiwał w grze w karty, po prostu zawsze wygrywał, bo miał niesamowicie dobrą pamięć i umysł, który widział świat we wzorach i równaniach.

Przynajmniej tak powiedział Marcusowi, kiedy razem uczyli się w Eton. Prawdę mówiąc, Marcus nie bardzo rozumiał, o czym on mówi. A był na drugim miejscu z matematyki. Lecz w porównaniu z Hugh... W ogóle nie było porównania.

Nikt zdrowy na umyśle nie grał w karty z Hugh Prentice'em, ale Daniel nie był wtedy w pełni władz umysłowych. Trochę wypił, a poza tym zawróciła

mu w głowie dziewczyna, którą właśnie uwiódł, więc usiadł naprzeciwko Hugh i zagrał.

No i wygrał.

Nawet Marcus nie mógł w to uwierzyć.

Nie żeby myślał, że Daniel oszukiwał. Nikt go o to nie posądzał. Wszyscy mu ufali. Ale przecież nikt nigdy dotąd nie wygrał z Hugh.

No i Hugh też wypił. Tak jak Daniel. Wszyscy mieli w czubie, więc kiedy Hugh przewrócił stół i oskarżył Daniela o oszustwo, w sali rozpętało się piekło.

Do dziś Marcus nie wiedział dokładnie, jakie padły słowa, ale w kilka minut postanowiono: Daniel Smythe-Smith spotka się z Hugh Prentice'em o świcie. Pojedynek na pistolety.

Przy odrobinie szczęścia powinni byli do tej pory na tyle wytrzeźwieć, żeby dostrzec swoją głupotę.

Hugh strzelał pierwszy. Kula drasnęła lewe ramię Daniela. Wszyscy oniemieli – uprzejmość wymagała, żeby strzelić w powietrze. Wtedy Daniel podniósł rękę i też strzelił.

I Daniel – do diabła, Daniel zawsze chybiał – trafił Hugh w udo. Było tyle krwi, że Marcusowi robiło się niedobrze, nawet kiedy o tym tylko myślał. Chirurg krzyczał. Kula przebiła tętnicę; nic innego nie spowodowałoby takiego potoku krwi. Przez trzy dni wszyscy martwili się, czy Hugh przeżyje; nikt za bardzo nie przejmował się tym, że miał strzaskaną kość udową.

Hugh przeżył, nie mógł jednak chodzić bez laski. A jego ojciec – przepotężny i rozwścieczony markiz Ramsgate – przysiągł, że Daniel za to zapłaci.

Więc Daniel uciekł do Włoch.

Dlatego też prawie bez tchu, w ostatniej chwili kazał mu obiecać już–  
natychmiast–bo–jesteśmy–w–porcie–i–za–chwilę–odpływa–sta–tek: „Pilnuj  
Honorii, dobrze? Żeby nie wyszła za jakiegoś idiotę”.

Marcus oczywiście powiedział „tak”. Co innego miał powiedzieć? Ale  
Honorii nigdy nawet nie napomknął o obietnicy danej jej bratu. Mój Boże,  
rozpętałoby się piekło. I tak trudno było za nią nadażyć, kiedy o niczym nie  
wiedziała. Gdyby się dowiedziała, że działa *in loco parentis*, wpadłaby w  
furię. A ostatnią rzeczą, jaka mu była potrzebna, to żeby popsuła mu szyki.

Nie chodzi o to, żeby była szczególnie przekorna. Przeważnie  
zachowywała się bardzo rozsądnie. Ale nawet najrozsądniejsza kobieta  
czułaby się urażona, wiedząc, że ktoś chce nią rządzić.

Więc pilnował jej z daleka i cichaczem splawił jednego czy dwóch  
zalotników.

Może trzech.

Albo czterech.

Obiecał to Danielowi.

A Marcus Holroyd dotrzymywał danych przyrzeczeń.

## 2

Kiedy on tu będzie?

– Nie wiem – odparta Honoria, pewnie po raz siódmy. Uprzejmie uśmiechała się do pozostałych panien zgromadzonych w zielono–szarym salonie Royle'ów. Wczorajsze pojawienie się Marcusa przedyskutowano, rozłożono na czynniki pierwsze, zanalizowano, a lady Sarah Pleinsworth, kuzynka i jedna z najlepszych przyjaciółek Honorii, upamiętniła je wierszem.

– Przyjechał, gdy lało – zaintonowała Sarah. – Cały dzień padało.

Honoria omal nie zakrztusiła się herbatą.

– Wszędzie błoto stało.

Cecyli Royle chytrze uśmiechnęła się znad swojej filiżanki.

– A czy rozważałaś możliwość komponowania wolnych wierszy?

– Heroina cierpiała.

– To prawda. Było mi zimno – wtrąciła Honoria.

Inna kuzynka Honorii, Iris Smythe–Smith, podniosła wzrok.

– To ja cierpię teraz, bolą mnie uszy – stwierdziła z charakterystyczną dla siebie oschłą miną.

– Rozpacz udawała – dodała Iris.

– Nieprawda – zaprotestowała Honoria.

– Intrygę knowała.

– Wiersz coraz bardziej mija się z prawdą.

– Życie ratowała.

Honoria prychnęła.

– No wiesz co!



– Moim zdaniem idzie jej świetnie – pochwaliła Iris – jeśli wziąć pod uwagę ograniczenia narzucone rymem. – Spojrzała na Sarah, która nagle zamilkła. Iris przekrzywiła głowę. Honoria i Sarah też.

Sarah miała rozchylone usta, lewą rękę z dramatyzmem wyciągnęła przed siebie, ale chyba zabrakło jej słów.

– Pała? – zaproponowała Cecily. – Cała?

– Zwariowała? – podrzuciła Iris.

– To zaraz powiecie. Wystarczy, że jeszcze chwilę tu z wami pobędę – kwaśno wtrąciła Honoria.

Sarah roześmiała się i osunęła na sofę.

– Hrabia Chatteris – westchnęła. – Nie daruję ci, że nas sobie nie przedstawiłaś w zeszłym roku.

– Przedstawiłam! – zaprotestowała Honoria.

– Powinnaś była zrobić to jeszcze raz – psośnie dodała Sarah – żeby mnie zapamiętał. Przez cały sezon powiedział do mnie najwyżej dwa słowa.

– Do mnie też najwyżej dwa – odparła Honoria.

Sarah przekrzywiła głowę i uniosła wysoko brwi, jakby chciała skomentować: „Och, naprawdę?”

– Nie jest zbyt towarzyski – powiedziała Honoria.

– Moim zdaniem jest przystojny – uznała Cecily.

– Tak? – zapytała Sarah. – Dla mnie ponury i tajemniczy.

– To znaczy przystojny – oświadczyła stanowczo Cecily, zanim Honoria zdążyła wyrazić swoją opinię.

– Znalazłam się w złej powieści – oznajmiła Iris.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie – Sarah zwróciła się do Honorii. – Kiedy on tu będzie?

– Nie wiem – odparła Honoria, na pewno już po raz ósmy. – Nie powiedział.

– To nieuprzejme.

– Taki już jest. – Honoria lekko wzruszyła ramionami.

– Właśnie to wydaje mi się bardzo interesujące – mruknęła Cecily. – Że tak dobrze go znasz.

– Znają się od dziesiątków lat – wyjaśniła Sarah. – Od wieków.

– Sarah... – Honoria uwielbiała kuzynkę, naprawdę. Przeważnie.

Sarah przebiegle się uśmiechnęła, a jej oczy figlarnie rozbłysły.

– Kiedyś mówił na nią Robaczek.

– Sarah! – Honoria zmierzyła ją wściekłym wzrokiem. Nie życzyła sobie, żeby rozpowiadano, że znany hrabia porównywał ją do owada. – To było dawno temu – oświadczyła z całą godnością, na jaką udało jej się zdobyć. – Miałam siedem lat.

– A on ile?

Honoria zastanowiła się.

– Chyba ze trzynaście.

– To wszystko tłumaczy. – Cecily machnęła ręką. – Chłopcy są okropni.

Honoria uprzejmie przytaknęła. Cecily ma siedmiu młodszych braci. To ekspertka w tej kwestii, pomyślała.

– Tak czy inaczej, co za zbieg okoliczności, że natknął się na ciebie na ulicy – Cecily dramatycznie podniosła głos.

– Zrządzenie losu – zgodziła się Sarah.

– Prawie jakby cię śledził – dodała Cecily, pochylając się do przodu z szeroko otwartymi oczyma.

– Co za bzdury – obruszyła się Honoria.

– Racja. Coś takiego jest niemożliwe. Mówiłam tylko, że tak to wyglądało – sprostowała natychmiast Cecily.

– Mieszka tu niedaleko. – Honoria w nieokreślonym kierunku machnęła ręką. Ta jej beznadziejna orientacja w terenie. Nawet za cenę życia nie potrafiłaby wskazać, gdzie jest północ. W każdym razie nie miała najmniejszego pojęcia, w którą stronę trzeba jechać z Cambridge, żeby dotrzeć do Fensmore.

– Jego majątek sąsiaduje z naszym – dodała Cecily.

– Tak? – zainteresowała się Sarah.

– Może powinnam raczej powiedzieć, że okala nasz. – Cecily się roześmiała. – Połowa północnego Cambridgeshire należy do niego. Według mnie jego posiadłości przylegają do Bricstan na północy, południu i zachodzie.

– A na wschodzie? – zapytała Iris. I zwróciła się do Honorii: – To następne logiczne pytanie.

Cecily zamrugła; zastanawiała się.

– Też byś pewnie znalazła się na jego terenie. Na północnym wschodzie jest maleńki skrawek ziemi. Ale nie ma sensu tam iść, bo trafi się na plebanię.

– To daleko? – zdziwiła się Sarah.

– Bricstan?

– Nie – odparła Sarah zniecierpliwiona. – Fensmore.

– Nie za bardzo. My mieszkamy dwadzieścia mil od miasta, więc on tylko troszkę dalej – Cecily przerwała na chwilę, żeby się zastanowić. – Może ma też drugi dom w mieście. Nie wiem.

Royle'owie byli lokalnymi patriotami wschodniej Anglii. Mieli dom w Cambridge i wiejski dwór nieco na północy. Kiedy jechali do Londynu, coś w nim wynajmowali.

– Powinnyśmy wyjechać – zdecydowała nagle Sarah. – Na weekend.  
– Wyjechać? – spytała Iris – Dokąd?  
– Na wieś? – zaproponowała Cecily.  
– Tak! – Sarah z podniecenia coraz bardziej podnosiła głos. – Zostałybyśmy tylko parę dni dłużej, więc rodzice nie powinni się sprzeciwić.  
– Odwróciła się, kierując swoje słowa bezpośrednio do Cecily. – Twoja mama może urządzić niewielkie przyjęcie z noclegiem. Zaprosiłybyśmy studentów. Na pewno chętnie odpoczęliby od życia na uniwersytecie.

– Słyszałam, że bardzo źle ich żywią – powiedziała Iris.  
– To ciekawy pomysł – uznała Cecily.  
– To pomysł fantastyczny – oświadczyła stanowczo Sarah. – Idź, poproś mamę. Zanim przyjedzie lord Chatteris.

Honorę zatkało.

– No jego chyba nie chcecie zaprosić aż z noclegiem? – Milo było wczoraj się z nim zobaczyć, ale spędzać tyle czasu w jego towarzystwie... Gdyby przyjechał, mogłaby się pożegnać z szansą zwrócenia na siebie uwagi któregoś z goszczących w wiejskim domu dżentelmenów. Marcus jakoś tak groźnie patrzył, kiedy nie podobało mu się jej zachowanie. A to odstraszało każdą żywą duszę w okolicy. Nawet jej nie przyszło do głowy, że może jej zachowanie aprobować.

– Oczywiście, że nie – odparła zniecierpliwiona Sarah. – Po co miałyby nocować, skoro może spać u siebie? Ale pewnie będzie chciał nas odwiedzić, prawda? Może przyjedzie na kolację lub na polowanie, żeby trochę sobie postrzelać.

Gdyby zamknąć Marcusa na całe popołudnie z tak rozgadanyimi kobietami, mógłby zacząć strzelać do nich, pomyślała Honoria.

– Znakomicie – upierała się Sarah. – Młodszych dżentelmenów zachęci to, że będzie lord Chatteris, i prędzej przyjmą nasze zaproszenie. Będą chcieli dobrze się zaprezentować. Jak wiecie, lord Chatteris to człowiek bardzo wpływowy.

– Myślałam, że go nie zaprosisz – powiedziała Honoria.

– Nie zaproszę. To znaczy... – Sarah wskazała na Cecily, bo to w końcu ona była córką zapraszającej pani domu. – Nie zaprosimy. Ale możemy rozgłosić, że prawdopodobnie nas odwiedzi.

– Na pewno to doceni – mruknęła Honoria, nikt jej jednak nie słuchał.

– Kogo zaprosimy? – spytała Sarah, całkiem ją ignorując. – Powinno być czterech dżentelmenów.

– Z lordem Chatteris to nie do pary – zauważyła Cecily.

– Tym lepiej dla nas – stwierdziła stanowczo Sarah. – Nie możemy przecież zaprosić trzech, bo w tym czasie, kiedy go z nami nie będzie, o jedną damę będziemy miały za dużo.

Honoria westchnęła. Nieugięta kuzynka Sarah: kiedy się w coś angażuje, nie ma sensu się z nią spierać.

– No to muszę porozmawiać z mamą. – Cecily wstała. – Natychmiast trzeba brać się do roboty. – Wyszła z salonu, teatralnie szeleszcząc różowym muślinem.

Honoria popatrzyła na Iris – na pewno zdawała sobie sprawę z burzy, która teraz się rozpęta. Ale Iris wzruszyła tylko ramionami.

– To całkiem dobry pomysł – powiedziała.

– Po to przyjechałyśmy do Cambridge – przypomniała im Sarah. – Żeby poznać dżentelmenów.

No tak. Pani Royle chętnie rozprawiała o tym, jak to panny trzeba kształcić i uwrażliwiać na kulturę, ale wszystkie znały prawdę: przyjechały do

Cambridge z przyczyn czysto towarzyskich. Kiedy pani Royle po raz pierwszy rozmawiała o tym z matką Honorii, ubolewała, że na początku sezonu tylu młodych dżentelmenów jest jeszcze w Oksfordzie lub Cambridge, a więc nie w Londynie, gdzie powinni zalecać się do młodych dam. Pani Royle na następny wieczór zaplanowała kolację, ale wyjazd na wieś z noclegiem jeszcze skuteczniej spełniłby swoją rolę.

Nie ma to jak łąpać dżentelmena tam, skąd nie może uciec.

Chyba muszę napisać list do mamy, aby ją poinformować, że zostanę w Cambridge parę dni dłużej, pomyślała Honoria. Nie podobał jej się pomysł, aby Marcus służył za przynętę skłaniającą innych dżentelmenów do przyjęcia zaproszenia. Wiedziała jednak, że nie wolno jej nie skorzystać z możliwości, jaką dawał wyjazd. Studenci byli młodzi – prawie w tym samym wieku, co cztery panny – lecz Honorii to nie przeszkadzało. Nawet jeśli żaden z nich nie dojrzał jeszcze do małżeństwa, na pewno mieli starszych braci. Albo kuzynów. Lub kolegów.

Westchnęła. Okropne, to takie wyrachowane, ale co ona może na to poradzić?

– Gregory Bridgerton – oznajmiła Sarah, a oczy triumfalnie jej rozbłysły. – Byłby idealny. Ma znakomite kontakty. Jedna z jego sióstr wyszła za księcia, a inna za hrabiego. W dodatku kończy już studia, więc może wkrótce będzie gotów się żenić.

Honoria podniosła wzrok. Pana Bridgertona spotkała kilka razy, przeważnie, kiedy jego matka zaciągała go na osławione wieczory muzyczne Smythe–Smithów.

Honoria zadrżała, ale się opanowała. Doroczne wieczory muzyczne organizowane przez jej rodzinę nie były najlepszym czasem na poznanie dżentelmena, chyba że głuchego. Smythe–Smithowie nadal się spierali o to,

kto właściwie zapoczątkował tę tradycję, lecz w roku 1807 cztery kuzynki po raz pierwszy wystąpiły na scenie i spartaczyły całkiem dobry utwór. Nigdy się nie dowie, dlaczego one (a raczej ich matki) stwierdziły, że należy tę masakrę powtórzyć rok później, ale właśnie tak się stało. Potem zaś zrobiono to w następnym roku i następnym...

Uznano za oczywiste, że wszystkie Smythe–Smithówny powinny grać na jakimś instrumencie, a kiedy nadejdzie ich kolej, włączyć się do kwartetu. Kiedy któraś już w nim była, musiała grać tak długo, aż znalazła męża. Honoria często myślała, że to sprzyja temu, aby wcześniej wyjść za mąż.

Najdziwniejsze, że większość rodziny nie zdawała sobie sprawy, jak one strasznie grają. Kuzynka Viola sześć lat występowała w kwartecie i z tęsknotą to wspominała. Kiedy sześć miesięcy temu wychodziła za mąż, Honoria obawiała się, że porzuci narzeczonego przed ołtarzem, aby nadal móc grać pierwsze skrzypce.

W głowie się to nie mieści.

Honorę i Sarah zmuszono, aby wstąpiły do kwartetu rok temu – Honoria grała na skrzypcach, a Sarah na fortepianie. Dla biednej Sarah okazało się to bardzo przykrym doświadczeniem. Naprawdę miała trochę muzycznego słuchu i swoją część zagrała poprawnie. Tak przynajmniej Honorii mówiono – gdyż skrzypce zagłuszały wszystko. A jak nie one, to westchnienia przerażonego audytorium.

Sarah przysięgła, że już nigdy nie zagra z kuzynkami. Honoria wzruszyła tylko ramionami; dla niej wieczór muzyczny nie był taki znów straszny. Uważała go nawet za dosyć zabawny. A poza tym, nie miała żadnego wpływu na tę sytuację. Była to tradycja rodzinna, a dla Honorii nic nie liczyło się bardziej niż rodzina, absolutnie nic.

Ale teraz czas poważnie podejść do polowania na męża, co znaczy, że musi znaleźć dżentelmena, któremu słoń nadepnął na ucho. Albo który ma ogromne poczucie humoru.

Gregory Bridgerton wydawał się znakomitym kandydatem. Honoria nie miała pojęcia, czy potrafiłby coś zagrać, ale dwa dni temu przypadkiem spotkali się, kiedy cztery panny poszły do miasta na herbatę, i uderzyło ją, jak pięknie on się uśmiecha.

Podobał się jej. Był nadzwyczaj miły i otwarty na ludzi. Coś w nim przypominało jej też czasy, kiedy cała jej rodzina zbierała się w Whipple Hill: gwar, hałas, wybuchy śmiechu.

Pewnie to dlatego, że on również pochodził z dużej rodziny – był drugi od końca spośród ósemki rodzeństwa. Honoria była najmłodsza z szóstki, więc na pewno mieli ze sobą wiele wspólnego. Gregory Bridgerton. Hm. A właściwie dlaczego o nim nie pomyślała?

Honoria Bridgerton.

Winifred Bridgerton. (Zawsze chciała dziecku dać na imię Winifred, więc należało wypróbować także brzmienie tego imienia).

Pan Gregory i lady Honor...

– Honorio! Honorio!

Zamrugła. Sarah wpatrywała się w nią najwyraźniej poirytowana.

– Gregory Bridgerton? Co o nim myślisz?

– Hm, myślę, że to dobry wybór – odparła Honoria, starając się nie zdradzać swoich uczuć.

– I kto jeszcze? – Sarah wstała. – Może zrobię listę.

– Czterech nazwisk? – Honoria nie mogła się powstrzymać i nie zadać tego pytania.

– Strasznie jesteś zdeterminowana – mruknęła Iris.



– Nie mam wyjścia – odparowała Sarah z błyskiem w ciemnych oczach.

– Naprawdę sądzisz, że uda ci się znaleźć kandydata i wyjść za niego za mąż w ciągu najbliższych dwóch tygodni? – nie dowierzała Honoria.

– Nie wiem, o czym mówisz – obruszyła się Sarah.

Honoria zerknęła w stronę otwartych drzwi, aby się upewnić, że nikt nie nadchodzi.

– Zostałyśmy już teraz tylko my trzy, Sarah.

– Czy trzeba brać udział w koncercie, jeśli ktoś się zaręczy? –zapytała Iris.

– Tak – potwierdziła Honoria.

– Nie – stanowczo odparła Sarah.

– Oczywiście, że tak – powtórzyła Honoria. Iris westchnęła.

– Nie narzekaj. – Sarah zmrużyła oczy i popatrzyła na nią. –Nie musiałaś grać w zeszłym roku.

– Będę za to dozgonnie wdzięczna – powiedziała Iris. W tym roku miała grać w kwartecie na wiolonczeli.

– Tak samo bardzo zależy ci na znalezieniu męża jak mnie –Sarah zwróciła się do Honorii.

– Ale nie w dwa tygodnie. I nie tylko po to, żeby wymigać się od grania na koncercie – dodała nieco uprzejmiej.

– Nie mówię, że wyszłabym za kogoś okropnego – Sarah lekko pociągnęła nosem – ale gdyby tak przypadkiem na śmierć zakochał się we mnie lord Chatteris...

– Nie zakocha się – prosto z mostu palnęła Honoria. Potem, zdając sobie sprawę, jak nieuprzejmie się zachowała, dodała: –W nikim się nie zakocha. Możesz mi wierzyć.

– Miłość chadza tajemnymi ścieżkami – odgryzła się Sarah. Ale więcej było w tym nadziei niż pewności.

– Nawet gdyby Marcus się w tobie zakochał, co się nie wydarzy... nie żeby to miało coś wspólnego z tobą... tylko on nie jest z tych, którzy szybko się zakochują... – Honoria przerwała, usiłując sobie przypomnieć, od czego zaczęła pierwsze zdanie, ponieważ czuła, że go nie dokończyła. Sarah splotła ramiona.

– Czy wśród tylu obelg ukryłaś jakąś myśl?

Honoria przewróciła oczami.

– Chciałam tylko powiedzieć, że gdyby Marcus miał się w kimś zakochać, stałoby się to w sposób jak najbardziej zwyczajny.

– Czy miłość kiedykolwiek bywa zwyczajna? – zapytała Iris. To pytanie zabrzmiało tak filozoficznie, że na chwilę w salonie zapadła cisza. Ale tylko na chwilę.

– Nigdy nie przyśpieszałyby ślubu – ciągnęła Honoria, znów zwracając się do Sarah. – Nie znosi ściągać na siebie uwagi. Nienawidzi tego. – To ostatnie zdanie pokreśliła, bo wydawało jej się ważne. – Marcus na pewno nie wybawi cię od występu.

Przez kilka sekund Sarah stała bez ruchu, napięta jak struna, a potem westchnęła i opuściła luźno ramiona.

– Może Gregory Bridgerton – powiedziała zniechęcona. –Sprawia wrażenie romantycznego.

– Na tyle, żeby uciec z ukochaną? – dociekała Iris.

– Nikt nie będzie uciekał! – krzyknęła Honoria. –I wszystkie w przyszłym miesiącu gracie na koncercie.

Sarah i Iris wybałuszyły oczy. Miały identyczne miny – wyrażały one zdziwienie i oburzenie. Ze zdrową domieszką strachu.

– Tak – mruknęła Honoria. – Wszystkie gramy. To nasz obowiązek.

– Obowiązek – powtórzyła Sarah. – Żeby tak rzępolić?

Honoria utkwiała w niej wzrok.

– Właśnie.

Iris wybuchła śmiechem.

– Nie ma w tym nic śmiesznego – obruszyła się Sarah. Iris otarła oczy.

– Ależ jest.

– Nie będzie, kiedy będziesz musiała zagrać – ostrzegła ją Sarah.

– I dlatego chcę się pośmiać teraz – odparła Iris.

– Tak czy inaczej, uważamy, że warto zorganizować przyjęcie z wyjazdem na wieś – oznajmiła Sarah.

– Warto – zgodziła się Honoria.

Sarah popatrzyła na nią nieufnie.

– Tylko według mnie zakładać, że to sposób na wymiganie się od koncertu, jest trochę zbyt ambitne.

Raczej głupie niż ambitne, lecz tego Honoria nie mogła powiedzieć.

Sarah usiadła przy sekretarzyku i wzięła do ręki pióro.

– To zgadzamy się na pana Bridgertona?

Honoria spojrzała na Iris. Obie skinęły głowami.

– Kogo jeszcze proponujecie? – zapytała Sarah.

– Może powinniśmy poczekać na Cecyli? – rzuciła Iris.

– Neville'a Berbrooka! – stanowczo stwierdziła Sarah. – Jest spokrewniony z panem Bridgertonem.

– Naprawdę? – zdziwiła się Honoria. Tak jak każdy, sporo wiedziała o rodzinie Bridgertonów, ale nie sądziła, że któraś z panien poślubiła Berbrooka.

– Siostra żony brata pana Berbrooka wyszła za mąż za brata pana Berbrooka.

Takie stwierdzenie aż prosiło się o sarkastyczny komentarz, ale Honoria, zdumiona tempem, w jakim Sarah to wytrajkotała, tylko zamrugwała.

Iris jednak nie była pod aż takim wrażeniem.

– A więc... są po prostu znajomymi?

– Kuzynami. Szwagrami. Ciotecznymi – wyrecytowała rozdrażniona Sarah, patrząc na Iris.

– Spokrewnionymi w trzecim pokoleniu? – zamruczała Iris.

Sarah spojrzała na Honorię.

– Powiedz jej, żeby przestała.

Honorcia wybuchła śmiechem. Iris też, a wreszcie ich rozbawienie udzieliło się także Sarah. Honorcia wstała i spontanicznie ją uścisnęła.

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Sarah, zakłopotana, uśmiechnęła się do niej i zaczęła coś mówić, ale właśnie do pokoju wparowała Cecily, a tuż za nią pojawiła się jej matka.

– Jest zachwycona naszym pomysłem – oznajmiła Cecily.

– Tak – potwierdziła pani Royle. Z godnością przemierzyła salon, podeszła do sekretarzyka i usiadła na krześle, z którego szybko zeskoczyła Sarah.

Honorcia przyjrzała się jej zaciekawiona. Pani Royle stanowiła uosobienie przeciętności: przeciętny wzrost, przeciętna budowa, przeciętne brązowe włosy i oczy w przeciętnym brązowym kolorze. Nawet suknię miała w odcieniu przeciętnego fioletu, ozdobioną na dole przeciętnej wielkości falbaną.

W jej minie jednak nie było teraz nic przeciętnego. Wyglądała na gotową dowodzić armią i nikt nie mógł mieć najmniejszej wątpliwości, że nie będzie miała litości dla wroga.

– To genialny pomysł – oświadczyła. Zmarszczyła brwi, szukając czegoś na sekretarzyku. – Nie wiem, dlaczego sama wcześniej na to nie wpadłam. Oczywiście musimy działać szybko. Po południu wyślemy kogoś do Londynu, aby zawiadomić waszych rodziców, że zostanieie dłużej. – Zwróciła się do Honorii. – Cecily mówi, że uda ci się zaprosić lorda Chatteris?

– Nie – w popłochu zaprzeczyła Honoria. – Oczywiście, mogę spróbować, ale...

– Postaraj się – przerwała jej pani Royle. – To twoje zadanie, a reszta z nas zaplanuje przyjęcie. A tak w ogóle, kiedy on ma przyjechać?

– Nie wiem – odparła Honoria, po raz już chyba... och nieważne, ile razy musiała odpowiadać na to pytanie. – Nie powiedział mi.

– Nie sądzisz, że zapomniał?

– To nie w jego stylu.

– Chyba masz rację – mruknęła pani Royle. – Ale nigdy nie można liczyć na to, że mężczyzna zaangażuje się w zaloty aż tak jak kobieta.

Honoria wpadała w coraz większy popłoch, graniczący z prawdziwą paniką. Boże wielki, jeśli pani Royle chce ją skojarzyć z Marcusem...

– On się do mnie nie zaleca – powiedziała szybko. Pani Royle zmierzyła ją krytycznym wzrokiem.

– Naprawdę, mówię poważnie.

Pani Royle spojrzała na Sarah, która natychmiast wyprostowała się na krześle.

– To faktycznie mało prawdopodobne – powiedziała, ponieważ pani Royle najwyraźniej czekała, że coś powie. – Są jak brat i siostra.

– Tak – potwierdziła Honoria. – Był najlepszym przyjacielem mojego brata.

Na wspomnienie Daniela w salonie zapadła cisza. Honoria nie wiedziała, czy wyraża ona szacunek, zażenowanie czy żal, że młodym damom przypadł znakomity kawaler do wzięcia.

– No cóż – przerwała jej pani Royle. – Postaraj się, jak możesz. Tylko o to cię prosimy.

– Ojej – pisnęła Cecily, odchodząc od okna. – Chyba właśnie przyjechał! Sarah poderwała się i wygładziła swoją idealnie wyprasowaną spódnicę.

– Jesteś pewna?

– Tak. Co za wspaniała kareta! – Cecily westchnęła z zachwytem.

Wszystkie znieruchomiały w oczekiwaniu na gościa. Honoria miała wrażenie, że pani Royle wstrzymała oddech.

– Ale będzie nam głupio, jeżeli to nie on – szepnęła jej do ucha Iris.

Honoria stłumiła śmiech i szturchnęła nogę kuzynki stopą. Iris tylko się uśmiechnęła.

W ciszy wyraźnie było słychać pukanie, a potem lekkie skrzypnięcie drzwi otwieranych przez kamerdynera.

– Wyprostuj się – syknęła pani Royle do Cecily. A po chwili zastanowienia: – Cała reszta również.

W drzwiach ukazał się kamerdyner. Sam.

– Lord Chatteris przeprasza, że nie może przybyć – oznajmił.

Wszystkie się zgarbiły. Nawet pani Royle. Zupełnie, jakby każdą ukłuto szpilką i wypuszczono z niej powietrze.

– Przysłał list – dodał kamerdyner.

Pani Royle wyciągnęła rękę, lecz kamerdyner go jej nie podał.

– Jest zaadresowany do lady Honorii.

Honorcia wyprostowała się i świadoma, że oczy wszystkich zwrócone są na nią, jeszcze bardziej postarała się ukryć ulgę, która na pewno malowała się na jej twarzy.

– Hm. Dziękuję – powiedziała, biorąc od kamerdynera złożony pergamin.

– Co pisze? – zapytała Sarah, zanim Honorcia zdążyła odpieczętować list.

– Chwileczkę – mruknęła Honorcia i podeszła do okna, aby wiadomość od Marcusa przeczytać na względnej osobności.

– Nic takiego – odezwała się, kiedy przebiegła wzrokiem trzy krótkie zdania. – Coś nagłego wydarzyło się u niego w domu i nie może po południu przyjechać.

– To wszystko? – drażyla pani Royle.

– On nie lubi wchodzić w zawiłości – wyjaśniła Honorcia.

– Silni mężczyźni się nie tłumaczą – dramatycznie oznajmiła Cecylia.

Zapadła cisza. Cała gromadka zastanowiła się nad tym stwierdzeniem.

– Życzy nam wszystkiego najlepszego – odezwała się wesoło Honorcia.

– Ale nie na tyle, żeby nas zaszczyścić swoją obecnością – burknęła pani Royle.

Oczywiście sprawa wyjazdu na wieś wypłynęła ponownie. Panny spoglądały na siebie w ciszy: kto odważy się o to zapytać? W końcu oczy dziewcząt zwróciły się na Cecylię. Musiała to zrobić ona. Tak nakazywały dobre maniery.

– A co z przyjęciem w Bricstan? – zapytała. Ale jej matka zatopiła się we własnych myślach. Zmrużyła oczy i wydeła usta. Cecylia odchrząknęła i powiedziała głośniej: – Mamo?

– To i tak dobry pomysł – nagle oświadczyła pani Royle twardym, zdecydowanym tonem. Honoria miała wrażenie, że te słowa odbijają jej się echem od uszu.

– Więc i tak zaprosimy studentów? – spytała Cecily.

– Myślałam o Gregorym Bridgertonie – pośpieszyła jej z pomocą Sarah – i o Neville'u Berbrookku.

– Świetny wybór – pochwaliła pani Royle i pomaszzerowała przez salon do sekretarzyka. – Obaj pochodzą z dobrych rodzin. – Wyjęła kilka kartek kremowego papieru i je policzyła.

– Zaraz napiszę zaproszenia – oznajmiła, kiedy miała tyle kartek, ile trzeba. Potem odwróciła się do Honorii: – Oprócz tego.

– Słucham? – powiedziała Honoria, choć wiedziała, o co chodzi pani Royle. Nie bardzo chciała się jednak na to zgodzić.

– Zaproś lorda Chatteris. Tak jak planowałyśmy. Nie na cały pobyt, tylko na popołudnie. W sobotę albo w niedzielę, jak. woli.

– Jest mama pewna, że zaproszenie nie powinno być od mamy? – zapytała Cecily.

– Nie, lepiej będzie, jak to zrobi lady Honoria – stwierdziła pani Royle. – Trudniej odmówić osobie, z której rodziną jest się tak blisko związanym. – Postąpiła jeszcze jeden krok do przodu, tak że Honoria nie mogła odmówić przyjęcia od niej kartki. – Oczywiście jesteśmy dobrymi sąsiadami – dodała. – Nie myśl, że nie.

– Oczywiście – mruknęła Honoria. Nic innego nie mogła powiedzieć. I choć patrzyła na kartkę w swojej ręce, nic innego nie mogła też zrobić. Ale potem było już lepiej. Pani Royle usiadła przy sekretarzyku, Honorii pozostawało więc napisać zaproszenie w jej pokoju.



Co znaczyło, że nikt poza nią – i rzecz jasna Marcusem – nie wiedział, że napisała tak:

*Marcusie!*

*Pani Royle prosiła mnie, żebym zaprosiła cię na weekend do Bricstan. Planuje małe przyjęcie z noclegiem. Będą trzy damy, o których ci wspomniałam, ja i czterech dżentelmenów z uniwersytetu. Błagam cię, nie przyjeżdżaj. Będzie ci tam okropnie i mnie też, bo będę się martwiła, że się męczysz.*

*Z wyrazami sympatii, et cetera, et cetera,*

*Honorია*

Inny dżentelmen uznałby takie „zaproszenie” za prowokację i natychmiast postanowił jechać. Ale na pewno nie Marcus. Może był wyniosły i cięty w języku, ale nie złośliwy. I nie będzie męczył się na przyjęciu po to, żeby ona się męczyła.

Czasem zatruwał jej życie, ale w głębi serca był dobrym człowiekiem. I rozsądnym. Domyśli się, że spotkanie u pani Royle jest dokładnie z rodzaju takich, których wprost nie znosi. Od dawna się dziwiła, dlaczego jeździł do Londynu na sezon – zawsze strasznie się tam nudził.

Zapieczętowała list, zniosła na dół i dała lokajowi, aby zawiózł go Marcusowi.

Pani Royle, pochłonięta przygotowaniami, nie zwracała na Honorię uwagi, póki kilka godzin później nie przyszła odpowiedź od Marcusa. Tym razem list zaadresowany był do niej.

– Co pisze? – bez tchu zapytała Cecily, biegnąc do matki, która otwierała list. Iris też do nich podeszła, usiłując dojrzeć coś przez ramię przyjaciółki.

Honorია spokojnie czekała. Znała treść odpowiedzi.

Pani Royle złamała pieczęć i rozłożyła list. Szybko przebiegła go oczami.

– Przepraszam, że nie może przyjechać – powiedziała smutnym głosem.

Cecyli i Sarah jęknęły z rozpaczy. Pani Royle popatrzyła na Honorię; dziewczyna miała nadzieję, że dobrze udaje, jaka jest wstrząśnięta.

– Prosiłam go. Ale moim zdaniem, takie rozrywki nie są w jego stylu. Naprawdę nie jest zbyt towarzyski – wybąkała.

– Tak, to prawda – mruknęła pani Royle. – W zeszłym sezonie widziałam, jak tańczył chyba tylko na trzech balach. Mimo że mnóstwo panien nie miało partnerów. Było to wręcz niegrzeczne.

– A przecież dobrze tańczy – stwierdziła Cecyli.

Wszystkie spojrzały na nią.

– Tak – upierała się, chyba lekko zdziwiona, że aż tak zwróciła na siebie uwagę. – Tańczył ze mną na balu u Mottramów. W końcu jesteśmy sąsiadami. Zrobił to z czystej uprzejmości.

Honorcia skinęła głową. Marcus był dobrym tancerzem. Na pewno lepszym od niej. Ona nigdy nie mogła nadążyć za zawilóściami rytmu. Sarah wielokrotnie usiłowała jej wyjaśnić różnicę między walcem a rytmem na cztery czwarte, lecz Honorcia nie mogła tego pojąć.

– Damy sobie radę – oświadczyła pani Royle, kładąc rękę na sercu. – Dwaj z pozostałych czterech dżentelmenów już przyjęli zaproszenie, a jestem pewna, że inni odezwą się jutro rano.

Ale wieczorem, kiedy Honorcia zamierzała położyć się do łóżka, pani Royle wzięła ją na stronę.

– Myślisz, że jest szansa, żeby lord Chatteris zmienił zdanie? – spytała cicho.

Honorcia z trudem przełknęła ślinę.

– Obawiam się, że nie ma, proszę pani.

Pani Royle pokręciła głową i cmoknęła.

– Wielka szkoda. Byłby ozdobą przyjęcia. No nic, dobranoc, kochanie.

Miłych snów.

Dwadzieścia mil dalej, Marcus siedział sam w swoim gabinecie nad filiżanką gorącego cydru i rozmyślał o ostatnim liście od Honorii. Kiedy go przeczytał, wybuchnął śmiechem, bo, według niego, to postawiła sobie za cel. Może nie główny – bo przede wszystkim chodziło jej o to, aby nie przyjeżdżał na przyjęcie pani Royle – ale na pewno dobrze wiedziała, że jej słowa bardzo go rozbawią.

Jeszcze raz spojrzął na kartkę. Tylko Honoria mogła napisać coś takiego – błagała go, żeby nie przyjmował zaproszenia na przyjęcie, na które zaprosiła go dwa zdania wcześniej.

Ucieszył się, że ją znowu spotkał. Tak dawno nie trafiła mu się podobna okazja. Wiele razy natykał się na nią w Londynie, ale to się nie liczyło. Takie spotkania nie dawały się nawet porównać do beztroskich czasów, które spędzał z jej rodziną w Whipple Hill. W Londynie albo robił uniki przed ambitnymi matkami przekonanymi, że ich córki urodziły się po to, aby zostać następną lady Chatteris, albo śledził Honorię. Albo jedno i drugie.

Z perspektywy czasu wydawało się wprost niewiarygodne, że nikt nie pomyślał, iż sam się nią interesuje. W końcu tak często wtrącał się w jej sprawy. W ubiegłym roku spłoszył czterech dżentelmenów. Dwaj z nich byli łowcami posagu. Z tego jeden miał skłonności do okrucieństwa, a drugi był podstarzałym, nadętym durniem, któremu całkiem rozsądna Honoria na pewno dałaby kosza. Ale ten okrutny dobrze się maskował, a obydwu łowców posagu uważano za czarujących, co bardzo pomagało im w osiągnięciu celu.

Prawdopodobnie interesuje ją jeden z dżentelmenów zaproszonych na wyjazd do wiejskiej posiadłości pani Royle, więc nie chce, żeby on jej przeszkadzał. Sam nie ma ochoty tam się wybierać, więc to po myśli obojga.

Musi się jednak dowiedzieć, o kogo chodzi Honorii. Jeśli nie zna tego pana, będzie musiał zbadać sprawę. Nietrudno zdobyć listę zaproszonych gości: służący zawsze wiedzą, jak się o to postarać.

Może jeśli pogoda dopisze, wybierze się na przejażdżkę. Albo na spacer. W lesie jedna ze ścieżek prowadzi granicą Fensmore i Bricstan. Nie pamięta, kiedy tamtędy ostatnio się przechadzał. To doprawdy z jego strony nieodpowiedzialne. Właściciel ziemski powinien bardzo dobrze znać całe swoje terytorium. W takim razie wybierze się na spacer. A jeśli natknie się na Honorię i jej przyjaciółki, porozmawia z nimi, żeby zdobyć potrzebne mu informacje. W ten sposób uniknie przyjęcia, a i tak się dowie, na kogo zastawiła sidła.

Dopił cydr i uśmiechnął się. Nie mógł wyobrazić sobie lepszego obrotu spraw.

### 3

Nim nadeszło niedzielne popołudnie, Honoria miała pewność, że dokonała właściwego wyboru. Gregory Bridgerton świetnie nadawał się na męża. Kiedy kilka dni temu siedzieli koło siebie przy kolacji w miejskim domu Royle'ów, okazał się niezwykle czarujący. Co prawda, nic nie świadczyło o tym, że znalazł się pod nadzwyczajnym urokiem Honorii – ani jej, ani żadnej innej z panien. Był uprzejmy, grzeczny, a poczuciem humoru nie ustępował Honorii.

Ale co najważniejsze, stwierdziła, że jeśli się postara, ma niezłe szanse zwrócić na siebie jego uwagę. Był młodszym, nie, był najmłodszym synem, co znaczyło, że damy, które polowały na tytuł, uznają go za niegodnego siebie. I zapewne potrzebował pieniędzy. Jego dość bogata rodzina prawdopodobnie zapewniłaby mu dochody, ale młodsi synowie przeważnie potrzebowali posagu.

A Honoria go miała. Nic oszłamiającego, ale przed wyjazdem z kraju Daniel powiedział jej, ile dostanie, a suma ta okazała się bardziej niż przyzwoita. Nie wchodziłaby do małżeństwa z pustymi rękami.

Pozostawało tylko sprawić, aby pan Bridgerton zobaczył, że idealnie do siebie pasują. Honoria miała pewien plan.

Wpadł jej do głowy rano w kościele. (Poszły tam panie, panom jakoś udało się wymigać). Nie był skomplikowany. Wystarczy słoneczny dzień, chociaż trochę zmysłu orientacji i łopata.

To pierwsze już się spełniło. Kiedy wchodziła do małego parafialnego kościółka, świeciło słońce. Chyba właśnie dlatego wpadła na ten pomysł. Co ważniejsze, nadal świeciło, kiedy wychodziła z kościoła, a to wcale nie takie oczywiste, jeśli wziąć pod uwagę kaprysy angielskiej pogody.

Drugi warunek był trudniejszy. Ale poprzedniego dnia byli na spacerze w lesie i Honoria uznała, że powinna trafić w to samo miejsce. Może nie umiała określić, gdzie jest północ, a gdzie południe, potrafiła jednak pójść ładną, zadbaną ścieżką.

Sprawę łopaty rozpatrzy później.

Kiedy po kościele panie wróciły do Bricstan, poinformowano je, że dżentelmeni wybrali się na polowanie i wrócą na późny lunch.

– Będą bardzo głodni. Musimy odpowiednio się do tego przygotować – oznajmiła pani Royle.

Tylko Honoria nie zrozumiała, co chce przez to powiedzieć: że będzie jej potrzebna któraś do pomocy. Cecily i Sarah natychmiast popędziły na górę, żeby wybrać suknie na popołudnie, a Iris uciekła, plotąc coś o bólu brzucha. Honoria została powołana do dwuosobowego komitetu pani Royle.

– Miałam w planie podać paszteciki z mięsem – powiedziała pani Royle.

– Łatwe są do jedzenia na dworze. Ale należałoby podać jeszcze jakieś mięso. Czy twoim zdaniem dżentelmenom posmakuje pieczona wołowina na zimno?

– Oczywiście – odparła Honoria, idąc za nią do kuchni. Chyba wszyscy to lubią?

– Z musztardą.

Honoria otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz pani Royle raczej tego od niej nie oczekiwała, bo nieprzerwanie mówiła dalej:

– Podamy trzy rodzaje. I kompot.

Honoria chwilę odczekała, a kiedy stwierdziła, że tym razem pani Royle chce poznać jej zdanie, pochwaliła:

– Świetny zestaw.

Nie był to najlepszy przykład ożywionej rozmowy, ale biorąc pod uwagę temat, nie potrafiła dodać nic więcej.

– Oj! – Pani Royle zatrzymała się i tak gwałtownie się odwróciła, że Honoria prawie na nią wpadła.

– Zapomniałam coś powiedzieć Cecyli!

– Co? – spytała Honoria, lecz pani Royle już odeszła w głąb holu i wołała służącą.

– Bardzo ważne, żeby po południu włożyła coś niebieskiego. Słyszałam, że to ulubiony kolor dwóch z naszych gości – oznajmiła, kiedy wróciła.

Skąd to wiedziała? Honoria nie miała pojęcia.

– A poza tym to pod kolor jej oczu – dorzuciła pani Royle.

– Cecyli ma piękne oczy – zgodziła się Honoria.

Pani Royle dziwnie na nią spojrzała.

– Ty też powinnaś częściej nosić niebieski. Dzięki temu twoje oczy nie będą takie niezwykle – stwierdziła.

– Lubię swoje oczy. – Honoria się uśmiechnęła.

Pani Royle zacisnęła usta.

– Mają niespotykany kolor.

– To cecha rodzinna. Mój brat ma takie same.

– No tak, twój brat – westchnęła pani Royle. – Co za szkoda.

Honoria kiwnęła głową. Trzy lata temu obraziłaby się za taką uwagę, ale teraz była mniej porywcza, za to bardziej praktyczna. A poza tym, to prawda. Rzeczywiście szkoda.

– Ufamy, że kiedyś wróci.

Pani Royle prychnęła.

– Najpierw Ramsgate musi umrzeć. Znam go, od kiedy uczył się chodzić. Uparty jak osioł.

Honoria aż zamrugnęła ze zdziwienia. Tak bezpośredniego języka po pani Royle się nie spodziewała.

– No cóż – pani Royle westchnęła. – Nic na to nie poradzę, ale tym bardziej szkoda... Więc kucharka robi dla każdego pucharek z przekładańcem biszkoptowym z truskawkami i kremem waniliowym.

– Świetny pomysł – pochwaliła Honoria, bo zdążyła się zorientować, że jej zadanie polega na tym, aby, jeśli tylko się da, jak najczęściej przytakiwać pani Royle.

– Może powinna jeszcze upiec herbatniki – zastanawiała się pani Royle. – Całkiem nieźle jej wychodzą, a dżentelmeni będą bardzo głodni. Polowanie wyczerpuje.

Honoria od dawna uważała, że ono znacznie bardziej wyczerpuje ptaki niż ludzi, ale tę myśl zatrzymała dla siebie. Wyrwało jej się jednak:

– Czyż to nie ciekawe, że panowie zamiast iść do kościoła, od rana są na polowaniu?

– Nie wypada, żebym młodych dżentelmenów pouczała, jak się zachowywać – powiedziała pani Royle sztywno. – Chyba że chodzi o moich synów, oni zawsze muszą robić, co im każe.

Honoria usiłowała doszukać się w tym ironii, ale jej się nie udało, więc tylko skinęła głową. Czuła, że przyszły mąż Cecily znajdzie się w grupie tych, którzy „zawsze muszą robić, co im każe”.

Miała nadzieję, że ten biedny człowiek – kimkolwiek by był –będzie wiedział, w co się pakuje. Daniel powiedział jej kiedyś, że najlepszą radę (oczywiście o nią nie prosił), jaką kiedykolwiek usłyszał w sprawie małżeństwa, dała mu lady Danbury, straszna stara wdowa, która czerpała wielką przyjemność z doradzania każdemu, kto chciał jej wysłuchać.

I sporej liczbie tych, którzy nie chcieli.



Daniel najwyraźniej jej słowa wziął sobie do serca, a przynajmniej je zapamiętał. Chodziło o to, że mężczyzna powinien wiedzieć, że kiedy bierze ślub, w równym stopniu jak z wybranką wiąże się z teściową.

No, prawie w równym. Kiedy Daniel dodawał to postscriptum od siebie, cicho zaśmiał się pod nosem. Honoria spojrzała na niego: nic nie rozumiała, co jeszcze bardziej go rozśmieszyło.

Czasem potrafił być naprawdę okropny. Ale i tak za nim tęskniła.

Szczerze mówiąc, pani Royle nie była taka zła. Stanowczo dążyła do celu, a Honoria z doświadczenia wiedziała, że takie matki budzą strach. Jej matka była kiedyś równie zdecydowana. Siostry nadal opowiadały o czasach, kiedy były pannami na wydaniu, a ich matka ambicją dorównywała najbardziej dumnym rodzicom z londyńskiej socjety. Margaret, Henrietta, Lydia i Charlotte Smythe-Smithówny miały najpiękniejsze stroje, zawsze pojawiały się w odpowiednich miejscach i w odpowiednim czasie i wszystkie dobrze wyszły za mąż. Nie spektakularnie dobrze, ale dobrze. Wszystkim też udało się tego dokonać w dwa sezony lub szybciej.

A Honoria właśnie miała przed sobą trzeci sezon, przy czym zaangażowanie matki w to, żeby ją korzystnie wydać za mąż, było najwyżej średnie. Co nie znaczy, że nie chciała, aby Honoria wyszła za mąż. Po prostu zbyt się tym nie przejmowała.

Niczym się zbyt nie przejmowała po tym, jak Daniel wyjechał z kraju.

Jeśli więc pani Royle biegła podekscytowana, wydając polecenia co do menu i zmuszając córkę, aby zmieniła suknię, bo słyszała, że to ulubiony kolor jakiegoś kawalera, robiła to z miłości i Honoria absolutnie nie mogła jej za to winić.

– Jesteś kochana, że pomagasz mi w przygotowaniach. – Pani Royle poklepała ją po ramieniu. – Zawsze łatwiej coś zrobić, jeśli ma się dodatkową parę rąk do pomocy. Tak zawsze mówiła moja mama.

Honorina uważała, że służyła raczej dodatkową parą uszu, a nie rąk, ale i tak mruknęła coś w podziękowaniu i poszła za nią do ogrodu, bo pani Royle chciała tam dopilnować przygotowań do pikniku.

– Wydaje mi się, że pan Bridgerton wpatrywał się w moją Cecylę – powiedziała, wychodząc na dwór. Chmurzyło się. – Prawda?

– Niczego nie zauważyłam – odparła Honorina. Naprawdę nie zauważyła, ale niech tam, może faktycznie?

– Tak – stwierdziła stanowczo pani Royle. – Podczas wczorajszej kolacji. Bardzo szeroko się uśmiechał.

Honorina odchrząknęła.

– Jest z tych, którzy lubią się uśmiechać.

– Owszem, ale robił to inaczej.

– Pewnie tak. – Honorina zmrużyła oczy i spojrzała w niebo. Zbierały się na nim chmury. Będzie padać, pomyślała.

– Rzeczywiście – powiedziała pani Royle i, idąc za spojrzeniem Honorini, zinterpretowała jej intencje na swój sposób. – Nie jest już tak słonecznie, jak rano. Mam nadzieję, że dobra pogoda utrzyma się do naszego pikniku.

I oby ze dwie godziny potem. Honorina miała swoje plany. Do ich realizacji – rozejrzała się wokół, bo były przecież w ogrodzie – potrzebowała łopaty.

– A co, jeśli deszcz zmusi nas, żebyśmy przenieśli się do środka? – martwiła się pani Royle. – Wtedy trudno będzie to nazwać piknikiem.

Honorio z roztargnieniem przytaknęła, wciąż wpatrując się w chmury. Jedna była trochę bardziej szara niż pozostałe. Sunęła w ich stronę czy się oddalała?

– Nic na to nie poradzę. Pozostaje tylko czekać – orzekła pani Royle. – Tak naprawdę, w razie czego nic strasznego się nie zdarzy. Dżentelmen równie dobrze może się zakochać w domu i na dworze. A jeśli Cecylia wpadła w oko panu Bridgertonowi, przynajmniej będzie mogła popisać się przed nim grą na fortepianie.

– Sarah też dobrze gra – zauważyła Honorio. Pani Royle aż przystanęła.

– Naprawdę? – spytała.

Honorio wcale się nie zdziwiła, że tak ją to zaskoczyło. Świetnie pamiętała, że w zeszłym roku pani Royle była na ich koncercie.

– Pewnie jednak nie zjemy w środku – ciągnęła pani Royle, zanim Honorio zdążyła coś dodać. – Niebo nie wygląda aż tak źle. Hm. Cóż, mam nadzieję, że pan Bridgerton zainteresuje się Cecylią... żeby tylko służąca zdążyła jej powiedzieć o niebieskiej sukni; Cecylia złościłaby się, gdyby musiała się przebierać... Lord Chatteris byłby oczywiście ciekawszą partią ...

Honorio przerażona odwróciła się; stała teraz naprzeciwko niej.

– Przecież on nie przyjeżdża.

– Oczywiście, że nie, ale jest naszym sąsiadem. I jak Cecylia któregoś dnia już mówiła, znaczy to, że będzie z nią tańczył w Londynie. Trzeba korzystać z każdej nadarzającej się okazji.

– Jasne, ale...

– Nie wszystkie panny darzą sympatią – z dumą stwierdziła pani Royle.

– Ciebie tak, ze względu na wasze dawne związki, i może jeszcze dwoje innych dziewcząt. Dzięki temu łatwiej będzie jej zwrócić na siebie uwagę. Tędy, lady Honorio – powiedziała, wskazując ręką rząd misternych bukietów

poustawianych na stole. – A poza tym – dodała – nasz majątek jest jak kawałek wycięty z jego posiadłości. Na pewno będzie chciał go przejąć.

Honorcia odchrząknęła, nie wiedziała, jak zareagować.

– Całego i tak nie moglibyśmy mu dać – ciągnęła. – Nikomu nie został zapisany w spadku, ale nie mogłabym w ten sposób potraktować Georgiego

– Georgiego?

– Mojego najstarszego syna. – Krytycznym spojrzeniem obrzuciła Honorię i machnęła ręką. – Nie, jesteś dla niego za stara. Szkoda.

Honorcia uznała, że na coś takiego nie znajdzie się dobra odpowiedź.

– Ale do posagu Cecily moglibyśmy dorzucić kilka akrów. Opłaciłoby się. Warto mieć hrabinę w rodzinie – stwierdziła pani Royle.

– Nie jestem pewna, czy on już szuka żony – zaryzykowała Honorcia.

– Nonsens. Każdy niezona mężczyzna szuka żony. Może tylko jeszcze tego nie wie.

Honorcia lekko się uśmiechnęła.

– Zapamiętam to sobie.

Pani Royle odwróciła się i przyjrzała się jej.

– Powinnaś – powiedziała wreszcie, kiedy upewniła się, że Honorcia z niej nie kpi. – Już jesteśmy. Co myślisz o tych bukietach? Nie za dużo krokusów?

– Moim zdaniem są piękne. – Honorii najbardziej podobały się lawendowe. – Poza tym mamy wczesną wiosnę. Krokusy właśnie kwitną.

Pani Royle ciężko westchnęła.

– No tak. Ale dla mnie są trochę zbyt pospolite.

Honorcia uśmiechnęła się rozmarzona i palcami przeciągnęła po płatkach. Coś w krokusach dawało jej wielką radość.

– Według mnie mają w sobie raczej coś bukolicznego.

Pani Royle przekrzywiła głowę, rozważając słowa Honorii. Wreszcie stwierdziła, że nie musi ich komentować, i wyprostowała się.

– Chyba jednak poproszę kucharkę, żeby zrobiła herbatniki – oznajmiła.

– Mogłabym tu zostać? – szybko zapytała Honoria. – Bardzo lubię układać kwiaty.

Pani Royle popatrzyła na krokusy, ułożone jak najbardziej fachowo, a potem na Honorie.

– Tylko je trochę nastroszę – wyjaśniła dziewczyna.

Pani Royle machnęła ręką.

– Jeśli chcesz. Ale nie zapomnij się przebrać przed powrotem dżentelmenów. I nie wkładaj niczego niebieskiego. Chcę, żeby Cecily się wyróżniała.

– Chyba nawet nie przywiozłam niebieskiej sukienki – dyplomatycznie odparła Honoria.

– Tym lepiej – uznała pani Royle. – Miłego... hm... straszenia.

Honoria uśmiechnęła się i poczekała, aż pani Royle zniknie w domu. Potem zaczekała jeszcze chwilę, bo przy stole kręciło się kilka służących z widelcami, łyżkami i innymi przyborami. Skubnęła kwiaty, rozejrzała się dookoła i dostrzegła, że przy krzaku róży coś się srebrzy. Znów się rozejrzała, aby się upewnić, że służące są zajęte, po czym przeszła przez trawnik, by sprawdzić, co to.

Mała łopatka! Najwyraźniej ogrodnicy o niej zapomnieli.

– Dziękuję – szepnęła.

Nieduża ta łopatka, ale wystarczy. Poza tym nie za bardzo wiedziała, jak słowa „łopata” i „niepozorna” można użyć w tym samym zdaniu.

Jak ją ukryć. Żadna z jej sukienek nie miała kieszeni, a gdyby nawet miała, kawałek metalu długości połowy jej przedramienia raczej by się nie

zmieścił. Ale mogła ją gdzieś schować, a potem zabrać w odpowiednim czasie.

Zdecydowała, że tak właśnie zrobi.

TTLR

Co ona robi?

Marcus nie zamierzał się chować, ale kiedy zobaczył, że Honoria kopie w ziemi, nie mógł oprzeć się pokusie. Zaczaił się przy drzewie i patrzył.

Posługiwała się łopatką. Dziura, którą kopiała, nie mogła być duża, bo dziewczyna wstała zaledwie po minucie, obejrzała swoje dzieło, potem sprawdziła je stopą, a następnie – wtedy Marcus schował się za drzewem – rozejrzała się dookoła, aż jej wzrok padł na stertę suchych liści, pod którymi mogła schować łopatkę.

W tym momencie chciał już się pokazać. Ale ona znów podeszła do wykopanej dziury, popatrzyła na nią, marszcząc czoło, i wróciła do sterty liści po łopatkę.

Ukucnęła z łopatką w ręce i znowu coś robiła. Niestety zasłaniała sobą widok, więc dopiero kiedy wróciła do zeschniętych liści, aby pozbyć się dowodu rzeczowego, zobaczył, że wokół dziury usypała kopczyk.

Krecia dziura!

Ciekawe, czy Honoria wie, że kretowiska rzadko występują pojedynczo. Jeśli gdzieś znajduje się kopczyk, zwykle niedaleko, w zasięgu wzroku, jest drugi. Ale może nie miało to znaczenia. Sądząc po tym, ile razy sprawdzała dziurę stopą – miała zamiar sfignować upadek. Albo może sprawić, że ktoś inny potknie się i przewróci. W każdym razie wątpliwe, żeby ktoś ze zwichniętą nogą szukał w okolicy drugiego kretowiska.

Kilka minut jej się przyglądał. Mogłoby się wydawać, że patrzenie na damę, która stoi nad krecią dziurą własnej roboty, jest raczej nudne. On jednak świetnie się bawił. Pewnie dlatego, że Honoria bardzo się starała, żeby samej się nie nudzić. Najpierw jakby coś cichutko recytowała, tyle że sądząc

po jej zmarszczonym nosie, chyba zapomniała końca. Potem odtańczyła gige, a następnie walca, z ramionami wyciągniętymi do niewidzialnego partnera.

Tutaj, w lesie, tańczyła z zadziwiającym wdziękiem. Walc znacznie lepiej wychodził jej bez muzyki. W jasnozielonej sukience wyglądała jak leśny duszek. W wyobraźni prawie widział, jak skacze po lesie w sukni uszytej z liści.

Zawsze była dziewczyną ze wsi. W Whipple Hill miała wiele swobody. Wdrapywała się na drzewa i turlała ze wzgórz. Przeważnie usiłowała przyłączyć się do niego i Daniela, ale nawet kiedy ją przepędzili, zawsze umiała sobie zorganizować jakąś zabawę, głównie na dworze. Pamięta, że któregoś popołudnia pięćdziesiąt razy obeszyła dom dookoła. Tylko po to, żeby przekonać się, czy to możliwe.

W dodatku dom był duży. Nazajutrz wszystko ją bolało. Nawet Daniel jej wierzył, kiedy jęczała.

Wyobraził sobie własny pałac w Fensmore. Monstrualnie duży. Nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby go obejść dziesięć razy w ciągu dnia, a co dopiero pięćdziesiąt w jedno popołudnie. Zastanowił się. Czy Honoria kiedyś u niego była? A jeśli tak, to kiedy? Jako dziecko na pewno nikogo nigdy nie zapraszał. Ojciec nie słynął z gościnności, a Marcus nie chciał zapraszać przyjaciół do cichego mauzoleum swego dzieciństwa.

Po jakichś dziesięciu minutach Honoria się znudziła. Marcusowi też zaczęło się nudzić, bo siedziała tylko pod drzewem z łokciami opartymi na kolanach i z brodą w dłoniach.

Nagle usłyszał, że ktoś idzie. Ona też to usłyszała, bo poderwała się, podbiegła do kreciej dziury, potem osunęła się na ziemię i ułożyła tak, aby wyglądać jak najwdzięczniej, jeśli to możliwe, gdy jedną stopę ma się w kreciej dziurze.



Chwilę odczekała. Widział, że nasłuchuje. Potem, kiedy ten, kto był w lesie, miał czas, by podejść blisko, przekonująco krzyknęła.

Rodzinne teatrzyki bardzo jej się przydały. Gdyby Marcus przed chwilą nie widział, jak swój upadek sama zaaranżowała, byłby przekonany, że coś jej się stało.

Czekał, żeby zobaczyć, kto przyjdzie.

Czekał.

I czekał.

Ona też czekała, zanim znów krzyknęła „z bólu” – ale chyba zbyt długo, bo nikt nie pojawił się, aby ją ratować. Krzyknęła po raz ostatni, ale bez przekonania.

– Niech to licho – rozzłościła się i wyciągnęła stopę z dziury.

Marcus roześmiał się.

– Kto tam jest?

Do diabła, nie miał zamiaru śmiać się aż tak głośno. Wszedł na ścieżkę. Nie chciał jej przestraszyć.

– Marcus?

Uniósł rękę na powitanie. Odezwałby się, ale nadal leżała, a pantofelek miała cały uwalany ziemią. A na twarzy... Nigdy nie widział czegoś tak zabawnego. Była wściekła, a zarazem przerażona i nie mogła się zdecydować, która emocja przeważa.

– Nie śmieję się!

– Przepraszam – powiedział, chociaż wcale nie było mu przykro.

Zmarszczyła brwi i zrobiła przezabawnie naburmuszoną minę.

– Co tu robisz?

– Mieszkam tu. – Zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać. Tak powinien zachować się dżentelmen.

Zmrużyła oczy. Widział, że ani przez sekundę mu nie uwierzyła.

– No więc, mieszkam niedaleko – poprawił się. – Ścieżka wiję się wzdłuż granicy mojej posiadłości.

Wzięła jego dłoń i pozwoliła, aby jej pomógł. Jednocześnie strzepywała ziemię ze spódnicy. Ale ziemia była wilgotna i mokre drobinki przyczepiły się do materiału. Honoria narzekała, próbując je strzepnąć. Wreszcie się poddała i spojrzała na niego.

– Od jak dawna tu jesteś?

Uśmiechnął się.

– Dłużej niżbyś chciała.

Jęknęła zrezygnowana.

– Pewnie nie zechcesz tego zachować dla siebie.

– Nie powiem nikomu ani słowa – obiecał. – Ale kogo właściwie chciałaś zwabić?

– Proszę cię. Jesteś ostatnią osobą, której bym to powiedziała – zaśmiała się szyderczo.

Uniósł brew.

– Naprawdę. Ostatnią.

Popatrzyła na niego zniecierpliwiona.

– Oprócz królowej, premiera...

– Starczy. – Z trudem tłumila śmiech. Ale potem posmutniała. – Mogę usiąść?

– Oczywiście.

– Suknia i tak jest już brudna – stwierdziła, znajdując sobie miejsce przy pniu drzewa. – Co za różnica, jeszcze kilka minut na ziemi. – Usiadła ze skwaszoną miną. – Teraz powinieneś powiedzieć, że jestem czysta jak lilia.

– To chyba zależy od lilii.

Przyjrzała mu się nieufnie. Tę minę znał tak dobrze, że zaczynała go śmieszyć. Ile to już lat przewraca przed nim oczami? Czternaście? Piętnaście? Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że jest jedyną znaną mu kobietą, która szczerze z nim rozmawia, co oznacza, że czasami raczy go zdrowymi dawkami sarkazmu.

Właśnie dlatego nie znosił jeździć do Londynu na sezon. Kobiety mizdrzyły się i stroiły, i zawsze mówiły to, co ich zdaniem chciał usłyszeć.

Mężczyźni podobnie.

Cała ironia w tym, że prawie zawsze się mylili. Nigdy nie chciał, aby otaczali go pochlebcy. Nienawidził, jak czyhali na każde jego słowo. Nie chciał, aby zachwycano się nadzwyczajnym krojem i dopasowaniem jego kamizelki, skądinąd zupełnie—zwyczajnej—i—takiej—samej—jak—u—wszystkich.

Oprócz Daniela nikt naprawdę go nie znał. Nie miał rodziny, chyba żeby w celu znalezienia wspólnego przodka sięgać cztery pokolenia wstecz. Był jedynakiem i synem jedynaka. Holroydowie nie słynęli z prokreacji.

Oparł się o drzewo i przyglądał Honorii, która siedziała na ziemi zmęczona i nieszczęśliwa.

– Więc przyjęcie nie było tak udane, jak przewidywałaś? Spojrzała na niego pytająco.

– W liście tak je zachwalałaś – zauważył.

– Wiedziałam, że tobie się nie spodoba.

– A może jednak – powiedział, choć oboje wiedzieli, że tak by nie było.

Jeszcze raz spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

– Cztery panny na wydaniu, czterej dżentelmeni z uniwersytetu, państwo Royle i ty. – Poczekała, aż to do niego dotrze, i dodała: –I może pies.

Uśmiechnął się oschle.

– Lubię psy.

Prychnęła. Podniosła gałązkę, która leżała przy jej biodrze, i zaczęła rysować na ziemi kółka. Sprawiała wrażenie samotnej i bezradnej. Z koka wysunęły jej się proste jak drut kosmyki. Oczy miała zmęczone. Zmęczone i jeszcze coś. Coś, co mu się nie podobało.

Wyglądała na pokonaną.

Tak nie mogło być. Honoria Smythe-Smith nigdy nie powinna tak wyglądać.

– Honorio – zaczął.

Na dźwięk jego głosu gwałtownie podniosła wzrok.

– Mam dwadzieścia jeden lat, Marcusie.

Zamilkł, usiłując to policzyć.

– Niemożliwe.

Rozdrażniona zacisnęła usta.

– Zapewniam cię, że to prawda. W ubiegłym roku kilku dżentelmenów chyba mną się interesowało, ale żaden się nie zadeklarował. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem dlaczego.

Marcus odchrząknął, a potem stwierdził, że musi sobie poprawić fular.

– Może to i dobrze – ciągnęła. – Żaden mi się zbytnio nie podobał. A jeden z nich był... kiedyś widziałam, jak kopnął psa. – Zmarszczyła brwi. – Absolutnie nie mogłabym, no wiesz...

Skinął głową.

Wyprostowała się, uśmiechnęła i zrobiła rezolutną, wesołą minę. Może zbyt rezolutną i wesołą.

– Ale w tym roku pójdzie mi lepiej.

– Na pewno.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Powiedziałem coś nie tak?

– Nie. Ale nie musisz tego robić z taką wyższością. O czym ona mówi, do diabła?

– Nie robię.

– Proszę cię, Marcus. Zawsze mówisz z wyższością.

– Co to znaczy? – zapytał ostro.

Popatrzyła na niego tak, jakby nie mogła uwierzyć, że on tego nie dostrzega.

– Przecież wiesz, o co mi chodzi.

– Nie. Nie wiem, o co ci chodzi.

Prychnęła i wstała.

– Zawsze patrzysz na ludzi o tak. – I zrobiła taką minę, że nie potrafił nawet jej opisać.

– Jeśli kiedykolwiek tak wyglądam – powiedział oschle –właśnie dokładnie tak, to pozwalam ci, żebyś mnie zastrzeliła.

– O! – triumfowała. – Właśnie tak.

Zaczął się zastanawiać, czy mówią tym samym językiem.

– Co tak?

– Tak jak mówiłeś przed chwilą.

Splótł ramiona. Była to jedyna odpowiedź, jaka w tej sytuacji wydawała mu się odpowiednia. Jeśli Honoria nie mogła mówić pełnymi zdaniami, nie widział powodu, żeby on w ogóle się odzywał.

– Cały zeszły sezon mierzyłeś mnie potępiającym wzrokiem. Za każdym razem, kiedy na ciebie spojrzałam, patrzyłeś na mnie z dezaprobatą.

– Zapewniam cię, że nie miałem takiego zamiaru. – I faktycznie nie miał. Przynajmniej w stosunku do niej. Potępiająco patrzył na mężczyzn, którzy się do niej zalecali, a nie na nią.

Założyła ręce i wpatrywała się w niego z gniewem. Stwierdził, że zastanawia się, czy uznać jego słowa za przeprosiny. Nieważne, że naprawdę wcale jej nie przeprosił.

– Mogę ci w czymś pomóc? – spytał, starając się odpowiednio dobrać słowa i ton głosu.

– Nie – odparła krótko. I dodała: – Dziękuję. Westchnął, znużony, i pomyślał, że czas zmienić sposób podejścia do niej.

– Honorio, nie masz ojca, twój brat jest gdzieś daleko, we Włoszech, a twoja matka chce się przenieść do Bath.

– O co ci chodzi? – przerwała mu ostro.

– Jesteś na świecie sama – odparł, niemal równie ostro. Nie pamiętał, kiedy ktoś ostatnio rozmawiał z nim takim tonem. – Albo prawie sama.

– Mam siostry – zaprotestowała.

– Czy któraś z nich zaproponowała ci, żebyś u niej mieszkała?

– Oczywiście, że nie. Wiedzą, że mieszkam z mamą.

– Która chce się przenieść do Bath.

– Nie jestem sama – zapewniła, a on z przerażeniem usłyszał, że mówi zduszonym głosem. Ale jeśli była bliska łez, zdołała je powstrzymać, bo po chwili odezwała się raczej ze złością i oburzeniem: – Mam mnóstwo kuzynów. Mnóstwo. I cztery siostry, które natychmiast by mnie do siebie wzięły, gdyby tylko uznały, że tak trzeba.

– Honorio...

– I mam brata, nawet jeśli nie wiemy, gdzie on jest. Nie potrzebuję... – przerwała i zamrugała, jakby zdziwiona słowami, które miała na języku. Ale i tak je powiedziała. – Nie potrzebuję ciebie.

Zapadła straszna cisza. Marcus nie pomyślał o tym, ile razy jadł kolację przy jej stole. Ani o rodzinnych teatrzykach, w których zawsze grał drzewo.

Każde przedstawienie, co do jednego, było okropne, ale on uwielbiał te liściaste, gałęziaste chwile. Nigdy nie chciał grać głównych ról – cieszył się, że nie musi nic mówić. Chciał tylko brać w tych scenkach udział. Uwielbiał tam być. Z nimi. Jako rodzina.

Ale wcale o tym wszystkim nie pomyślał. Był tego pewny, kiedy tam stał i wpatrywał się w dziewczynę, która powiedziała, że go nie potrzebuje.

I może nie potrzebowała.

A może nie była już dziewczyną.

Do diabła.

Zaczerpnął powietrza, gdyż przez chwilę nie oddychał, i napomniał sam siebie: nieważne, co Honorii się zdaje. Daniel prosił go, żeby nad nią czuwał, więc czuwać będzie.

– Potrzebujesz... – Westchnął. Zastanawiał się, jakich użyć słów, żeby jej nie zdenerwować. Ale stwierdził, że takich nie ma, więc powiedział: – Potrzebujesz pomocy.

Odsunęła się.

– Proponujesz siebie jako mojego strażnika?

– Nie – zaprzeczył gwałtownie. – Nie. Uwierz mi, to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał.

Skrzyżowała ramiona.

– Bo jestem taka trudna.

– Nie! – Dobry Boże, jak to się stało, że ich rozmowa w takim tempie przyjęła tak okropny obrót? – Usiłuję ci tylko pomóc.

– Nie potrzebuję drugiego brata – odparła ostro.

– Nie chcę być twoim bratem – odparował. Znów na nią spojrzął i znów zobaczył ją w zupełnie innym świetle. Może były to jej oczy... albo

zaróżowiona buzia. A może sposób, w jaki oddychała. Albo wygięcie szyi. Albo maleńki punkcik, gdzie jej...

– Masz brudny policzek. – Podał jej chusteczkę. Nie miała, ale chciał zmienić temat.

Otarła twarz chusteczką, potem popatrzyła na nadal śnieżnobiały materiał, zmarszczyła brwi i jeszcze raz wytarła buzię.

– Już – powiedział.

Oddała mu chusteczkę, a potem tylko stała, twardo i ponuro się w niego wpatrując. Wyglądała, jakby znowu miała dwanaście lat, co jemu bardzo odpowiadało.

– Honorio – zaczął ostrożnie. – Jako przyjaciel Daniela...

– Przestań. – Nic więcej. Tylko „przestań”.

Odetchnął głęboko, wykorzystując ciszę, aby dobrze dobrać słowa.

– Dlaczego tak ci trudno przyjąć pomoc?

– Tobie łatwo?

Wbił w nią wzrok.

– Czy ty lubisz przyjmować czyjąś pomoc?

– To zależy, kto ją oferuje.

– Ja. – Skrzyżowała ramiona, chyba zadowolona ze swojej odpowiedzi, a on nie miał bladego pojęcia dlaczego. – Wyobraź to sobie. Wyobraź sobie, że role by się odwróciły.

– Zakładając, że chodziłoby o dziedzinę, na której się trochę znasz, to tak, chętnie przyjąłbym twoją pomoc. – On również skrzyżował ramiona, chyba też z siebie zadowolony. Było to idealne zdanie; uspokajające i miłe, o niczym nie świadczyło.

Czekał na jej odpowiedź, ale po chwili tylko lekko pokręciła głową.

– Muszę wracać – powiedziała.



– Będą się o ciebie martwili?

– Już pewnie się martwią – mruknęła.

– O skręconą kostkę – szepnęła i ze współczuciem kiwnęła głową.

Choć naburmuszona, też nią kiwnęła i odmaszerowała. W odwrotnym kierunku.

– Honorio!

Odwróciła się.

Bardzo starał się nie uśmiechać, kiedy wskazywał jej prawidłowy kierunek.

– Bricstan jest tam.

Zacisnęła szczęki.

– Dziękuję. – I odwróciła się. Ale zbyt szybko i straciła równowagę. Krzyknęła, usiłując ją odzyskać, lecz Marcus zrobił to, co instynktownie zrobiłby każdy dżentelmen na jego miejscu. Przyskoczył do niej, żeby ją podtrzymać.

Tyle że trafił na diabelną krecią dziurę.

Teraz on krzyknął. Ze wstydem musiał przyznać, że właściwie to zaklął. Kiedy stracił równowagę, oboje upadli. Honorio na plecy, a Marcus na nią.

Natychmiast podniósł się na łokciach, żeby nie leżeć na niej całym ciężarem. Spojrzał w dół. Powiedział sobie, że po to, by sprawdzić, czy nic jej nie jest. Chciał ją o to zapytać, jak tylko złapie oddech. Ale kiedy na nią spojrział, ona też dyszała. Usta miała rozchylone, oczy zamglone. Wtedy zrobił to, co instynktownie zrobiłby każdy mężczyzna – pocałował ją.

## 5

Przed chwilą Honoria stała prosto – no może nie całkiem prosto. Rozpaczliwie chciała odejść od Marcusa, więc kiedy się odwracała, zrobiła to zbyt szybko, poślizgnęła się na wilgotnej ziemi i straciła równowagę. Ale na pewno szybko by ją odzyskała, gdyby nagle Marcus jej (dosłownie) nie staranował. A na dodatek jego ramię uderzyło ją prosto w brzuch, więc straciła oddech. Oboje upadli na ziemię. Marcus jak placek wylądował na niej.

Kompletna pustka w głowie. Nigdy przedtem Honoria nie czuła ciała mężczyzny przy swoim – dobry Boże, kiedy miałyby do tego dojść? Zdarzało jej się tańczyć walca – czasem bardzo blisko partnera – ale to nieporównywalne z tym, co stało się przed chwilą. Ciężar ciała Marcusa, jego ciepło. Ogarnęło ją uczucie zaskakująco prymitywne, a jednocześnie dziwnie miłe.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz kiedy tak leżała i wpatrywała się w niego, nie znajdowała słów. Wydawał jej się jakiś inny. Znała go, prawie od zawsze – jak to więc możliwe, że nigdy nie zauważyła kształtu jego ust? Albo koloru oczu? Wiedziała, że są brązowe, ale miały zdumiewająco głębokie odcienie, a tęczęwki mieniły się na brzegach kropeczkami bursztynu. Cała ta gama barw migotała, bo jego twarz była coraz bliżej.

Bliżej?

Wielkie nieba. Chce ją pocałować?! Marcus?!

Dech zaparło jej w piersiach. Rozchyliły jej się usta, a coś w środku zastygło w oczekiwaniu, w głowie miała...

Nic. W głowie nic nie miała, bo Marcus zdecydowanie nie zamierzał jej pocałować. Stłumił wiązanek przekleństw z rodzaju takich, jakich nie słyszała od czasu, kiedy Daniel wyjechał z kraju, a potem zerwał się na równe nogi, zrobił krok w tył i...

– Do diabła!

Zamachał rękami w powietrzu, a potem runął na ziemię, jęknął i puścił następną wiązanek, lecz Honoria była zbyt rozsądna, żeby się za to obrazić. Przerazona westchnęła i podniosła się na łokciach. Marcus znów leżał na ziemi, a sądząc po jego minie, tym razem naprawdę coś mu się stało.

– Nic ci nie jest? – zadała głupie pytanie.

– To ta dziura – syknął, zaciskając z bólu zęby. A potem, jakby potrzebne było jakieś wyjaśnienie, dodał: – Znowu w nią wpadłem.

– Przepraszam – powiedziała szybko, podrywając się. A potem, ponieważ sytuacja najwyraźniej wymagała porządnych przeprosin, powtórzyła: – Bardzo, bardzo przepraszam.

Milczał.

– Na pewno wiesz, że nie chciałam... – Nie dokończyła. Gadanie nic jej nie pomoże, zwłaszcza że on najwyraźniej nie chciał słyszeć jej głosu.

Nerwowo przełknęła ślinę i zrobiła malutki krok w jego stronę. Nadal leżał na ziemi, ni to na plecach, ni na boku. Miał ubłocone buty i bryczesy. I płaszcz.

Skrzywiła się. Nie będzie zadowolony. Marcus nigdy nie przesadzał z wytwornością, ale płaszcz sprawił sobie bardzo ładny.

– Marcus? – zapytała niepewnie.

Zrobił gniewną minę. Nie do niej, ale wystarczyła, by utwierdzić ją w przekonaniu, że bez sensu mówić mu o suchych liściach, które ma we włosach.

Lekko przeturlał się i znalazł się na plecach. Zamknął oczy.

Otworzyła usta i już miała coś powiedzieć, ale powstrzymała się. On wziął głęboki oddech, potem następny i jeszcze jeden, a kiedy otworzył oczy, miał już inną minę. Był spokojniejszy.

Dzięki Bogu.

Honorcia pochyliła się odrobinę do przodu. Nadal była przekonana, że trzeba z nim postępować ostrożnie, stwierdziła jednak, że uspokoił się chyba na tyle, aby zaryzykować.

– Mogę pomóc ci wstać?

– Za chwilę – stęknął. Podźwignął się prawie do siadu, a potem chwycił swoją łydkę w obie ręce, podniósł ją do góry i wyciągnął z kreciej dziury.

O wiele większej po tym, jak dwa razy w nią wpadł, zauważyła Honorcia. Przyglądała się, jak ostrożnie obraca stopą w kostce. Najpierw poruszył ją w przód i w tył, a potem na boki. Zabolało.

– Myślisz, że jest złamana? – zapytała.

– Nie.

– Skręcona?

– Uhm.

– Czy...

Przeszył ją tak groźnym spojrzeniem, że natychmiast umilkła. Ale po chwili, widząc, jak on cierpi, nie mogła się powstrzymać.

– Marcus?

Siedział z odwróconą od niej głową, kiedy wymówiła jego imię, i nie spojrział na nią, kiedy je usłyszał. Ale przestał się ruszać.

– Nie sądzisz, że powinieneś zdjąć but? Nie odpowiedział.

– Na wypadek gdyby spuchła ci kostka.

– Wiem – przerwał, wypuścił powietrze z płuc, a potem dodał bardziej opanowanym głosem – dlaczego mam to zrobić. Tylko się zastanawiam.

Znowu zastygł w bezruchu. Cofnęła się o krok.

– Nie ma sprawy.

Wyciągnął rękę do przodu, żeby przez but pomacać skręconą kostkę i chyba sprawdzić, jak bardzo spuchła. Honoria obeszła go dookoła, żeby widzieć jego twarz. Po minie usiłowała stwierdzić, jak bardzo go boli, ale było to trudne, bo przede wszystkim wyglądał na strasznie rozzłoszczonego.

Mężczyźni są bardzo dziwni. Zdawała sobie sprawę, że to z jej winy skręcił sobie kostkę, i rozumiała, dlaczego może być na nią trochę zły, no ale przecież potrzebował jej pomocy: nie stanie na własnych nogach, a tym bardziej nie dojdzie do Fensmore. Przy odrobinie rozsądku powinien to zrozumieć i jak najszybciej pozwolić, żeby mu pomogła. Ale nie, musiał warczeć jak ranny tygrys, jakby dawało mu to poczucie, że panuje nad sytuacją.

– Hm – odchrząknęła. – Chcę się tylko upewnić, że robię to, co trzeba... Czy mogę ci jakoś pomóc, czy też lepiej, żebym była cicho?

Zapadło przerażająco długie milczenie.

– Pomożesz mi zdjąć but? – przerwał je wreszcie.

– Jasne! – Podbiegła do niego. – Proszę, pozwól, że, hm... –Coś takiego robiła dawno temu, kiedy jako dziewczynka pomagała ojcu. Ale od tamtej pory jej się to nie zdarzyło, a zwłaszcza nie pomagała mężczyźnie, który dwie minuty przedtem na niej leżał.

Poczuła, że pali ją twarz. Skąd też przyszła jej do głowy taka myśl? To był wypadek! I to był Marcus! Musiała o tym pamiętać. Tylko Marcus!

Usiadła naprzeciwko niego, tuż przy stopie jego wyciągniętej nogi. Jedną dłonią chwyciła za but przy kostce, a drugą za podeszwę.

– Gotowy?

Ponuro kiwnął głową.

Szarpnęła ręką, którą trzymała kostkę, i pchnęła podszwę, ulu Marcus tak krzyknął z bólu, że natychmiast puściła jego stopę.

– Nic ci nie jest? – Nie poznawała własnego głosu, tak była przerażona.

– Spróbuj jeszcze raz – burknął.

– Na pewno? Bo...

– Zrób to i już – wycedził.

– No dobrze. – Znowu podniosła jego stopę, zacisnęła zęby i pociągnęła. Mocno. Tym razem Marcus nie krzyknął, ale zawył jak zarzynane zwierzę. W końcu, kiedy Honoria nie mogła już tego wytrzymać, puściła nogę.

– Nic chyba z tego nie będzie. – Spojrzała na niego. – Nie dam rady go zdjąć.

– Spróbuj jeszcze raz – poprosił. – Te buty zawsze trudno się zdejmują.

– Aż tak? – zapytała z niedowierzaniem. A ludzie mówią, że to damskie ubrania są niepraktyczne.

– Honorio.

– Dobrze. – Spróbowała, z takim samym rezultatem.

– Przykro mi, ale będziesz go musiał rozciąć, kiedy dotrzesz do domu.

Po jego twarzy przemknął grymas bólu.

– To tylko but – mruknęła ze współczuciem.

– Nie o to chodzi – sarknął. – Boli jak diabli.

– Och. – Odchrząknęła. – Przepraszam.

Długo, z trudem wypuszczał powietrze.

– Będziesz musiała pomóc mi wstać.

Kiwnęła głową i poderwała się.

– Weź mnie za rękę.

Chwyliła go za rękę i pociągnęła do góry, ale nie mógł złapać równowagi. Po chwili poddał się.

Honorcia spojrzała na swoją dłoń. Wydała jej się bezużyteczna. I zimna.

– Musisz chwycić mnie pod ramiona – powiedział.

Wcześniej może by ją to zszokowało, ale po tym, jak zdejmowała mu but, nie widziała w tym nic bardziej niestosownego.

Znów skinęła głową, schyliła się i objęła go.

– Już. – Stęknęła, kiedy usiłowała postawić go na nogi. Dziwne uczucie: obejmować go. To strasznie niezręczne. No i co za ironia. Nigdy wcześniej nie była aż tak blisko niego, a tymczasem przed chwilą, kiedy wpadł do kreciej dziury i wylądował na niej, byli przecież jeszcze bliżej.

Oczywiście, gdyby drugi raz nie wdepnął do kreciej dziury, taka sytuacja by nie zaistniała.

Popróbowali, Marcus jeszcze raz stłumił przekleństwo i jakoś udało im się postawić go na nogi. Honorcia odsunęła się dla przyzwoitości, ale położyła sobie na ramieniu jego dłoń, żeby poczuł się pewnie.

– Możesz na niej stanąć? – zapytała.

– Nie wiem. – Zrobił duży krok, ale twarz wykrzywił mu ból.

– Marcus? – zapytała z wahaniem.

– Nic mi nie będzie. Według niej wyglądał okropnie.

– Jesteś pewny? – zapytała. – Bo ja uważam...

– Powiedziałem, że nic mi nie bę... au! – Potknął się i mocno chwycił ją za ramię, by znowu się nie przewrócić.

Honorcia cierpliwie czekała, aż stanie stabilnie. Dla większej równowagi podała mu drugą rękę. Chwycił ją z całej siły. Jeszcze raz uderzyło ją, jaką on ma miłą dłoń – dużą i ciepłą, która daje bezpieczeństwo, choć nie w takiej sytuacji.

– Chyba potrzebna mi pomoc – przyznał się do tego z wyraźną niechęcią.

– Oczywiście. Ja tylko... – Przysunęła się do niego, potem trochę odsunęła, a potem znów przysunęła.

– Stań koło mnie. Muszę się na tobie oprzeć.

Skinęła głową i pozwoliła, by otoczył ją ramieniem. Było ciężkie. I miłe.

– No dobrze. – Objęła go w pasie. – To w którą stronę jest Fensmore?

Wskazał głową.

– Tam.

Odwróciła się w odpowiednim kierunku.

– Istotniejsze jest chyba pytanie, jak daleko mamy do Fensmore?

– Trzy mile.

– Trzy...! – krzyknęła. Opanowała się i dokończyła ciszej: – Przepraszam, powiedziałaś trzy mile?

– Mniej więcej.

Czy on zwariował?

– Marcus, nie dam rady podtrzymywać cię tak długo. Musimy iść do Royle'ów.

– O nie. Nie ma mowy, żebym pokazał się u nich w takim stanie – oznajmił ze śmiertelną powagą.

W skrytości ducha Honoria się z nim zgadzała. Ranny, nieżonaty, całkowicie zdany na nią hrabia? Pani Royle uznałaby to za dar niebios. Nie zdążyłby zaprotestować, a urządziłaby mu mały szpital. Z Cecily Royle w roli pielęgniarki.

– Nie będziesz musiała mi pomagać całą drogę. W miarę jak będę szedł, z nogą będzie coraz lepiej.

Popatrzyła na niego.



– Co ty pleciesz!

– Proszę, pomóż mi dotrzeć do domu, dobrze? – Był wykończony. Może zrozpaczony. Prawdopodobnie jedno i drugie.

– Postaram się. – Zgodziła się, ale tylko dlatego, że wiedziała, że nic z tego nie będzie. Dawała mu pięć minut na przyznanie się, iż nie da rady.

Przekuśtykali kilka kroków.

– Prawdziwa krecia dziura byłaby dużo mniejsza – nagle stwierdził Marcus.

– Wiem. Ale musiała się tam zmieścić moja stopa.

Zrobił jeszcze jeden krok, a potem, na pół skacząc, następny.

– Co twoim zdaniem miało się wydarzyć?

Westchnęła. Już dawno temu przekroczyła granice wstydu. Nie było sensu udawać, że zachowała jeszcze jakieś resztki godności.

– Nie wiem – odparła zmęczona. – Pewnie myślałam, że pojawi się mój książę z bajki i mnie uratuje. Pomoże mi w taki sam sposób jak ja teraz tobie.

Spojrzał na nią.

– A książę z bajki to...

Popatrzyła na niego. Zwariował? Nie myślał chyba, że poda mu jakieś imię.

– Honorio – nalegał.

– Nie twoja sprawa.

Trudno uwierzyć, ale zachichotał.

– A jak twoim zdaniem wykorzystałbym tę informację?

– Ja tylko...

– Okaleczyłaś mnie, Honorio.

Cios poniżej pasa, ale skuteczny.

– No dobrze – poddała się. – Jeśli już musisz wiedzieć, to Gregory Bridgerton.

Marcus zatrzymał się i popatrzył na nią zdziwiony.

– Greg...

– Najmłodszy – przerwała mu. – To znaczy ich najmłodszy syn. Ten nieżonaty.

– Znam go.

– Świetnie. Czego mu brakuje? – Przechyliła głowę i niecierpliwie czekała na odpowiedź.

Zastanowił się.

– Niczego.

– No... chwileczkę. – Zamrugła. – Niczego?

Pokręcił głową, a potem lekko przeniósł ciężar ciała na chorą nogę. Zdrowa zaczynała mu drętwieć.

– Nic mi na razie nie przychodzi do głowy. – Oczywiście. Mogła wybrać kogoś dużo gorszego niż Gregory Bridgerton.

– Naprawdę? – spytała podejrzliwie. – Nie widzisz w nim nic złego?

Marcus udał, że zastanawia się nad tym dłużej. Najwyraźniej miał do odegrania jakąś rolę. Przypuszczałnie czarnego charakteru. A może raczej starego zrzędy.

– Jest chyba trochę za młody – odparł i gestem wskazał powalone drzewo kawałek dalej. – Pomóż mi tam dojść, dobrze? Muszę usiąść.

Pokuśtykali w stronę długiego grubego pnia. Honoria ostrożnie zdjęła jego ramię ze swoich barków i pomogła mu usiąść.

– Nie taki znów młody – zauważyła.

Marcus spojrział na swoją stopę. W butcie wyglądała normalnie, ale czuł się tak, jakby ktoś zakuł ją w kajdany. A potem i nogę, i kajdany wcisnął do buta.

– Jeszcze studiuje.

– Ale jest starszy ode mnie.

Podniósł na nią wzrok.

– Czy ostatnio zdarzyło mu się kopnąć psa?

– Nic o tym nie wiem.

– No więc – dziwnie machnął ręką – masz moje błogosławieństwo.

Zmrużyła oczy.

– A muszę je mieć?

Dobry Boże, co za trudna dziewczyna.

– Nie musisz. Ale przecież nic ci nie zaszkodzi?

– Nie, ale...

Czekał, aż dokończy.

– Ale co? – nie wytrzymał.

– Nie wiem. – Słowa te wymówiła wolno i wyraźnie, patrząc mu prosto w oczy.

Stłumił śmiech.

– Podejrzewasz mnie o nieczyste intencje?

– Och, nie wiem – powtórzyła z sarkazmem. — Pewnie dlatego, że cały zeszły sezon gromiłeś mnie wzrokiem.

– Nieprawda.

– Ależ tak – prychnęła.

– Może i krytycznie patrzyłem na twoich adoratorów – ech, do diabła, nie chciał tego powiedzieć – ale nie na ciebie.

– A więc mnie szpiegowałeś – triumfowała.

– Skądże – skłamał. – Ale nie mogłem przecież cię nie zauważać.

Zatkało ją z przerażenia.

– Co to ma znaczyć? Fatalnie, teraz już po nim.

– Kompletnie nic. Byłaś w Londynie. Ja byłem w Londynie. – Kiedy nie odpowiadała, dodał: – Wszystkie inne panie też widziałem. – A potem, zanim zrozumiał, że nic gorszego nie mógłby powiedzieć, dokończył: – Ale tylko ciebie pamiętam.

Znieruchomiała i patrzyła na niego tym swoim mądrym i przenikliwym spojrzeniem. Bardzo nie lubił, kiedy tak patrzyła, bo to znaczyło, że za bardzo się nad czymś zastanawia albo za dużo widzi. Czuł się wtedy obnażony. Nawet kiedy była dzieckiem, umiała zajrzeć w jego duszę dużo głębiej niż reszta rodziny. Przeważnie była wesołą, rozbawioną Honorią, lecz potrafiła tak na niego spojrzeć swoimi lawendowymi oczami, że już wiedział to, czego jej rodzina nigdy sobie nie uświadomiła: Honorio rozumie ludzi.

Rozumie jego.

Pokręcił głową, usiłując wyzwolić się od wspomnień. Nie chciał rozmawiać o jej rodzinie, o tym, jak się czuł, kiedy siedział przy ich stole i był częścią ich świata. I nie chciał myśleć o niej, patrzeć na jej twarz i myśleć o tym, że jej oczy są dokładnie koloru szafirków, które właśnie zaczynały wszędzie rosnać. Zawsze pokazywały się o tej porze roku, a on zawsze myślał – choć przez chwilę, zanim odpędził to od siebie – że to jej kwiat. Ale nie chodziło o płatki – one były za ciemne. Oczy Honorii miały dokładnie taki sam odcień, jak kwiat u nasady, tam gdzie kolor jeszcze nie całkiem przeszedł w niebieski.

Poczuł ucisk w piersi; oddychał z trudem. Naprawdę nie chciał myśleć o tym, że kiedy spojrzy na kwiat, potrafi wskazać, który dokładnie punkcik jest taki jak jej oczy.

Niech ona coś powie! Ale oczywiście milczała. Teraz, gdy z przyjemnością wsłuchałby się w jej paplaninę.

– Mogłabym cię przedstawić – odezwała się wreszcie. Cichutko.

– Co? – O czym ta dziewczyna mówi?

– Mogłabym cię przedstawić – powtórzyła – pewnym pannom. Tym, o których mówiłeś, że ich nie znasz.

O Boże, czy jej zdaniem na tym polega jego problem? Przedstawiono mu wszystkie damy w Londynie. Tyle że żadnej naprawdę nie zna.

– Chętnie to zrobię – powiedziała uprzejmie.

Uprzejmie?

Czy z litością?

– Nie trzeba – burknął szorstko.

– Jasne, przecież już cię przedstawiono...

– Po prostu nie lubię...

– Uważasz, że z nas głupty...

– Rozmawiają o niczym...

– Nawet mnie by to znudziło...

– Prawda jest taka – oznajmił, gdyż chciał jak najszybciej skończyć tę rozmowę – że nie znoszę Londynu.

Jego głos zabrzmiał niezamierzenie głośno. Marcus poczuł się jak głupiec. I to taki, który pewnie będzie musiał wziąć nóż i pociąć swoje prawie najlepsze buty.

– Nie uda się nam – powiedział. Wyglądała na zdezorientowaną.

– W ten sposób nigdy nie dojdziemy do Fensmore. – Widział, jak Honoria się powstrzymuje, by nie powiedzieć: „A nie mówiłam”, i chcąc, aby oboje zachowali godność, dodał: – Musisz wrócić do Bricstan. To bliżej i

znasz drogę. – Potem przypomniał sobie, do kogo mówi. – Znasz drogę, prawda? – upewnił się.

Trzeba przyznać, że Honoria stanęła na wysokości zadania, gdyż się nie obraziła.

– Muszę tylko trzymać się ścieżki, aż dojdę do małego stawu. Potem wchodzę na górkę i już prawie jestem.

Kiwnął głową.

– Będziesz musiała posłać po kogoś, kto mnie stąd zabierze. Ale nie człowieka z Bricstan. Prześlij polecenie do Fensmore. Do Jimmy'ego.

– Jimmy'ego?

– To mój główny stajenny. Powiedz mu, że jestem na ścieżce do Bricstan, około trzech mil od domu. Będzie wiedział, co robić.

– Możesz tu sam zostać?

– Byle nie padało. – Oboje spojrzeli na niebo, niepokojąco szare, zasnutę grubą warstwą chmur.

– A niech to... – zdenerwował się.

– Pobiegnę – powiedziała.

– Lepiej nie. – A jeśli wpadnie w prawdziwą krecią dziurę, co wtedy? – Mogłabyś się potknąć i też upaść.

Odwróciła się, żeby ruszyć w drogę, ale jeszcze się zatrzymała.

– Dasz mi znać, kiedy bezpiecznie dotrzesz do domu? – zapytała.

– Oczywiście. – Nie pamiętał, kiedy ostatnio musiał komuś dawać znać, że nic mu nie jest. Było w tym coś, co go niepokoiło. Ale i sprawiało radość.

Przyglądał się, jak odchodzi, i nasłuchiwał, póki nie ucichły odgłosy jej kroków. Jak długo potrwa, zanim przybędzie pomoc? Honoria musi wrócić do Bricstan, ma do niego około mili, pod warunkiem że się nie zgubi. Potem musi napisać list i wysłać kogoś, aby dostarczył go do Fensmore. Potem

Jimmy musi osiodłać dwa konie i przyjechać ścieżką, którą łatwiej idzie się pieszo.

Godzinę? Nie, dziewięćdziesiąt minut. Pewnie dłużej.

Zsunął się na ziemię, żeby się oprzeć o powalony pień. Dobry Boże, ależ był zmęczony. Kostka zbyt go bolała, żeby mógł zasnąć, mimo to zamknął oczy.

Właśnie wtedy poczuł pierwszą kroplę deszczu.

TTLR

Zanim Honoria dotarła do Bricstan, przemokła do suchej nitki. Nie minęło pięć minut, odkąd zostawiła Marcusa przy powalonym drzewie, kiedy zaczęło padać. Najpierw troszkę, od czasu do czasu kapnęło kilka dużych kropli. Nieszkodliwie, ot tyle, żeby człowieka rozzłościć.

Ale ledwie dotarła do końca ścieżki, rozszalała się ulewa. Najszybciej, jak potrafiła, przebiegła przez trawnik. Ale nic jej to nie dało. Po dziesięciu sekundach potopu była przemoczona.

Wolała nie myśleć o Marcusie, skazanym na siedzenie w lesie jeszcze co najmniej przez godzinę. Usiłowała sobie przypomnieć miejsce, w którym go zostawiła. Czy drzewa ochronią go przed deszczem? Wiosna dopiero nadeszła i listki na gałęziach nie były jeszcze gęste.

Najpierw spróbowała wejść do Bricstan bocznymi drzwiami, ale były zamknięte, więc musiała obejść dom i wejść od frontu. Drzwi otworzyły się, zanim zdążyła zapukać. Wpadła do środka.

– Honorio! – krzyknęła Sarah. Podbiegła, żeby ją podtrzymać. – Siedziałam przy oknie i czekałam na ciebie. Gdzieś ty była? Strasznie się denerwowałam. Mieliśmy już wysłać kogoś, aby cię szukał. Powiedziałaś, że idziesz zrywać kwiaty, ale nie wróciłaś.

Honoria usiłowała przerwać ten potok słów, lecz kiedy udało jej się złapać oddech, tylko wydusiła:

– Przestań.

Spojrzała na podłogę – u stóp miała kałużę. Malutki strumyczek wolno płynął w stronę ściany.

– Musimy cię wysuszyć – oświadczyła Sarah. Wzięła ją za rękę. Lodowate.



– Przestań, Sarah. – Honoria wyszarpnęła ręce i chwyciła kuzynkę za ramię. – Proszę. Potrzebna mi kartka. Muszę napisać list.

Sarah spojrzała na nią jak na wariatkę.

– Szybko! Muszę...

– Lady Honorio. – Do holu wbiegła pani Royle. – Tak się wszyscy martwiliśmy! Gdzie też się podziewałaś?

– Szukałam kwiatów – skłamała Honoria – ale proszę, muszę napisać list.

Pani Royle dotknęła jej czoła.

– Chyba nie masz gorączki.

– Dygocze – powiedziała Sarah. Popatrzyła na panią Royle. – Na pewno się zgubiła. Ma do tego talent.

– Tak, tak. – Honoria była gotowa przełknąć każdą zniewagę, byle tylko zakończyć rozmowę. – Ale proszę mnie przez chwilę wysłuchać. Muszę się śpieszyć. Lord Chatteris jest w lesie, nie może chodzić i obiecałam, że...

– Co? – pisnęła pani Royle. – Co ty opowiadasz? Honoria pokrótce opowiedziała historyjkę, którą wymyśliła,

wracając do domu. Odłączyła się od grupy i zgubiła drogę. Lord Chatteris spacerował po lesie. Szedł ścieżką, która, jak twierdzi, prowadzi granicą ich posiadłości. Potem skręcił nogę. Fakty w większości się zgadzały.

– Przywieziemy go tutaj – oświadczyła pani Royle. – Zaraz kogoś wyślę.

– Nie – odparła szybko Honoria. – Chce jechać do domu. Prosił, żebym wysłała wiadomość do jego stajennego. Powiedział mi dokładnie, co mam napisać.

– Nie. Moim zdaniem powinien przyjechać tutaj – upierała się pani Royle.

– Proszę, pani Royle. My się spieramy, a on czeka tam na deszczu.

Pani Royle wyraźnie biła się z myślami; w końcu skinęła głową.

– Chodź ze mną – powiedziała.

We wnętrzu holu stało biurko. Wyjęła papier, pióro i atrament i odsunęła się, żeby Honoria mogła usiąść. Ale dziewczynie zdrętwiały palce; ledwo trzymała pióro. A woda, która jej kapiała z włosów, na pewno zamoczyłaby papier.

Wtedy podeszła do niej Sarah.

– Napisać za ciebie?

Honoria z wdzięcznością kiwnęła głową i podyktowała jej dokładnie wiadomość, cały czas starając się nie zwracać uwagi na panią Royle, która stała nad nią i co chwila przerywała bardzo – jej zdaniem – pomocnymi uwagami.

Sarah dokończyła list, podpisała go za Honorię, a potem, na znak kuzynki dała go pani Royle.

– Proszę wysłać najszybszego jeźdźca, żeby go zawiózł do Fensmore – błagała Honoria.

Pani Royle wzięła list i szybko z nim odeszła. Sarah natychmiast wstała i chwyciła kuzynkę za rękę.

– Musisz się rozgrzać – oświadczyła głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Pójdiesz teraz ze mną. Już poleciłam służącej, żeby grzała wodę na kąpiel.

Honoria kiwnęła głową. Wykonała zadanie. Teraz mogła wreszcie się rozluźnić.

Jak na ironię następny ranek był piękny. Opatulona kołdrami, z gorącą cegłą w nogach, Honoria spała dwanaście godzin bez przerwy. Wreszcie do jej pokoju cichutko weszła Sarah, żeby jej powiedzieć, że przyszła wiadomość

z Fensmore. Marcus szczęśliwie dotarł do domu i zapewne też leży teraz w łóżku z gorącą cegłą w nogach.

Honorio, ubierając się, mimo wszystko martwiła się o niego. Zanim wczoraj dotarła do Bricstan, zmarła do szpiku kości, a on był na zimnie znacznie dłużej niż ona. W dodatku wiał wiatr. Kiedy się kąpała, słyszała, jak za oknem szumią i trzeszczą drzewa. Marcus prawie na pewno się przeziębził. A co, jeśli kostkę ma nie tylko zwichniętą, ale także złamaną? Czy na pewno posłali po chirurga, żeby ją nastawił? Wiedzieli, że trzeba to zrobić?

I kim w ogóle są ci „oni”? Marcus przecież nie ma żadnej rodziny. Kto o niego dba w razie choroby? Czy w Fensmore mieszka ktoś poza służbą?

Musi się upewnić, że wszystko u niego dobrze. Inaczej nie będzie mogła spojrzeć sobie w oczy.

Kiedy zeszła na śniadanie, przywitano ją ze zdziwieniem. Dżentelmeni wrócili już do Cambridge, ale panny zebrały się wokół stołu i jadły jajka na miękko z tostami.

– Honorio! – zawołała Sarah. – Dlaczego wstałaś z łóżka?

– Nic mi nie jest – zapewniła ją Honorio. – Nie złapałam nawet kataru.

– Wieczorem miała palce jak sople lodu – powiedziała Sarah do Cecyli i Iris. – Nawet pióra nie mogła utrzymać w ręce.

– Wystarczyło, że wzięłam gorącą kąpiel, dobrze się wyspałam i jestem zdrowa jak rydz. Chciałabym pojechać do Fensmore. To przeze mnie lord Chatteris skrzył nogę i koniecznie muszę sprawdzić, jak się czuje – wyjaśniła Honorio.

– Jak to przez ciebie? – zapytała Iris.

Honorio prawie się ugryzła w język. Zapomniała, że pominęła ten fakt w swojej opowieści.

– Nieważne – improwizowała. – Potknęłam się o korzeń drzewa, a on podszedł, żeby mnie podtrzymać, i wpadł do kreciej dziury.

– Nie znoszę kretów – oświadczyła Iris.

– Moim zdaniem są dość miłe – wtrąciła Cecily.

– Muszę poszukać twojej mamy, aby dała mi karetę. Albo pojedę konno.

Już nie pada.

– Najpierw powinnaś zjeść śniadanie – zauważyła Sarah.

– Nie pozwoli ci tam jechać samej – dodała Cecily. – Fensmore to dom kawalera.

– Przecież sam tam nie jest. Na pewno ma mnóstwo służby – stwierdziła Iris.

– Chyba ze sto osób. Widziałas ten dom? – zapytała Cecily. – Ogromny. Ale to bez znaczenia – zwróciła się do Honorii – i tak mieszka samotnie. Nikt tam nie nadaje się na prawdziwą przyzwoitkę.

– Wezmę kogoś ze sobą – zniecierpliwiła się Honoria. – Wszystko mi jedno. Chcę tylko jak najszybciej jechać.

– Dokąd kogoś ze sobą weźmiesz? – zapytała pani Royle, wchodząc do jadalni.

Honoria powtórzyła jej swoją prośbę; pani Royle natychmiast się zgodziła.

– Oczywiście. Musimy zadbać o hrabiego. Tego wymaga chrześcijański obowiązek.

Honoria zamrugnęła ze zdziwienia. Nie spodziewała się, że pójdzie jej tak łatwo.

– Ja z tobą pojedę – oświadczyła pani Royle.

Ktoś trzasnął filiżanką o spodek. Honoria rozejrzała się wokół stołu i zobaczyła, że Cecily sztucznie się uśmiecha, a jej palce prawie miażdżą ucho filiżanki.

– Mamo, jeśli ty pojedziesz, to ja też – oznajmiła.

Pani Royle chwilę się zastanawiała, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, odezwała się Sarah:

– Jeśli Cecily pojedzie, to ja też.

– Dlaczego? – zapytała Cecily.

– A ja chyba... w żadnym razie nie powinnam jechać – sucho odezwała się Iris.

– Wszystko mi jedno, kto ze mną pojedzie. – Honoria starała się, żeby jej głos nie zdradzał sarkazmu. – Chciałabym tylko wyruszyć jak najszybciej.

– Cecily z tobą pojedzie – zdecydowała pani Royle. – Ja zostanę z Iris i z Sarah.

Sarah najwyraźniej posmutniała, lecz się nie sprzeciwiła. Za to Cecily skoczyła na równe nogi i uśmiechała się od ucha do ucha.

– Cecily, idź na górę i każ Frances zmienić ci uczesanie – poleciła pani Royle. – Nie możemy pozwolić...

– Proszę – przerwała Honoria. – Chciałabym jechać jak najszybciej.

Pani Royle najwyraźniej przeżywała rozterkę, ale nawet ona nie mogła upierać się, że fryzura jej córki jest ważniejsza niż zdrowie hrabiego Chatteris.

– No dobrze, jedźcie, dziewczęta – zgodziła się. – Ale pamiętajcie o jednym. Jeśli jest bardzo chory, koniecznie nalegajcie, żeby na czas rekonwalescencji przeprowadził się do nas.

Honoria była prawie pewna, że do tego nie dojdzie, ale nic nie powiedziała, tylko zdecydowanie ruszyła do drzwi wyjściowych. Cecily i pani Royle deptały jej po piętach.

– I koniecznie mu powiedzcie, że w ciągu najbliższych kilku tygodni nie planujemy powrotu do Cambridge – ciągnęła pani Royle.

– Naprawdę? – zapytała Cecily.

– Tak. A ty nie masz żadnych obowiązków, więc możesz codziennie jeździć do Fensmore, żeby nadzorować opiekę nad hrabią. – Pani Royle przerwała. – To znaczy, jeśli lord Chatteris sobie tego zażyczy.

– Oczywiście, mam – przytaknęła Cecily, ale sprawiała wrażenie zawstydzonej.

– I pozdrówcie go ode mnie – dodała pani Royle.

Honorcia szybko zbiegła po schodach, aby na dole czekać na przyjazd karety.

– I powiedz mu, że oboje z panem Royle'em czekamy na jego rychłe wyzdrowienie.

– Może wcale nie jest chory, mam.

Pani Royle zgromiła ją wzrokiem.

– Ale jeśli jest...

– Przekażę mu twoje pozdrowienia – dokończyła za nią Cedry.

– Podjechała kareta – powiedziała Honorcia, która rozpaczliwie chciała stamtąd uciec.

– Pamiętajcie – zawołała pani Royle, kiedy Honorcia i Cecily z pomocą lokaja wsiadały do powozu. – Jeżeli jest chory, przywieźcie go...

Ale one już odjeżdżały.

Marcus leżał jeszcze w łóżku, kiedy kamerdyner cicho wszedł do jego pokoju i poinformował go, że przyjechały lady Honorcia Smythe-Smith i panna Royle i że czekają na niego w żółtym salonie.

– Powiedzieć im, że nie przyjmuje pan gości? – spytał.

Przez chwilę Marcusa kusilo, by się na to zgodzić. Poprzedniego wieczoru, zanim znalazł go Jimmy, tak dygotał z zimna, że aż dziw, że nie powybił sobie zębów. Potem, w domu, należało rozciąć mu but. Co samo w sobie było nieprzyjemne – lubił tę parę butów – a w dodatku służący zrobił to dość niedelikatnie i teraz Marcus miał na lewej nodze dziesięciocentymetrową ranę.

Gdyby jednak role się odwróciły, na pewno chciałby na własne oczy zobaczyć, czy Honorii nic nie jest, stwierdził więc, że musi jej pozwolić postąpić tak samo. Co do tej drugiej dziewczyny – kamerdyner mówił chyba, że to panna Royle – miał nadzieję, że nie jest zbyt wrażliwa.

Bo, kiedy niedawno spojrział w lustro, przysięgłby, że jego skóra jest koloru zielonego.

Dzięki pomocy służącego – przydał się, kiedy Marcus się ubierał i kiedy schodził na dół do salonu – uznał, gdy witał się z dwoma paniami, że wygląda nie najgorzej.

– Mój Boże, Marcus! – krzyknęła Honoria, zrywając się na równe nogi.  
– Wyglądasz jak śmierć.

Tak więc zapewne się pomylił.

– Mnie też miło cię widzieć. – Wskazał na sofę. – Mogę usiąść?

– Proszę bardzo. Masz strasznie zapadnięte oczy. – Honoria zrobiła dziwną minę, kiedy przyglądała się, jak Marcus się męczy, okrążając stół. – Pomóc ci?

– Nie, nie. Nic mi nie jest. – Dwa razy podskoczył na jednej nodze, żeby dotrzeć do leżących na brzegu poduszek, a potem prawie upadł na sofę. Wyglądało na to, że godność nie bardzo idzie w parze z chorobą.

– Panno Royle – skinął głową drugiej damie. Miał wrażenie, że już raz lub dwa się z nią widział.

– Lordzie Chatteris – odparła uprzejmie. – Moi rodzice przesyłają panu pozdrowienia i życzą szybkiego powrotu do zdrowia.

– Dziękuję.

Nagle poczuł się strasznie zmęczony. Zejście na dół po schodach było chyba trudniejsze, niż się spodziewał. Poza tym niedobrze spał w nocy. Kiedy dotknął głową poduszki, zaczął kaszleć i kasłał nadal.

– Przepraszam – wydusił. Położył przed sobą na stole poduszkę, a potem oparł o nią stopę. – Podobno muszę trzymać nogę w górze.

– Marcus. – Honoria natychmiast zrezygnowała z bawienia się w uprzejmości. – Nie powinieneś wstawać z łóżka.

– Właśnie tam byłem, kiedy poinformowano mnie, że mam gości – odparł oschle.

Pełne wyrzutu spojrzenie Honorii przypomniało mu pannę Pimm, jego nianię sprzed wielu, wielu lat.

– Należało powiedzieć kamerdynerowi, że nie przyjmujesz gości – zbesztła go.

– Naprawdę? – odburknął. – Jestem przekonany, że potulnie byś go wysłuchała i pojechała do domu, pewna, że nic mi nie jest. – Popatrzył na drugą damę, ironicznie przechylając głowę. –A jak pani myśli, panno Royle? Czy lady Honoria bez słowa by wyjechała?

– Nie, milordzie. – Usta panny Royle drżały z rozbawienia. –Była absolutnie zdecydowana osobiście się z panem zobaczyć.

– Cecyli! – oburzyła się Honoria. Marcus postanowił ją zignorować.

– Naprawdę, panno Royle? – ciągnął, jeszcze bardziej odwracając się do niej. – Ogromnie się cieszę, że tak się o mnie martwi.

– Marcus! Natychmiast przestań – zawołała Honoria.

– Uparciuch z niej – nie odpuszczał.



– Marcusie Holroyd, jeśli w tej chwili nie przestaniesz ze mnie drwić, poinformuję panią Royle, że chcesz, aby na resztę twojej rekonwalescencji przeniesiono cię do Bricstan – zagroziła.

Marcus zastygł bez ruchu i usiłował powstrzymać śmiech. Popatrzył na pannę Royle, która również powstrzymywała się od śmiechu. Oboje nie wytrzymali.

– Pani Royle aż się rwie, żeby wykazać się swoimi umiejętnościami pielęgniarскими – dodała Honoria z przewrotnie łagodnym uśmiechem.

– Wygrałaś, Honorio. – Marcus mocniej oparł się o poduszki na sofie. Ale jego śmiech przeszedł w kaszel i trwało to prawie minutę.

– Jak długo byłeś wczoraj na deszczu? – zapytała Honoria.

Wstała i dotknęła jego czoła, a panna Royle zrobiła wielkie oczy na widok takiej intymności.

– Mam gorączkę? – mruknął.

– Chyba nie. – Zmarszczyła jednak brwi. – No może stan podgorączkowy. Przyniosę ci koc.

Marcus zaczął mówić, że nie trzeba, ale potem zastanowił się: właściwie przyjemnie byłoby pod kocem. O dziwo, był jej wdzięczny, że to zaproponowała. Skinął więc głową.

– Ja go przyniosę – zaoferowała się panna Royle i poderwała się. – W holu widziałam służącą.

Kiedy wyszła, Honoria usiadła i spojrzała na niego z troską.

– Tak mi przykro. Przykro mi, że ci się to przydarzyło.

Machnął ręką na znak, że nie musi przeproszać.

– Nic mi nie będzie.

– Nie powiedziałeś mi jeszcze, jak długo byłeś na deszczu – przypomniała.

– Z godzinę? – zgadywał. – Pewnie ze dwie.

Westchnęła smutno.

– Tak mi przykro.

Lekko się uśmiechnął.

– Już to mówiłaś.

– Bo to prawda.

Znów spróbował się do niej uśmiechnąć, bo przecież ich rozmowa była całkiem bez sensu, ale zaniósł się kaszlem. Bardzo się martwiła.

– Może jednak powinieneś jechać do Bricstan.

Spiorunował ją wzrokiem.

– Cały czas niepokoję się o ciebie.

– Honorio – udało mu się wykrztusić, a potem jeszcze dwa razy kaszlnął. – Ty niedługo wyjedziesz do Londynu. Pani Royle jest naprawdę wspaniałą sąsiadką, ale ja zdecydowanie wolę zdrowieć we własnym domu.

– No tak – odparła Honoria, kręcąc głową. – Nie mówiąc już o tym, że nie minąłby miesiąc, a ożeniłaby cię z Cecily.

– Czy ktoś coś o mnie mówił? – odezwała się Cecily, która właśnie weszła do salonu z ciemnoniebieskim kocem.

Marcusa znów obezwładnił napad kaszlu, tylko częściowo udawany.

– Proszę – powiedziała Cecily. Podeszła z kocem, ale nie wiedziała, co z nim dalej robić. – Chyba ty powinnaś pomóc lordowi – zwróciła się do Honorii.

Honoria wzięła od niej koc, rozłożyła go i podeszła do Marcusa. Nachyliła się, żeby okryć go miękką wełną. Uśmiechnęła się łagodnie i opatuliła go.

– Nie za ciasno?

Pokręcił głową. Dziwnie się czuł, kiedy ktoś się o niego troszczył.

Wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i oznajmiła, że Marcus musi napić się herbaty.

– O tak – zgodziła się panna Royle. – Właśnie tego lordowi trzeba.

Tym razem Marcus nawet nie próbował się sprzeciwić. Był pewny, że wygląda żałośnie, kiedy tak siedzi owinięty kocem, z nogą opartą na stole. Wolał sobie nawet nie wyobrażać, co myślały za każdym razem, gdy zaczynał kaszleć. Ale było mu dość miło, kiedy robiły wokół niego tyle szumu, więc jeśli Honoria upierała się, że powinien napić się herbaty, był gotowy zrobić jej tę przyjemność.

Powiedział jej, gdzie pociągnąć dzwonek, żeby zamówić herbatę, a kiedy weszła służąca, Honoria wydała jej polecenie i usadowiła się na swoim poprzednim miejscu, naprzeciwko niego.

– Czy chirurg obejrzał ci kostkę? – zapytała.

– Nie musiał. Nie jest złamana.

– Na pewno? W takich przypadkach lepiej nie ryzykować.

– Na pewno.

– Wolałabym, żebyś...

– Cicho, Honorio. Nie jest złamana.

– A twój but?

– Jaki but? – spytała panna Royle. Wyglądała na zdezorientowaną.

– Niestety już po nim.

– Ojej – jęknęła Honoria. – Tak myślałam, że trzeba go rozciąć.

– Trzeba było rozciąć pański but? – powtórzyła jak echo panna Royle. –

To okropne.

– Miał strasznie spuchniętą kostkę – wyjaśniła Honoria. – Nie było innego sposobu.

– Ale but... – upierała się panna Royle.

– To nie były moje ulubione buty. – Marcus usiłował pocieszyć biedną dziewczynę. Wyglądała tak, jakby ktoś odrąbał głowę szczeniakowi.

– Ciekawe, czy można dorobić jeden but – zastanawiała się Honoria. – Żeby pasował do drugiego. Wtedy nie byłaby to taka wielka strata.

– To na pewno by się nie udało – stwierdziła panna Royle, jakby знаła się na takich sprawach. – Nie da się dobrać takiej samej skóry.

Przed długą dyskusją na temat obuwia uratowała Marcusa pani Wetherby, która od lat prowadziła mu dom.

– Przygotowałam herbatę, zanim państwo o nią poprosili – oznajmiła, wkraczając z tacą.

Uśmiechnął się, wcale tym nie zdziwiony. Zawsze tak robiła. Przedstawił ją Honorii i pannie Royle. Kiedy pani Wetherby witała się z Honorią, aż rozbłyły jej oczy.

– Pani pewnie jest siostrą panicza Daniela! – wykrzyknęła, stawiając na stole serwis do herbaty.

– Tak. – Honoria promiennie się uśmiechnęła – Zna go pani?

– Znam. Był u nas kilka razy, zwłaszcza kiedy poprzedni pan hrabia był poza miastem. I oczywiście odwiedził nas raz czy dwa po tym, jak panicz Marcus został hrabią.

Marcus poczuł, że się czerwieni, gdy użyła tytułu, którym określano go w dzieciństwie. Ale nigdy by jej nie poprawił. Kiedy dorastał, pani Wetherby była dla niego jak matka. Czasem tylko ona jedna witała go w Fensmore dobrym słowem i ciepłym uśmiechem.

– Bardzo mi miło panią poznać – ciągnęła pani Wetherby. – Tyle o pani słyszałam.

Honoria zamrugnęła ze zdziwienia.

– Naprawdę?

Marcus także zamrugał. Nie pamiętał, żeby komukolwiek wspominał o Honorii, a co dopiero swojej gospodyni.

– O tak – powiedziała pani Wetherby. – Oczywiście panicze byli wtedy dziećmi. Muszę przyznać, że cały czas wydawało mi się, że pani nadal jest dzieckiem. A z pani już dorosła dziewczyna, prawda?

Honorii uśmiechnęła się i skinęła głową.

– To z czym panie piją herbatę? – spytała gospodyni, a kiedy Honorii i panna Royle jej odpowiedziały, do wszystkich trzech filiżanek nalała mleka. – Bardzo dawno nie widziałam się z paniczem Danielem – ciągnęła; podniosła czajniczek, żeby nalać herbaty. – Niezły z niego urwis, ale lubię go. Wszystko u niego dobrze?

Zapadła niezręczna cisza. Honorii wzrokiem poprosiła Marcusa o pomoc. Odchrząknął.

– Pewnie pani tego nie mówiłem, pani Wetherby. Lord Winstead od kilku lat jest za granicą. – Resztę historii opowie jej później, ale nie przy Honorii i jej przyjaciółce.

– Rozumiem – powiedziała, prawidłowo interpretując ciszę jako wskazówkę, że nie należy drażnić tematu. Kilka razy odchrząknęła, a potem podała Honorii pierwszą filiżankę ze spodeczkiem. – A ta dla pani – zwróciła się do panny Royle.

Obie podziękowały, a ona wzięła filiżankę z herbatą dla Marcusa.

– Przypilnuje pani, żeby wszystko wypił, dobrze? – zwróciła się do Honorii.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Oczywiście.

Pani Wetherby pochyliła się nad nią.

– Dżentelmeni są bardzo trudnymi pacjentami – szepnęła głośno.

– Słyszałem – mruknął Marcus.

Gospodyni spojrzała na niego chytrze.

– No i dobrze. – Po chwili dygnęła i wyszła z salonu. Reszta wizyty przebiegła całkiem gładko. Wypili herbatę (Honorcia kazała Marcusowi wypić dwie filiżanki), zjedli ciasteczka i rozmawiali o różnych drobiazgach, aż Marcus znowu zaczął kaszleć, tym razem tak długo, że Honorcia uparła się, aby położył się do łóżka.

– Czas na nas – oświadczyła, wstając. – Pani Royle na pewno nie może się nas doczekać.

Marcus skinął głową i podziękował im uśmiechem, kiedy nalegały, żeby z ich powodu nie wstawał. I tak podejrzewał, że będzie musiał schować dumę do kieszeni i poprosić, aby zaniecono go do jego pokoju.

Oczywiście po odjeździe dam.

Stłumił jęk. Nie znosił chorować.

Kiedy znalazły się w karecie, Honorcia pozwoliła sobie rozsiąść się wygodnie i rozluźnić. Marcus wyglądał na chorego, ale nie było to chyba nic, czego nie dałoby się wyleczyć tygodniowym odpoczynkiem i pić rosołu. Lecz krótką chwilę spokoju nagle przerwała Cecylia.

– Miesiąc.

Honorcia spojrzała na nią.

– Przepraszam? – zapytała.

– Tak przewiduję. – Cecylia podniosła palec wskazujący, zakreśliła nim kółeczko, a potem nagle go rozprostowała. – Za miesiąc lord Chatteris się oświadczy.

– Komu? – zapytała Honorcia, starając się ukryć, jak jest zszokowana. Marcus nie wykazywał nadmiernego zainteresowania Cecylią, a ponadto nie leżało w jej charakterze aż tak się chwalić.

– Tobie, głuptasie.

Honorcia omal się nie udławiła.

– Och! Och! Och! Och! O, nie!

Cecylia uśmiechnęła się znacząco.

– Nie, nie. – Honorcia zachowywała się jak głuptaska, która zapomniała języka w buzi, ale była bardzo głośną, choć prawie niemą głuptaską. – Nie – powtórzyła. – O, nie.

– Jestem gotowa się założyć – figlarnie stwierdziła Cecylia. – Przed końcem sezonu wyjdiesz za mąż.

– Mam nadzieję. – Honorcia wreszcie odzyskała mowę. – Ale nie za lorda Chatterisa.

– A więc teraz jest już lordem Chatteris, tak? Nie myśl, że nie zauważyłam, jak cały czas, kiedy tam byliśmy, zwracałaś się do niego po imieniu.

– Zawsze tak do niego mówię – obruszyła się Honorcia. – Znam go od siódmego roku życia.

– Tak czy inaczej, byliście jak... Hm, jak by to powiedzieć? – Cecylia wydeła usta i wbiła wzrok w sufit karety. – Więc zachowywaliście się, jakbyście już byli małżeństwem.

– Nie bądź śmieszna.

– Mówię prawdę – powiedziała Cecylia bardzo z siebie zadowolona i zachichotała. – Poczekaj, aż powiem o tym reszcie.

Honorcia poderwała się gwałtownie.

– Ani mi się waż!

– Panienska chyba za ostro protestuje.

– Proszę cię, Cecily. Między mną a lordem Chatteris nie ma miłości. Obiecuję ci, że nigdy nie weźmiemy ślubu. Plotkowanie tylko mnie unieszczęśliwi.

Cecily przekrzywiła głowę.

– Ani trochę miłości?!

– Teraz przekręcasz moje słowa. Oczywiście, że go lubię. Był dla mnie jak brat.

– No dobrze – zgodziła się Cecily. – Nic nie powiem.

– Dzień...

– Do czasu waszego ślubu. Wtedy do każdego, kto mnie zechce słuchać, będę głośno krzyczeć: ja to przewidziałam!

Honorina nie zadała sobie nawet trudu, żeby to skomentować. Nie będzie żadnego ślubu, a więc także żadnego wykrzykiwania. Ale dopiero później zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy powiedziała, że Marcus był dla niej jak brat.

W czasie przeszłym.

Więc jeśli nie jest już dla niej bratem, to kim?



Następnego dnia Honoria wróciła do Londynu. Sezon zaczynał się za ponad miesiąc, panowała jednak gorączka przygotowań. Według kuzynki Marigold, świeżo upieczonej mężatki, która odwiedziła Honorię od razu pierwszego dnia po jej powrocie, przebojem sezonu był kolor różowy, chociaż kiedy szło się do modystki, należało uważać, aby określać go jako różany, liliowy lub rubinowy. Ponadto koniecznie trzeba było mieć kolekcję bransoletek. Żadna kobieta nie może się bez nich obejść, zapewniła Marigold.

Korzystając z rad Marigold na temat mody, na koniec tygodnia Honoria zaplanowała wizytę u modystki. Ale nim zdążyła wybrać swój ulubiony odcień różu (dla uproszczenia wybrała różany), przyszedł do niej list z Fensmore.

Honoria otworzyła go z niecierpliwością, zakładając, że jest od Marcusa. Zdziwiła się, że do niej pisze. Ale kiedy rozłożyła duży arkusz papieru kancelaryjnego, stwierdziła, że jest napisany wyraźnie damskim charakterem.

*Droga Lady Honorio,*

*proszę wybaczyć, że ośmielam się do Pani pisać, ale nie przychodzi mi na myśl nikt inny, do kogo mogłabym się zwrócić. Lord Chatteris jest chory. Od trzech dni ma gorączkę, a wczorajszej nocy był prawie nieprzytomny. Codziennie po południu odwiedza go lekarz, ale jedyne, co nam radzi, to czekać i obserwować przebieg choroby.*

*Pani wie, hrabia nie ma rodziny. Sądzę jednak, że powinnam kogoś powiadomić, a hrabia zawsze bardzo ciepło wyrażał się o Pani rodzinie.*

*Z wyrazami szacunku, Pani Wetherby Gospodyni Lorda Chatteris*

– O nie – szepnęła Honoria i tak długo wpatrywała się w list, że aż dostała zęza. Jak to możliwe? Kiedy wyjeżdżała z Fensmore, Marcus

faktycznie brzydko kaszłał, ale raczej nie miał gorączki. Nic nie wskazywało, że może mu się aż tak bardzo pogorszyć.

I w jakim celu pani Wetherby przysłała jej ten list? Czy chciała ją prosto poinformować o zdrowiu Marcusa, czy w podtekście prosiła, żeby Honoria przyjechała do Fensmore? A jeśli to drugie, czy to znaczy, że stan Marcusa jest poważny?

– Mamo! – zawołała. Odruchowo wstała i zaczęła krążyć po domu. Serce waliło jej w piersi, a ona chodziła coraz szybciej. I coraz głośniej wołała: – Mamo!

– Honorio? – Lady Winstead pojawiła się na górze przy schodach, chłodząc się swoim ulubionym chińskim wachlarzem z jedwabiu. – Co się stało? Jakiś kłopot z modystką? Myślałam, że wybierasz się do niej z Marigold.

– Nie, nie o to chodzi. – Honoria prędko wbiegła po schodach. – Chodzi o Marcusa.

– Marcusa Holroyda?

– Tak. Dostałam list od jego gospodyni.

– Gospodyni? A po cóż miałyby...

– Widziałam się z nim w Cambridge, pamięta mama? Mówiłam o tym...

– A tak, tak. – Matka się uśmiechnęła. – Co za miły zbieg okoliczności, że go spotkałaś. Pani Royle mi o tym pisała. Ma chyba nadzieję, że zakocha się w jej córce.

– Mamo, proszę to przeczytać. – Honoria pokazała jej list od pani Wetherby. – Marcus jest bardzo chory.

Lady Winstead szybko przebiegła wzrokiem liścik. Zmartwiła się.

– Ojej. Naprawdę wygląda to bardzo źle.

Honorio ciężko oparła dłoń na ramieniu matki, tak jakby chciała przekonać ją o powadze sytuacji.

– Musimy jechać do Fensmore. Natychmiast.

Lady Winstead podniosła na nią zdziwiony wzrok.

– My?

– On nikogo innego nie ma.

– To niemożliwe.

– Ależ tak – nalegała Honorio. – Nie pamiętasz, jak często u nas mieszkał, kiedy byli z Danielem w Eton? To dlatego, że nie miał gdzie jechać. Chyba niezbyt rozumieli się z ojcem.

– Nie wiem. Nie chciałam się narzucać. – Matka zmarszczyła brwi. – Nie jesteśmy rodziną.

– On nie ma rodziny!

Lady Winstead zagryzła dolną wargę.

– Był bardzo miłym chłopcem, ale chyba... Honorio oparła ręce na biodrach.

– Jeśli mama ze mną nie pojedzie, pojedę sama.

– Honorio! – Lady Winstead z przerażenia cofnęła się o krok i po raz pierwszy podczas rozmowy jej jasne oczy rozbliły. – Tego nie wolno ci zrobić. Zszargałabyś sobie reputację.

– Może on umiera!

– Na pewno nie jest aż tak źle.

Honorio splotła dłonie. Zaczynały się trząść, a palce miała jak z lodu.

– Gospodyni nie napisałyby do mnie, gdyby tak nie było.

– No dobrze. – Lady Winstead westchnęła. – Wyruszymy jutro.

Honorio pokręciła głową.

– Dzisiaj.

– Dzisiaj? Przecież wiesz, że podróż trzeba zaplanować. W żaden sposób nie mogę...

– Dzisiaj, mamó. Nie ma czasu do stracenia. – Honoria już zbiegała ze schodów. – Każę przygotować kareta. Za godzinę bądź gotowa – zawołała przez ramię.

Ale lady Winstead wykazała się odrobiną energii, jaka jej pozostała po tym, jak jej jedyny syn musiał wyjechać z kraju, i się postarała. Po czterdziestu pięciu minutach miała spakowane torby i w towarzystwie pokojówki czekała na Honorię w salonie.

Pięć minut później były w drodze.

Podróż do północnego hrabstwa Cambridge trwała cały (długi) dzień, zbliżała się więc dwunasta w nocy, kiedy kareta Winsteadów dojechała do Fensmore. Lady Winstead zasnęła za Saffron Walden, ale Honorii absolutnie nie chciało się spać. Kiedy tylko skręcili w długi podjazd prowadzący do pałacu, zrobiła się tak napięta i czujna, że omal nie ścisnęła klamki w drzwiczkach. Była w takim stanie, że gdy się w końcu zatrzymali, nie czekała, aż ktoś podejdzie jej pomóc. Błyskawicznie otworzyła drzwi, zeskoczyła i wbiegła po frontowych schodach.

W domu panowała cisza. Honoria co najmniej pięć minut waliła w drzwi kołatką, aż w jednym z okien zobaczyła migotanie świecy i usłyszała szybko zbliżające się kroki.

Drzwi otworzył kamerdyner – nie pamiętała, jak się nazywał – i zanim zdążył się odezwać, poinformowała go:

– Pani Wetherby napisała mi, że hrabia jest ciężko chory. Muszę go natychmiast zobaczyć.

Kamerdyner cofnął się. Był równie wyniosły, jak jego arystokratyczny pracodawca.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

Honorcia musiała się przytrzymać framugi drzwi.

– Co to znaczy? – szepnęła. Przecież Marcus nie mógł dać się zmóc gorączce w tak krótkim czasie od napisania listu przez panią Wetherby.

– Hrabia śpi – cierpko odparł kamerdyner. – Nie obudzę go o tej porze nocy.

Honorcia poczuła falę ulgi, jak chory, któremu krew napływa do zdrętwiałej nogi.

– Och, dziękuję – powiedziała z żarem i wzięła kamerdynera za rękę. – A teraz, proszę. Muszę go zobaczyć. Obiecuję, że nie będę go niepokoić.

Kamerdyner przeraził się, czując jej dłoń w swojej.

– Nie mogę pani pozwolić zobaczyć go o tak późnej porze. Proszę zauważyć, że nawet nie raczyła się pani przedstawić.

Honorcia zamrugła. Czy Fensmore odwiedza tak dużo gości, że nie pamięta jej wizyty zaledwie kilka dni temu? Zauważyła, że on mruży oczy w ciemności. Dobry Boże, pewnie jej wyraźnie nie widzi.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny – dodała łagodnie. – Jestem Honorcia Smythe-Smith, a moja matka, hrabina Winstead, czeka w karecie ze służącą. Może ktoś by jej pomógł wysiąść?

Kamerdyner nagle zmienił się na twarzy.

– Lady Honorcia! – krzyknął. – Proszę mi wybaczyć. Nie poznałem pani w ciemności. Proszę, proszę do środka.

Ujął ją za ramię i wszedł z nią do domu. Honorcia pozwoliła się prowadzić. Zwolniła jednak i spojrzała na karecię.

– Moja matka...

– Jak najszybciej wyśle lokaja, żeby się nią zajął – zapewnił kamerdyner. – Ale musimy szybko dać pani jakiś pokój. Żaden nie jest przygotowany, ale kilka można szybko wyszykować. – Zatrzymał się przy jednych z drzwi, zajrzał do środka i kilka razy szybko pociągnął za sznurek.

– Służące zaraz wstaną.

– Proszę ich nie budzić z mojego powodu – powiedziała Honoria, ale sądząc po energii, z jaką pociągnął za dzwonek, chyba było już za późno. – Czy mogę porozmawiać z panią Wetherby? Przykro mi ją budzić, ale to sprawa niezwyklej wagi.

– Oczywiście, oczywiście – zgodził się kamerdyner, nadal prowadząc ją w głąb domu.

– A moja matka... – Nerwowo spojrzała za siebie. Po początkowych protestach lady Winstead przez resztę dnia była znakomitym kompanem. Honoria nie chciała zostawiać jej śpiącej w karecie. Woźnica i koniuszy na pewno by jej nie opuścili, no i oczywiście naprzeciwko niej siedziała służąca – też mocno spała – ale i tak nie wypadało się nią nie zająć.

– Przywitam ją, jak tylko panią zaprowadzę do pani Wetherby – obiecał kamerdyner.

– Dziękuję panu, panie... – Niezbyt dobrze się czuła, nie wiedząc, jak się nazywa.

– Stringpeace, milady. – Ujął jej dłoń i uścisnął. Ręce miał wilgotne, a uścisk słaby, ale czuła w nim pośpiech. A także wdzięczność. Podniósł wzrok i jego ciemne oczy spotkały się z jej oczami. – Milady, bardzo się cieszę z pani przyjazdu.

Dziesięć minut później pani Wetherby i Honoria stały przed drzwiami pokoju Marcusa.

– Nie wiem, czy hrabia chciałby, żeby widziała go pani w takim stanie – powiedziała gospodyni – ale skoro przyjechała pani z tak daleka...

– Nie będę mu przeszkadzać – przerwała jej Honoria. – Muszę tylko na własne oczy zobaczyć, że jest zdrowy.

Pani Wetherby przełknęła ślinę i popatrzyła na nią.

– Nie jest zdrowy, panienko. Powinna pani się na to przygotować.

– Nie chciałam powiedzieć „zdrowy” – niepewnie wykrztusiła Honoria.

– Chciałam, no, sama nie wiem, co chciałam powiedzieć, tyle tylko...

Gospodyni delikatnie położyła dłoń na jej ramieniu.

– Rozumiem. Czuje się trochę lepiej niż wczoraj, kiedy do pani pisałam.

Honoria kiwnęła głową, ale miała wrażenie, że zrobiła to sztywno i niezgrabnie. Wydawało jej się, że gospodyni chodzi o to, że Marcus nie jest o krok od śmierci, lecz małe to pocieszenie, gdyż znaczyło, że był o krok od śmierci. A jeśli tak, to przecież może się to powtórzyć.

Pani Wetherby położyła palec wskazujący na ustach, dając Honorii znak, żeby cicho weszła do pokoju. Powoli obróciła gałkę klamki i drzwi o dobrze naoliwionych zawiasach bezszelestnie się otworzyły.

– Śpi – szepnęła.

Honoria skinęła głową i zrobiła krok do przodu, mrugając w przyćmionym świetle. W pokoju było bardzo gorąco, a powietrze aż gęste.

– Nie jest mu za gorąco? – szepnęła do pani Wetherby. Z trudem oddychała w dusznym pomieszczeniu, a Marcus zakopany był pod całą górą koców i kołder.

– Zrobiliśmy to, co kazał lekarz – odparła pani Wetherby. – W żadnym wypadku nie wolno nam go przeziębć.

Honorcia pociągnęła za brzeg swojego kołnierzyka – szkoda, że nie da się go poluzować. Dobry Boże, jeśli ona czuje się tak źle, to co dopiero Marcus. Nie potrafiła uwierzyć, że coś takiego może służyć zdrowiu.

Ale jeśli nawet jest przegrzany, to przynajmniej śpi. Jego oddech wydawał się normalny, przynajmniej o ile Honorcia umiała to ocenić. Nie wiedziała, czego należy nasłuchiwać przy łóżku chorego – pewnie wszystkiego, co wydaje się dziwne. Podeszła bliżej i nachyliła się nad nim. Chyba bardzo się pocił. Widziała tylko jedną stronę jego twarzy, ale skóra nienaturalnie mu błyszcząca i w powietrzu unosił się stęchły zapach ludzkiego wyczerpania.

– Moim zdaniem naprawdę nie powinien leżeć pod tyłoma kocami.

Lekarz wyraźnie nam to nakazał. Honorcia podeszła jeszcze bliżej, aż jej nogi dotknęły brzegu łóżka.

– Nie wygląda na wygodne.

– Wiem – zgodziła się pani Wetherby.

Honorcia nieśmiało wyciągnęła rękę, żeby sprawdzić, czy choćby o kilka centymetrów odsunie górę okryć. Chwyciła brzeg kołdry – leżała na wierzchu – leciutko pociągnęła i...

– Aaaaaach!

Krzyknęła i odskoczyła do tyłu. Chwyciła panią Wetherby za ramię. Marcus poderwał się gwałtownie, prawie usiadł i jak oszalały rozglądał się dookoła.

Chyba był nagi. Przynajmniej powyżej pasa, bo tyle widziała.

– Wszystko dobrze, wszystko dobrze – uspokajała, choć jej głos nie brzmiał pewnie. Nie umiała dobrze udawać.



Ciężko oddychał i był bardzo niespokojny; nie patrzył na nią. Czy on w ogóle zdaje sobie sprawę z jej obecności? Szarpał głową, jakby czegoś szukał, potem robił to coraz szybciej: dziwnie nią potrząsał.

– Nie – powiedział, ale bez przekonania. Nie był chyba zły, tylko zdenerwowany. – Nie.

– On się nie obudził – szepnęła pani Wetherby.

Honorcia przytaknęła i w końcu zrozumiała, czego się podjęła. Nic nie wiedziała o chorobach i nie miała bladego pojęcia, jak zajmować się kimś, kto gorączkuje.

Czy po to przyjechała? Żeby się nim zająć? Wiadomość pani Wetherby tak ją zmartwiła, że nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, żeby go zobaczyć. Myślami nie wybiegała dalej.

Ależ z niej idiotka! Co sobie właściwie wyobrażała?! Że zobaczy go, okręci się na pięcie i wróci do domu?

Musi się nim zająć. Jest tu, więc to nie ulega wątpliwości. Ale perspektywa opieki przerażała ją. A co jeśli popełni jakiś błąd? Jeśli mu się przez nią pogorszy?

Sytuacja bez wyjścia. Marcus jej potrzebuje. On nikogo nie ma. Honorcia ze zdziwieniem i z odrobiną wstydu stwierdziła, że do tej pory nie bardzo zdawała sobie z tego sprawę.

– Posiedzę przy nim – zwróciła się do pani Wetherby.

– Nie, panienko, nie może pani. To nie byłoby...

– Ktoś musi przy nim być – oświadczyła Honorcia. – Nie powinien być sam. – Wzięła gospodynię pod ramię i poprowadziła ją na drugą stronę pokoju. Tak blisko Marcusa nie dało się rozmawiać. Znowu się położył, ale tak niespokojnie się rzucał, że Honorcia podskakiwała za każdym razem, kiedy na niego spojrzała.

– Ja zostanę. – Pani Wetherby chyba nie bardzo miała na to ochotę.

– Na pewno przesiedziała już pani przy nim wiele godzin. Teraz moja kolej. Pani musi odpocząć.

Pani Wetherby z wdzięcznością skinęła głową.

– Nikt nic nie powie – powiedziała, kiedy dochodziła do drzwi na korytarz. – O tym, że pani jest w jego pokoju. Obiecuję, że nikt w Fensmore nie piśnie ani słowa.

Honorii uśmiechnęła się z nadzieją, że dodaje jej tym otuchy.

– Jest tutaj moja matka. Może nie w tym pokoju, ale w Fensmore. To powinno wystarczyć, żeby powstrzymać plotki.

Pani Wetherby kiwnęła głową i wyszła z pokoju. Honorii nasłuchiwała odgłosu jej kroków, aż całkowicie ucichły.

– Ojej, Marcus – szepnęła, powoli znów się do niego zbliżając. – Co się z tobą stało? – Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, ale pomyślała: Nie, lepiej nie. Nie wypada, a poza tym nie chciała go jeszcze bardziej niepokoić.

Wyszarpnął rękę spod okryć. Przez chwilę się kręcił, aż usadowił się na boku, z nagim ramieniem na kołdrze. Nie zdawała sobie sprawy, że ma takie mięśnie. Oczywiście, wiedziała, że jest silny. To jasne... Zastanawiała się przez chwilę. Właściwie, to nie jest jasne. Nie pamięta, kiedy ostatnio widziała, żeby podnosił jakiś ciężar. Ale sprawiał wrażenie silnego. Miał coś w sobie. Jakąś moc. Nie wszyscy mężczyźni to mają. Właściwie większość nie, przynajmniej spośród znajomych Honorii.

Nie wiedziała jednak, że męskie mięśnie mogą rysować się pod skórą aż tak wyraźnie.

Ciekawe.

Nachyliła się trochę bardziej, lekko przekrzywiła głowę i przesunęła do przodu świecę. Jak nazywa się ten mięsień na ramieniu? U niego taki całkiem, całkiem...

Nabrała powietrza, przerażona swoimi myślami, i cofnęła się. Nie jest tutaj, żeby biedaka pożerać wzrokiem, tylko żeby się nim zająć. Zresztą, jeśli ma już na kogoś patrzeć tak pożądliwie, w żadnym razie nie powinien to być Marcus Holroyd.

Kilka kroków dalej stało krzesło, więc przysunęła je na tyle blisko łóżka, żeby w każdej chwili móc służyć Marcusowi pomocą, ale nie za blisko, żeby jej nie uderzył, kiedy wymachiwał rękami.

Chyba schudł. Skąd taki wniosek, skoro był zakopany pod kołdrami i kocami? Ale zdecydowanie stracił na wadze. Twarz miał zmizerowaną, a oczy podkrążone; nawet w słabym świetle świecy to widziała.

Kilka minut siedziała bez ruchu. Właściwie czuła się dość głupio. Przecież powinna coś robić. No tak, przyglądała mu się, ale nie zdawało jej się to niczym ważnym, zwłaszcza że tak bardzo musiała się starać nie patrzeć na niektóre części jego ciała. Wyglądało na to, że się uspokoił; wprawdzie od czasu do czasu poruszał się pod przykryciami, przeważnie jednak spał.

Mój Boże, ale tu gorąco. Honoria nadal była w tej samej, ładnej sukience, co w dzień, zapinanej na guziczki z tyłu. Jedno z tych bezsensownych damskich ubrań, których nie da się włożyć (bądź też zdjąć) bez pomocy.

Uśmiechnęła się. Trochę jak buty Marcusa. Dobrze wiedzieć, że mężczyźni też czasami hołdują równie niepraktycznej modzie, jak kobiety.

Tyle że przy łóżku chorego ta sukienka była absolutnie niepraktyczna. Honorii udało się rozpiąć kilka górnych guziczków. Strasznie się przy tym zdyszała.

– To nie może być zdrowe – powiedziała, przytrzymała sobie kołnierzyk dwoma palcami i próbowała nim ruszać, żeby ochłodzić spoconą szyję.

Spojrzała na Marcusa. Nie wyglądał na rozdrażnionego jej głosem. Zrzuciła buty, a potem – i tak była już na tyle rozebrana, że w razie gdyby ktoś ją zobaczył, jej reputacja ległaby w gruzach – schyliła się i zdjęła pończochy.

Och! – popatrzyła na nie z przerażeniem. Całkiem mokre.

Wzdychając, zrezygnowana rozłożyła je na oparciu krzesła, lecz po chwili stwierdziła, że lepiej nie wystawiać ich na widok. Zwinęła je więc w kłębek i wcisnęła do buta. A potem, na stojąco, chwyciła za spódnicę i poruszała nią, żeby ochłodzić sobie nogi.

To nie do wytrzymania. Wszystko jej jedno, co powiedział lekarz. Nie uwierzy, że to zdrowe. Podeszła do łóżka, żeby jeszcze raz popatrzeć na Marcusa, ale nadal z bezpiecznej odległości, na wypadek gdyby wymachiwał rękami.

Ostrożnie, lecz zdecydowanie wyciągnęła rękę. Nie dotknęła go, ale stała blisko. Powietrze przy jego ramieniu było co najmniej kilka stopni cieplejsze niż w pokoju.

Trzeba wziąć poprawkę na to, że może trochę przesadza, no bo przecież sama jest rozgrzana. Ale i tak...

Rozejrzała się po pokoju za czymś, czym mogłaby go powachlować. Szkoda, że nie zabrała któregoś z chińskich wachlarzy matki. Mama ostatnio bez przerwy się wachlowała. Nigdzie się nie ruszała, nie mając w kuferku co najmniej trzech wachlarzy. No i bardzo dobrze, bo wciąż je gdzieś zostawiała.

Ale tu nic nie nadawało się do wachlowania, więc Honoria nachyliła się i delikatnie dmuchnęła na Marcusa. Nie poruszył się, co wzięła za dobry znak.

Zachęcona sukcesem (jeśli można tak to nazwać) spróbowała ponownie, mocniej. Tym razem lekko zadrżał.

Czy to dobrze? Zmarszczyła brwi. Jeśli był tak spocony, na jakiego wyglądał, ryzykowała, że się przeziębii, a właśnie przed tym ostrzegął lekarz.

Znowu usiadła, wstała, usiadła. Dłonią nerwowo uderzała o udo. Nie panowała nad tym odruchem, więc musiała przytrzymać dłoń drugą ręką, żeby się nie ruszała.

To nie ma sensu. Wstała i podeszła do niego. Znow miotał się pod kołdrami, chociaż nie tak gwałtownie, żeby je z siebie zrzucić.

Powinna go dotknąć. Naprawdę. To jedyny sposób, żeby sprawdzić, jak jest gorący. Nie była pewna, co wtedy zrobi, ale to bez znaczenia. Jeśli jest jego pielęgniarzką – a na to wyglądało – musi większą uwagę zwracać na to, jak on się czuje.

Wyciągnęła rękę i lekko dotknęła jego ramienia. Nie był aż tak gorący, jak się spodziewała, ale może to dlatego, że i ona była rozpalona. Pocił się jednak, zauważyła, że jego pościel zwilgotniała.

Czy powinna ją zabrać? Zostałyby mu koce. Wyciągnęła rękę i leciutko szarpnęła, drugą ręką przytrzymując górną kołdrę, żeby się nie ześlizgnęła. Ale się nie udało: cała sterta zsunęła się na bok i ukazała się długa, lekko zgięta noga.

Honorcia oniemiała. Tutaj też był nieźle umięśniony.

Nie! Nie! Nie! Nie będzie tak patrzeć na Marcusa. Nie. Nie na niego. Zdecydowanie nie na niego. A poza tym musi czymś go okryć, zanim się odwróci i całkiem odsłoni, no bo czy on ma na sobie jakąś bieliznę? Nagie ręce, nagie nogi, więc...

Spojrzała na jego tułów. Nadal był oczywiście przykryty, ale jeśli ona przypadkiem się potknie o łóżko...

Chwyciła za kołdrę i przesunęła ją, żeby go okryć. Ktoś inny musi zmienić mu pościel. O mój Boże, ale jej gorąco. Jak to możliwe, że tak się nagrzała? Może powinna na chwilę wyjść na zewnątrz. Albo uchylić okno i postać przy nim.

Dłonią wachlowała powietrze przy swojej twarzy. Powinna usiąść. Jest tu przecież wygodne krzesło i może aż do rana siedzieć z dłońmi przyzwoicie splecionymi na kolanach. Spojrzy na niego jeszcze tylko raz, żeby się upewnić, że nic mu nie jest.

Podniosła świeczkę i przytrzymała ją nad jego twarzą.

Miał otwarte oczy.

Cofnęła się. Przedtem też otwierał oczy, co wcale nie znaczyło, że się obudził.

– Honorio? Co ty tutaj robisz?

To już jednak na pewno znaczyło, że nie śpi.

Marcus czuł się jak w piekle.

Nie, czuł się, jakby wrócił z piekła. I poszedł tam jeszcze raz, bo za pierwszym razem nie było dość gorąco.

Nie miał pojęcia, od jak dawna choruje. Może dzień? Dwa? Gorączka zaczęła się... we wtorek? Tak, we wtorek, choć to bez znaczenia, bo i tak nie wie, jaki to teraz dzień.

A raczej noc. Pewnie noc, pomyślał. Było ciemno i, na miłość boską, strasznie gorąco. Tak naprawdę tylko na tym się skupiał.

Może rzeczywiście był w piekle, a potem ściągnął je tu za sobą. A może nadal w nim jest – jeśli tak, to mają tam wygodne łóżka.

To chyba przeczy wszystkiemu, czego nauczył się w kościele.

Ziewnął, wyciągnął szyję w lewo, a potem w prawo, wreszcie położył głowę znów na poduszce. Znał tę poduszkę. Miękką, z gęsiego puchu i odpowiednio grubą. Leży we własnym łóżku, w swojej własnej sypialni. I na pewno jest noc. Ciemno. To wiedział, choć nie starczyło mu energii, aby otworzyć oczy.

Słyszał, jak pani Wetherby krząta się po pokoju. Pewnie przez cały czas choroby go nie opuściła. Nie dziwiło go to, ale i tak był jej wdzięczny za opiekę. Od czasu, kiedy źle się poczuł, przynosiła mu rosół i jak przez mgłę pamięta, że konsultowała się z lekarzem.

Dotknęła jego ramienia. Palce miała miękkie i delikatne, a jednak nie wyrwała go z odrętwienia. Nie mógł się ruszyć, tak był zmęczony. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek coś takiego się z nim działo. Całe ciało miał obolałe, a zwłaszcza nogę. Chciał tylko zasnąć. Ale było tak gorąco. Kto i po co tak nagrzewa pokój?

Pani Wetherby jakby czytała mu w myślach – pociągnęła za kołdrę, a Marcus, ucieszony, przeturlał się na bok, zdrową nogą na wierzchu. Powietrze! Dobry Boże, jak przyjemnie! Może uda mu się całkiem rozkopać. Czy byłaby bardzo zgorszona, gdyby leżał prawie nagi? Pewnie tak, ale jeśli miałyby go to wyleczyć...

Wtedy jednak znów zaczęła go przykrywać, co bardzo go wzruszyło. Zebrał w sobie ostatki energii, otworzył oczy i...

To nie pani Wetherby.

– Honorio? – wychrypiał. – Co ty tutaj robisz?

Odskoczyła; jakoś tak dziwnie zaświergotała, że rozboleły go uszy. Znowu zamknął oczy. Nie miał dość energii, żeby z nią rozmawiać, ale jej obecność go intrygowała.

– Marcus? Możesz coś powiedzieć? Nie śpisz? – zapytała z dziwnym naciskiem.

Lekko kiwnął głową.

– Marcus? – Była teraz bliżej i czuł na szyi jej oddech. Straszne. Za gorąco i za blisko.

– Skąd się tu wzięłaś? – znów spytał bełkotliwie, jakby słowa grzęzły w mazi. – Powinnaś być... – Właściwie gdzie powinna być? Chyba w Londynie. Prawda?

– O mój Boże! – Dotknęła jego czoła dłonią. Była gorąca, jak wszystko wokół.

– Hono... Honor... – Nie potrafił wymówić jej pełnego imienia. Starał się; poruszał ustami, wziął jeszcze kilka głębokich oddechów. Za duży wysiłek! Zwłaszcza że nie odpowiadała na jego pytanie. Skąd się tutaj wzięła?

– Byłeś bardzo chory – powiedziała.



Kiwnął głową. To znaczy, może kiwnął. Przynajmniej pomyślał o tym, żeby kiwnąć.

– Pani Wetherby napisała do mnie do Londynu.

Więc to tak. A jednak dziwne.

Wzięła jego rękę w swoją i poklepała ją nerwowo rozdygotana.

– Przyjechałam jak najszybciej. Mama też jest tutaj.

Lady Winstead? Spróbował się uśmiechnąć. Lubi lady Winstead.

– Wydaje mi się, że wciąż gorączkujesz – niepewnie powiedziała Honoria. – Masz ciepłe czoło. Chociaż przyznaję, że w pokoju panuje straszliwy upał. Nie wiem, czy to ty jesteś gorący, czy po prostu powietrze.

– Proszę – jęknął i lekko ją klepnął. Otworzył oczy i zamrugął w przytłumionym świetle. – Okno.

Pokręciła głową.

– Przepraszam. Chciałabym je otworzyć, ale pani Wetherby powiedziała, że lekarz powiedział...

– Proszę! – błagał, prawie bliski płaczu. Wszystko mu jedno. Niech tylko ona otworzy okno.

– Marcusie, nie mogę... – Ale widział, że się waha.

– Duszę się – powiedział. Uważał, że nie przesadza.

– No dobrze. – Podbiegła do okna. – Ale nikomu nie mów.

– Obiecuję – wymamrotał. Nie mógł się podnieść, żeby jej się przyglądać, ale w głębokiej, nocnej ciszy słyszał każdy jej ruch.

– Pani Wetherby oświadczyła bardzo stanowczo: W pokoju musi być gorąco – powiedziała, odsuwając zasłonę.

Marcus jęknął i lekceważąco machnął ręką.

– Niewiele wiem o opiece nad chorymi – otworzyła okno –ale trudno mi sobie wyobrazić, że leżenie w takiej spiekocie może być zdrowe dla kogoś, kto gorączkuje.

Marcus poczuł powiew chłodniejszego powietrza i prawie rozplakał się ze szczęścia.

– Nigdy nie miałam gorączki. – Honoria znów stała przy nim. – Przynajmniej tego nie pamiętam. Czy to nie dziwne?

W jej głosie usłyszał uśmiech. Wiedział nawet, co to za uśmiech – troszkę zakłopotany, z odrobiną zdziwienia. Często tak się uśmiechała. I za każdym razem prawą stronę ust miała troszkę wyżej niż lewą.

A teraz to słyszał. Piękny ten uśmiech. I dziwny. Jakie to niezwykle, że tak dobrze ją zna. Chyba lepiej niż kogokolwiek innego. Ale to nie to samo, co znać czyjś uśmiech.

A może jednak?

Przysunęła krzesło bliżej jego łóżka i usiadła.

– Nawet mi to nie przyszło do głowy, zanim przyjechałam tobą się opiekować. To znaczy, nie miałam gorączki. Mama mówi, że gorączka jest straszna.

Przyjechała do niego? Nie wiedział dlaczego, ale uznał to za nadzwyczajne. W Fensmore ona nie ma nikogo innego, do kogo mogłaby przyjechać, a oto jest tu, w jego pokoju, kiedy on choruje. To jakieś takie... No, nie dziwne. Nie zaskakujące. Tylko...

Niespodziewane.

Mimo zmęczenia starał się myśleć logicznie. Czy to możliwe, żeby coś nie było zaskakujące, a jednak niespodziewane? Bo właśnie tak się działo. Nigdy by się nie spodziewał, że Honoria rzuci wszystko i przyjedzie do

Fensmore, żeby nim się opiekować. A jednak to, że tu jest, wcale go nie zdziwiło.

Wydawało mu się niemal czymś normalnym.

– Dziękuję, że otworzyłaś okno – szepnął.

– Nie ma za co. – Usiłowała się uśmiechnąć, ale nie potrafiła ukryć, że się martwi. – Długo nie musiałeś mnie przekonywać. Nigdy w życiu nie było mi tak gorąco.

– Mnie też nie – spróbował zażartować. Uśmiechnęła się naprawdę szczerze.

– Och, Marcus – powiedziała i wyciągnęła rękę, żeby odgarnąć mu włosy z czoła. Pokręciła głową: chyba nie wiedziała, dlaczego to robi. Jej też włosy opadały na twarz, jak zawsze proste jak drut. Dmuchała na nie, usiłując się ich pozbyć, ale i tak spadały. W końcu zgarnęła je palcami i wcisnęła za ucho.

Znowu spadły jej na twarz.

– Wyglądasz na zmęczoną – wychrypiał.

– Powiedział ten, który wszystko widzi.

– Masz rację. – Podkreślił to ruchem palca wskazującego. Chwilę była cicho, aż nagle podskoczyła.

– Chcesz się czegoś napić?

Kiwnął głową.

– Tak mi przykro. Powinnam cię była o to spytać, jak tylko się obudziłeś.

Pewnie strasznie chce ci się pić.

– Tylko troszkę – skłamał.

– Pani Wetherby zostawiła dzbanek z wodą. – Sięgnęła po coś, co stało za nią na stole. – Nie jest zimna, ale i tak powinna orzeźwiać.

Znów kiwnął głową.

Podawała mu szklanę, ale zaraz zorientowała się, że w pozycji leżącej on nie może pić.

– Pozwól, że ci pomogę. – Odstawiła szklanę na stół. Chwyliła go oburącz i bardziej siłą samozaparicia niż mięśni pomogła mu usiąść. – Dobrze – powiedziała głosem pewnej siebie guwernantki. – Jeszcze tylko zawiniemy ten koc i już możesz napić się wody.

Zamrugął – za każdym razem tak wolno, że nie był pewny, czy uda mu się znów otworzyć oczy. Nie ma na sobie koszuli. To śmieszne, że dopiero teraz to zauważył. A jeszcze śmieszniejsze: nie martwi się, że urazi jej dziewczęcą wrażliwość.

Może ona się rumieni. W ciemności nie widać. Ale to bez znaczenia. To jest Honoria. Ktoś bliski. W głowie ma po kolei. Nie zbulwersuje jej widok jego obnażonego torsu.

Wypił trochę wody, a potem pociągnął jeszcze jeden łyk; ledwie zauważył, że cieknie mu po brodzie. Dobry Boże, co za ulga! Suchy język mu spuchł. Honoria coś mruknęła, a potem otarła mu twarz dłonią.

– Przepraszam. Nie mam chusteczki.

Wolno pokiwał głową; chciał zapamiętać, co czuje, gdy ona dotyka jego policzka.

– Byłaś tu już wcześniej – powiedział.

Spojrzała na niego pytająco.

– Dotykałaś mojego barku.

Lekko się uśmiechnęła.

– Kilka minut temu.

– Tak – zastanowił się. – Acha.

– Siedzę przy tobie od kilku godzin.

Lekko zadrżała mu broda.

– Dziękuję.

To jego głos? Boże, jaki słaby.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że usiadłeś. To znaczy... wyglądasz okropnie, ale o wiele lepiej niż wcześniej. Mówisz, i to sensownie. – Nerwowo splotła dłonie. – Nie tak jak ja.

– Głuptas z ciebie.

Szybko pokręciła głową i spojrzała w bok. Ale widział, że ukradkiem wytarła oczy.

Płacze przez niego. Poczuł, że głowa mu ciąży. Przełknął ślinę. Nie chce, żeby Honoria płakała. Choć bardzo zmęczony, wie, że tego nie chce.

– Przestraszyłeś mnie – powiedziała. – Chyba nawet nie przypuszczałeś, że tak się stanie. – Udawała, że żartuje, ale on ją przejrzał. W każdym razie doceniał jej wysiłki.

– Gdzie jest pani Wetherby? – zapytał.

– Kazałam jej iść spać. Padała z nóg.

– Dobrze zrobiłaś.

– Bardzo się o ciebie troszczyła.

Kiwnął głową z nadzieją, że ona to zauważy. Gospodyni dbała o niego także wtedy, kiedy wcześniej gorączkował – miał wówczas jedenaście lat. Ojciec wszedł do pokoju jeden jedyny raz, tymczasem pani Wetherby nie odstępowała jego łóżka. Chciał, żeby Honoria o tym wiedziała. No i o tym, jak ojciec wyjechał z domu przed Bożym Narodzeniem, a pani Wetherby tak udekorowała Fensmore jemiolą, że pachniało jak w lesie. To jego najmilsze święta, dopóki rok później nie spędził ich ze Smythe-Smithami.

Co za szczęście!

Z nimi zawsze było wspaniale.

– Chcesz jeszcze wody? – zapytała Honoria.

Chciał, ale czy uda mu się ją przełknąć?

– Pomogę ci. – Przytknęła mu szklanę do ust.

Pociągnął mały łyk i, zmęczony, westchnął.

– Boli mnie noga.

– Leczenie trochę potrwa. – Pokiwała głową.

Ziewnął.

– Pali. Jak ogień.

Zrobiła wielkie oczy. Nie miał jej tego za złe. Sam nie wiedział, o czym właściwie mówi.

Pochyliła się, zmartwiona zmarszczyła brwi i znów dotknęła jego czoła.

– Wciąż jesteś rozpalony.

Spróbował się uśmiechnąć, choćby jedną stroną ust.

– Przecież przez cały czas jestem.

– Nie. Teraz bardziej.

– Przychodzi falami.

– Gorączka?

Kiwnął głową.

Zacisnęła usta. Nigdy nie wyglądała tak staro.

Nie! Staro? Niemożliwe. Ale sprawiała wrażenie zmartwionej. Włosy jak zwykle ściągnęła do tyłu w luźny koczek. I jak zwykle poruszała się charakterystycznym dla siebie krokiem.

Ale oczy? Jakież inne. Ciemniejsze. Podkrążone ze zmartwienia. To mu się nie podobało.

– Mogę jeszcze napić się wody? – poprosił.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej tak bardzo chciało mu się pić.

– Oczywiście. – Szybko nalała wody z dzbanka do filiżanki.

Wypił, znowu zbyt szybko, ale tym razem sam sobie otarł twarz dłonią.

– Pewnie znowu wróci – ostrzegł.

– Gorączka. – Tym razem nie pytała.

Kiwnął głową.

– Chyba powinnaś zdawać sobie z tego sprawę.

– Nie rozumiem. – Wzięła szklankę z jego drżącej dłoni. – Byłeś zdrowy, kiedy ostatnio cię widziałam.

Próbował unieść brew. Udało się?

– Oj, no dobrze. Może nie całkiem zdrowy, ale czułeś się wyraźnie lepiej.

– Kasłałem – przypomniał.

– Wiem. Ale nie wydaje mi się... – Prychnęła, zła na siebie, i pokręciła głową. – Co tu dużo gadać? Przecież nie znam się na chorobach. A w dodatku, skąd przyszedł mi do głowy pomysł, że będę umiała się tobą zająć. W ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

Nie miał pojęcia, o czym ona mówi, ale z jakiegoś trudnego do wyjaśnienia powodu czuł się szczęśliwy. Usiadła przy nim na krześle.

– Po prostu przyjechałam. Dostałam list od pani Wetherby i nawet nie pomyślałam o tym, że przecież nie potrafię ci pomóc. Po prostu przyjechałam.

– Pomagasz – szepnął.

Naprawdę. Już czuł się lepiej.

Następnego ranka Honoria zbudziła się obolała. Miała sztywną szyję, zgięte plecy i zdrętwiała jej stopa. W dodatku było jej gorąco i bardzo się spociła, więc raczej ładnie nie pachniała. Co oznacza...

Niech tam, wiedziała, co to oznacza, jak każdy, kto znalazłby się blisko niej.

Kiedy Marcus zasnął, zamknęła okno. Bardzo niechętnie, bo absolutnie kłóciło się to ze zdrowym rozsądkiem. Ale nie potrafiła sprzeciwić się poleceniom lekarza.

Pokręciła stopą i skrzywiła się z bólu. Zdrętwiała stopa i kłujące igielki to coś okropnego. Schyliła się, żeby ją rozmasować i pobudzić krążenie, ale wtedy noga aż do kolana zaczęła ją palić jak ogień.

Ziewnęła, jęknęła i z trudem wstała. Zachrzęściły stawy. Stwierdziła, że nie bez powodu ludzie nie śpiąją na krzesłach. Jeśli będzie tu następnej nocy, położy się na podłodze.

Na pół idąc, na pół podskakując, dotarła do okna, żeby odciągnąć zasłony i wpuścić chociaż trochę słońca. Marcus spał, więc nie chciała, aby było zbyt jasno, czuła jednak, że koniecznie musi go zobaczyć. Jest blady? Ma cienie pod oczami? Nie wiedziała, co wtedy robi, ale przecież od momentu, kiedy wczoraj weszła do tego pokoju, niczego nie była pewna.

Odsunęła zasłonę. Strumień porannego światła sprawił, że zmrużyła oczy. Słońce chyba dopiero weszło: na niebie snuły się różowe i brzoskwiniowe smugi. Poranna mgła miękko kłębiła się na trawniku.

Ależ pięknie, powietrze delikatne i świeże. Honoria znowu uchyliła okno. Przytknęła nawet twarz do szpary, żeby pooddychać chłodem i wilgocią.



Nie czas na to. Odwróciła się. Podejdzie do Marcusa, żeby lekko dotknąć jego czoła i sprawdzić, czy gorączkuje. Ale nim zdążyła zrobić dwa kroki, obrócił się we śnie i...

Dobry Boże, czy wczoraj też miał taką czerwoną twarz?

Szybko do niego podeszła, utykając. W lewej stopie nadal czuła mrowienie. Wyglądał strasznie – cały czerwony i obrzmiały, skóra sucha, spieczona...

I gorąca. Przerazająco gorąca.

Honorcia szybko chwyciła dzbanek z wodą. Nie widziała nigdzie chusteczek ani ręczników, więc zanurzyła w nim ręce, a potem położyła je na policzkach Marcusa, usiłując go ochłodzić. Nie, bez sensu. Doskoczyła do komody i szarpnięciem otwierała szufladę po szufladzie, aż znalazła coś, co wzięła za chustki do nosa. Dopiero kiedy jedną z nich rozpostarła, aby zanurzyć w dzbanku, zobaczyła, że to coś całkiem innego.

O mój Boże. Za chwilę położy mu na twarzy jego majtki!

Poczuła, jak się rumieni; wykręciła z nich nadmiar wody i podbiegła do łóżka. Wymamrotała przeprosiny – nie żeby był na tyle przytomny, by to zrozumieć albo się obrazić, że Honorcia robi coś niestosownego – i przycisnęła mu mokrą szmatkę do czoła.

Natychmiast zaczął się rzucać po całym łóżku. Jęczał i mamrotał. Usłyszała „przestań”, „nie”, „ułatwić”, „ryba żabnica”, „kładka” i...

„Daniel”.

Zamrugnęła, powstrzymując łzy, i na chwilę odeszła od niego po dzbanek z wodą. Nim wróciła, zrzucił z twarzy okład, a kiedy chciała znów go położyć, odepchnął ją.

– Marcus – skarciła go, choć wiedziała, że jej nie słyszy – musisz pozwolić sobie pomóc.

Ale on się z nią szarpał. Wyrywał się, aż prawie na nim usiadła, żeby go przytrzymać.

– Przestań! – krzyknęła, kiedy ją spychał. – Nie. Nie wygrasz. To znaczy – unieruchomiła mu bark przedramieniem – wygrasz, jeśli ja wygram.

Nagle podniósł się gwałtownie i zderzyli się głowami. Honoria jęknęła z bólu, ale go nie puściła.

– Nie ma mowy – wycedziła. Zbliżyła twarz do jego twarzy. – Nie pozwolę ci umrzeć.

Całym swoim ciężarem przytrzymała go na łóżku; jedną ręką sięgnęła po dzbanek z wodą, aby znów nasaczyć białiznę.

– Jutro, kiedy zobaczysz, co ci kładłam na twarz, pewnie mnie znienawidzisz. – Przycisnęła mu kompres do czoła. Nie chciała być brutalna, ale nie dawał jej szans na delikatność. – Spokojnie, spokojnie. – Przesunęła mu kompres na szyję. – Naprawdę, jeśli się uspokoisz, poczujesz się znacznie lepiej. – Zmoczyła szmatkę. – A co dopiero ja.

Udało jej się położyć mu szmatkę na piersiach. Widok ich obnażonych już jej nie bulwersował. Ale to mu się nie podobało; pchnął ją z całej siły: przeturlała się po łóżku, a potem z głuchym hukiem wylądowała na dywanie.

– Co to, to nie – mruknęła, gotowa dalej z nim walczyć. Ale nim zdążyła okrążyć łóżko i chwycić dzbanek, wyszarpnął nogę spod stosu przykryć i uderzył Honorię w brzuch.

Potknęła się, zamachała rękami, desperacko usiłując złapać równowagę, znów upadła na podłogę i odruchowo się czegoś złapała.

Marcus wrzasnął przeraźliwie.

Serce Honorii się rozszałało. Puściła to, czego się trzymała... jego nogi. Nie miała czego się chwycić, więc znowu runęła na podłogę i rąbnęła się w prawy łokieć.

– Oj! – krzyknęła z przeszywającego bólu. Jakoś jednak udało jej się wstać.

Marcus jęczał, kiedy dotarła do brzegu łóżka. Ciężko oddychał – krótko i płytko, jak ktoś, kto chce zapanować nad bólem.

– Co się stało? – szepnęła Honoria. Nie mógł tak krzyczeć z powodu gorączki. Bardzo cierpiał.

Noga. Chwyciła go za nogę. I poczuła, że ma lepką rękę. Obróciła ją otwartą dłonią do góry. Krew.

– O mój Boże!

Zemdliło ją, lecz zrobiła krok do przodu. Nie chciała go przestraszyć; przecież już dwa razy tak ją odepchnął, że upadła. Ale krew... To nie jej krew.

Schował nogę pod kołdrami, więc ostrożnie je podniosła, odsunęła i... zobaczyła kończynę obnażoną aż do kolana.

O mój Boże!

Z jednej strony łydki miał długą, ciętą ranę; sączyła się z niej krew i chyba ropa. Noga była strasznie spuchnięta i nabrała dziwnego koloru: czerwona skóra wokół rany połyskiwała. Wyglądała okropnie, jakby gniła, i Honoria z przerażeniem pomyślała, że to chyba on gnije.

Odskoczyła i omal nie z wymiotowała.

– O mój Boże – powtórzyła; nie mogła wykrztusić nic innego ani też o niczym innym myśleć. To stąd ta gorączka. Nie przeziębienie jest jej przyczyną.

Kręciło jej się w głowie. Miał zainfekowaną ranę. To stało się pewnie przy rozcinaniu buta. Ale dlaczego nie pisnął o tym słowa? Powinien był komuś powiedzieć. Jej powiedzieć!

Usłyszała delikatne pukanie i w drzwiach pojawiła się głowa pani Wetherby.

– Wszystko w porządku? Słyszałam, że coś się rozbiło.

– Nie – pisnęła przerażona Honoria. Spróbowała zapanować nad paniką. Musi być rozsądna. W takim stanie nikomu nie pomoże. – Jego noga. Wiedziała pani o nodze?

– O czym panienka mówi? – Pani Wetherby szybko do niej podeszła.

– Jego noga. Ma straszne zakażenie. To stąd ta gorączka. Na pewno.

– Lekarz powiedział, że od kaszlu. On... och! – Pani Wetherby podskoczyła, kiedy Honoria odkryła koc i pokazała jej nogę Marcusa. – Boże wielki! – Cofnęła się i zakryła dłonią usta, jakby zebrało jej się na wymioty. – Nie miałam pojęcia. Nikt z nas nie miał. Jak to możliwe, że tego nie zobaczyliśmy?

Honoria zadawała sobie to samo pytanie, świadoma jednak, że nie czas na wytykanie kogoś palcem. Dla dobra Marcusa wszyscy powinni współpracować, a nie szukać winnego.

– Musimy wezwać lekarza – powiedziała do pani Wetherby. – Według mnie trzeba oczyścić ranę.

Gospodyni kiwnęła głową.

– Poślę po niego.

– Szybko przyjedzie?

– To zależy od tego, czy nie wezwał go inny pacjent. Jeśli jest w domu, służący może go przywieźć już w niecałe dwie godziny.

– Dwie godziny! – Honoria przygryzła wargę, by nie krzyknąć z przerażenia. Nigdy czegoś takiego nie widziała, ale słyszała różne opowieści. Takie zakażenie potrafi człowieka zabić.

– Nie możemy czekać dwie godziny. On potrzebuje natychmiastowej pomocy.

Pani Wetherby odwróciła się do niej spanikowana.

– Umie pani oczyścić ranę?

– Oczywiście, że nie. A pani?

– Nie taką.

– To co by pani zrobiła, gdyby była mniejsza?

Pani Wetherby załamała ręce i patrzyła to na Honorię, to na Marcusa.

– Nie wiem – wybełkotała. – Chyba jakiś kompres. Coś, co wyssałoby truciznę.

– Truciznę – jak echo powtórzyła Honoria. Dobry Boże, zupełnie średniowiecze. – Proszę wezwać lekarza – poleciła, usiłując sprawiać wrażenie bardziej pewnej siebie, niż faktycznie była. – Natychmiast. A potem wrócić. Z gorącą wodą i ręcznikami. I wszystkim, co pani wpadnie do głowy.

– Przyprowadzić pani mamę?

– Mamę? – Honoria wlepiła w nią wzrok, nie dlatego, żeby, widziała w tym coś szczególnie nieodpowiedniego, tylko dlatego, że pani Wetherby pomyślała o tym akurat teraz? – Nie wiem. Niech pani robi, co uzna za słuszne. Ale szybko.

Pani Wetherby skinęła głową i wybiegła z pokoju. Honoria popatrzyła na Marcusa, na okropną ziejącą ranę.

– Och, Marcus – szepnęła. – Jak to się mogło stać? – Wzięła go za rękę. Przynajmniej tym razem nie próbował jej wyszarpnąć. Chyba trochę się uspokoił; oddychał równiej niż kilka minut wcześniej, i twarz miał, czy to możliwe, już nie taką czerwoną.

A jeśli to ona tak rozpaczliwie wypatrywała oznak poprawy, że widziała coś, czego nie było?

– Może – powiedziała. – Oby tylko dało mi nadzieję.

Zmusiła się, żeby dokładniej przyjrzeć się jego nodze. Żołądek podszedł jej do gardła, ale wzięła się w garść. Musi zacząć czyścić ranę. Kto wie, ile

czasu minie, zanim przyjedzie lekarz, i choć lepiej byłoby zrobić kompres z gorącej wody, zacznijmy czyścić ranę tym, co ma.

Marcus rzucił mokrą szmatkę, którą starała się go ochłodzić, w drugi koniec pokoju, więc podeszła do komody i wzięła następną parę jego majtek, usiłując zwracać uwagę tylko na to, że są z miękkiego lnu.

Zwinęła je luźno i koniec umoczyła w wodzie.

– Przykro mi, Marcus – szepnęła, a potem bardzo delikatnie przyłożyła rulonik do rany.

Nie szarpnął się.

Odetchnęła i popatrzyła na szmatkę. Zobaczyła czerwone plamy krwi, a także żółtawe ropy.

Nieco pewniejsza swoich umiejętności pielęgniarskich znalazła czyste miejsce na szmatce i znowu przycisnęła ją do rany, mocniej niż poprzednio. Nie zareagował, więc zrobiła to znowu i znowu, aż plamy pokryły niemal cały rulonik.

Spojrzała na drzwi. Gdzież podziewa się pani Wetherby? Tak bardzo przydałaby się gorąca woda. Trzeba jednak nadal w ten sposób czyścić ranę, przynajmniej dopóki Marcus się nie rzuca.

Podeszła do komody i wyjęła następną parę majtek.

– Nie wiem, co później włożysz – powiedziała, biorąc się pod boki. – Znowu do wody. – Zanurzyła szmatkę. – I na ciebie. – Tym razem przycisnęła ją mocniej. Skaleczenia i otarcia trzeba opatrywać, żeby nie krwawiły, to wiedziała. Właściwie zatamowała upływ krwi, ale przyciskanie mu nie zaszkodzi.

– Tyle że teraz pewnie cię zaboli – powiedziała do nieprzytomnego Marcusa.

Jeszcze raz zmoczyła szmatkę i czystym miejscem przytknęła do najgroźniej wyglądającej części rany – zaognionej i ropiejącej. A że Marcus tylko mamrotał przez sen, przycisnęła rulonik mocniej.

– Krok po kroku – szepnęła, starając się głęboko oddychać. – Skup się, dziewczyno.

Daje sobie radę. Potrafi mu pomóc. Nie, potrafi go wyleczyć. Poczowała, że po to żyje.

– Dlatego w zeszłym roku nie wyszłam za mąż. Nie byłoby mnie tutaj, żeby o ciebie zadbać. – Zastanowiła się. – Ale też gdyby nie ja, nie znalazłbyś się w takiej sytuacji. Nie, nie czas na takie dywagacje. – Nadal dokładnie czyściła ranę. Na chwilę przerwała, żeby się wyprostować. Popatrzyła na szmatkę: wciąż wyglądała obrzydliwie, lecz już jej to nie przeszkadzało. – No widzisz – powiedziała do Marcusa. – To znaczy, że nabieram wprawy.

Tak, idzie jej coraz lepiej. Ale nagle, nie wiadomo skąd, tuż po tym, kiedy rażno oświadczyła, że nabiera wprawy, z gardła wyrwał jej się zduszony dźwięk. Ni to westchnienie, ni świst, ni charkot. Osłupiała. Marcus może umrzeć! Ta myśl uderzyła ją jak obuchem. Może umrzeć, a wtedy ona zostanie całkiem sama. Ostatnimi laty wcale często się nie widywali – oczywiście z wyjątkiem kilku ostatnich tygodni – ale zawsze wiedziała, że on jest, i świadomość tego sprawiała, że świat wydawał jej się lepszy.

A teraz Marcus może umrzeć. Bez niego ona się zatraci. Jak to możliwe, że nie zdawała sobie z tego sprawy?

– Honorio!

Honorio odwróciła się. To mama gwałtownie otworzyła drzwi.

– Przyszłam jak najszybciej. – Wparowała do pokoju. – O mój Boże! – krzyknęła, widząc nogę Marcusa.

Honorcia poczuła, że znowu się dusi. Coś się stało, kiedy zobaczyła mamę i kiedy mama zobaczyła Marcusa. Jak kiedy w wieku dwunastu lat spadła z konia. Myślała, że nic jej nie jest; wróciła do domu obolała, posiniaczona i z zakrwawioną twarzą.

I wtedy zobaczyła mamę. I zachciało jej się płakać. Mój Boże, teraz też chciała odwrócić się od Marcusa i płakać, płakać, płakać.

Nie, nie wolno. Marcus cię potrzebuje. Uspokój się i skoncentruj.

– Pani Wetherby ma przynieść gorącą wodę. Zaraz tu powinna być – oznajmiła.

– Dobrze. Potrzebujemy wody. I brandy. I noża.

Honorcia spojrzała na nią zdziwiona. Ona wie, co robić? Jej mama?

– Lekarz będzie chciał amputować nogę – ponuro stwierdziła lady Winstead.

– Co? – Honorcia nawet nie wzięła tego pod uwagę.

– I może mieć rację.

Honorii zaparło dech w piersi.

– Ale jeszcze nie teraz – oświadczyła mama.

Honorcia patrzyła na nią zszokowana. Kiedy mama ostatnio mówiła tak zdecydowanie? Gdy Daniel uciekł z kraju, zabierając część jej ze sobą. Potem, kompletnie zagubiona, nie potrafiła zaangażować się w nic ani nikim się przejąć, nawet córką. Zupełnie jakby nie umiała podejmować decyzji, bo znaczyłoby to, że akceptuje swoje życie takim, jakie jest – bez jej jedyne go syna, który prawdopodobnie wyjechał na zawsze.

Ale może potrzebowała czegoś, żeby się przebudzić? Krytycznej sytuacji?

Chciała być potrzebna?



– Odsuń się! – Lady Winstead podkasła rękawy. Honoria usłuchała. Usiłowała stłumić lekkie ukłucie zazdrości: ona przecież też potrzebuje matki.

– Honorio? – Matka patrzyła na nią z oczekiwaniem.

– Przepraszam – wykrztusiła dziewczyna, wyciągając przed siebie rękę ze szmatką. – Tego mama chce?

– Poproszę o czystą.

– Oczywiście. – Honoria szybko wyciągnęła z komody jeszcze jedno majtki Marcusa.

Mama wzięła je i spojrzała na córkę zmieszana.

– Co to...

– Nie znalazłam niczego innego. A liczy się każda sekunda.

– Tak. – Matka poważnie popatrzyła Honorii w oczy. – Raz już coś takiego widziałam – powiedziała, a o jej zdenerwowaniu świadczył nierówny oddech. – Twój ojciec. Miał ranę na ramieniu. Przed twoim urodzeniem.

– Co się stało?

Mama popatrzyła na nogę Marcusa; zmrużyła oczy, aby jej się przyjrzeć.

– Za mało światła. – A kiedy Honoria podeszła do okna, żeby całkiem rozsunać zasłony, dodała: – Nawet nie wiem, co się wydarzyło. A rana była bardzo zainfekowana... Prawie tak, jak ta.

– Ale ojciec wyzdrowiał. – Honoria знаła koniec tej historii. Jej ojciec aż do śmierci miał dwie zdrowe i silne ręce.

Mama skinęła głową.

– Los nam sprzyjał. Pierwszy lekarz chciał amputować. A ja – głos jej się załamał – ...ja bym mu pozwoliła. Bardzo bałam się o życie twojego ojca.

– Czystą szmatką przetarła nogę Marcusa, żeby dobrze ją widzieć. Kiedy znowu się odezwała, mówiła bardzo cicho. – Zrobiłabym wszystko, co mi kazali.

– Więc dlaczego nie amputowano ręki? – cicho zapytała Honoria.

Mama prychnęła, jakby wyrzucała z siebie złe wspomnienie.

– Ojciec kazał zawołać innego lekarza. Powiedział mi, że jeśli ten drugi zgodzi się z pierwszym, zrobi, co każą. Ale nie da sobie odciąć ręki tylko dlatego, że tak powiedział jeden człowiek.

– Według drugiego nie trzeba było tego robić?

Mama uśmiechnęła się smutno.

– Niestety powiedział, że prawie na pewno to konieczne. Ale powiedział też, że najpierw może spróbować ranę oczyścić. Po prostu ją oczyścić...

– Właśnie to robiłam – przerwała jej Honoria. – I chyba nie bez powodzenia.

– Dobrze zaczęłaś. Ale... – Przełknęła ślinę.

– Ale co?

Mama skoncentrowała się na ranie Marcusa. Oglądała ją dokładnie i przyciskała czystą szmatką.

– Lekarz powiedział, że jeśli ojciec nie będzie krzyczał, to czyścimy za słabo – szepnęła, nie patrząc na Honorie.

– Pamiętasz, co robił?

Lady Winstead kiwnęła głową.

– Pamiętam wszystko.

– To znaczy co?

Mama podniosła na nią wzrok.

– Trzeba go przywiązać.

Zamiana pokoju Marcusa w prowizoryczną salę operacyjną zajęła mniej niż dziesięć minut. Pani Wetherby wróciła z gorącą wodą i zapasem czystych szmatek. Dwóm służącym nakazano przywiązać Marcusa do łóżka; choć przerażeni, wykonali polecenie.

Matka poprosiła o nożyczki. Najostrzejsze, najmniejsze.

– Muszę wyciąć martwą tkankę – powiedziała Honorii, zaciskając usta, co świadczyło o pełnej determinacji. – Widziałam, jak lekarz robił to ojcu.

– Ale czy ty to robiłaś?!

Matka popatrzyła jej w oczy, a potem się odwróciła.

– Nie.

– Och! – Honoria przełknęła ślinę. Bez komentarza.

– To nic trudnego, jeśli umiesz opanować nerwy. Niepotrzebna jest szczególna precyzja.

Honorii zdziwiona, spojrzała na Marcusa, potem znowu na mamę.

– Niepotrzebna precyzja? Co chce mama przez to powiedzieć? To jego noga!

– Oczywiście. Ale obiecuję ci, że nic mu się nie stanie, nawet jeśli wytnę trochę za dużo.

– Przecież to boli!

– Boli. – Lady Winstead popatrzyła na Marcusa, tak, jakby go przeproszała. – Dlatego musieliśmy go przywiązać. Ale to mu nie zaszkodzi. Lepiej wyciąć za dużo niż za mało. Najważniejsze, żeby zlikwidować źródło zakażenia.

Honorii przytaknęła. Makabra, lecz to ma sens.

– Zaraz zaczynam – oświadczyła matka. – Mogę dużo zrobić nawet bez nożyczek.

– Aha. – Honoria przyglądała jej się, jak siada przy Marcusie i zanurza szmatkę w parującej wodzie. – A czy ja mogę w czymś pomóc? – zapytała, gdyż siedząc w nogach łóżka, czuła się bezużyteczna.

– Usiądź koło jego głowy. Mów do niego. Może przyniesie mu to ulgę.

Jemu? Honoria w to wątpiła, ale wiedziała, że jej ulży. Lepiej mówić, niż sterczeć jak idiotka.

– Marcus – powiedziała, przysuwając krzesło do łóżka.

Nie spodziewała się, że odpowie, i faktycznie się nie odezwał.

– Wiesz, jesteś bardzo chory. – Usiłowała mówić pogodnym, wesołym tonem, nawet jeśli jej słowa takie nie były. – Ale moja mama zna się na takich rzeczach. Czy to nie nadzwyczajne? – Popatrzyła z dumą na mamę. – Muszę przyznać, że mnie zaskoczyła. – Nachyliła się i wymamrotała mu do ucha: – Myślałam, że jest raczej z tych, co mdleją na widok krwi.

– Słyszałam – powiedziała matka.

Honoria uśmiechnęła się do niej.

– Przepraszam. Ale...

– Nie przepraszaj. – Matka też się uśmiechnęła, po czym skupiła się na Marcusie. Kiedy się odezwała, nie podniosła wzroku. – Nie zawsze byłam taka... – przerwała, jakby szukała odpowiedniego słowa. – Stanowcza, gdy tego potrzebowałeś – dokończyła.

Honoria siedziała spokojnie, choć zagryzała górną wargę. Starła się zrozumieć, co mama chce jej przekazać. To były przeprosiny, zupełnie jakby powiedziała „przepraszam”.

Ale w tych słowach kryła się również prośba: Nie rozmawiajmy już o tym. I Honoria przyjęła przeprosiny dokładnie tak, jak mama na to liczyła. Odwróciła się do Marcusa.

– W każdym razie chyba nikomu nie przyszło do głowy, żeby spojrzeć na twoją nogę. No wiesz, przez ten kaszel. Lekarz myślał, że to z tego powodu masz gorączkę – tłumaczyła.

Marcus cicho krzyknął. Honoria wbiła wzrok w mamę, która właśnie rozłożyła nożyczki, zamierzając użyć ich jak skalpela. Jednym płynnym ruchem zrobiła nacięcie wzdłuż środka rany.

– Nawet nie podskoczył – zdziwiła się dziewczyna.

– Nie to boli najbardziej. – Mama wpatrywała się w chorego.

– Aha – Honoria znów zwróciła się do Marcusa. – No widzisz. To nie było takie straszne.

Wrzasnął.

Zadrżała. Widziała, jak matka oddaje służącemu butelkę z brandy.

– Ale to bardzo bolało. Dobra wiadomość jest taka, że chyba dużo gorzej nie będzie – oświadczyła lady Winstead.

Znowu krzyknął.

Honoria przełknęła ślinę. Mama odcinała nożyczkami kawałki ciała.

– No ale też może nie być lepiej. – Honoria poklepała go po ramieniu. – Szczerze mówiąc, nie mam o tym pojęcia. Ale cały czas będę przy tobie. Obiecuję.

– Jest gorzej, niż myślałam – szepnęła lady Winstead.

– Uda ci się go wyleczyć? – zapytała Honoria.

– Nie wiem. Spróbuję. Czy... – przerwała i długo wydmuchiwała z płuc powietrze. – Czy ktoś może otrzeć mi czoło?

Honorcia się poderwała, lecz uprzedziła ją pani Wetherby: wytarła czoło chłodną szmatką.

– Strasznie tu gorąco – wydyszała lady Winstead.

– Pozamykaliśmy okna, bo lekarz tego zażądał – tłumaczyła się pani Wetherby.

– Ten sam lekarz, który nie zauważył rany na nodze? – ostro zapytała lady Winstead.

Pani Wetherby nie odpowiedziała, podeszła jednak do okna i je uchyliła.

Honorcia uważnie przyglądała się matce, jakby nie rozpoznawała jej w tej skupionej, zdecydowanej kobiecie.

– Dziękuję – szepnęła.

Matka podniosła głowę.

– Nie pozwolę, żeby ten chłopiec umarł.

Nie jest już chłopcem. Ale Honorii nie dziwiło, że dla mamy nim pozostał.

Lady Winstead znów skoncentrowała się na chorym.

– Muszę to zrobić dla Daniela – powiedziała bardzo cicho. Honorcia zastygła w bezruchu. Po raz pierwszy, kiedy jej brat musiał opuścić kraj, usłyszała, jak matka wypowiada jego imię.

– Dla Daniela – powtórzyła jak echo spokojnym, zrównoważonym głosem.

Mama nie podniosła głowy.

– Jednego syna już straciłam.

Honorcia wpatrywała się w nią zszokowana. Nie wiedziała, że matka tak o nim myśli. Ciekawe, czy Marcus o tym wie, bo...

Przenosiła wzrok z niego na nią. Starła się powstrzymać łzy. Całe życie tęsknił za rodziną. Czy zdawał sobie sprawę, że należy do jej rodziny?

– Chcesz odpocząć? – zapytała matka.

– Nie. – Honoria pokręciła głową, choć mama na nią nie patrzyła. – Nie, wszystko w porządku. – Chwilę trwało, zanim się uspokoiła, a potem nachyliła się, żeby szepnąć Marcusowi do ucha: – Słyszałeś? Mama bardzo się stara. Nie możesz jej zawieść. – Pogłaskała go po włosach, odgarniając mu z czoła duży, ciemny kosmyk. – Ani mnie.

– Aaaaaa!

Podskoczyła, przerażona. Od czasu do czasu coś szczególnie go bolało, wtedy całym ciałem napierał na paski z materiału, którymi przywiązali go do łóżka. Patrzyła na to zszokowana, ale jeszcze gorzej było to odczuwać. Całkiem jakby przeszywał ją jego ból.

Tyle że jej nie bolało, a przyprawiało o mdłości. Żołądek podchodził jej do gardła. I miała siebie dosyć. To jej wina, że wpadł w tą głupią krecią dziurę, jej wina, że skreślił kostkę. I jej wina, że musieli mu rozciąć but i że z tego powodu tak poważnie się rozchorował.

A gdyby umarł, to także z jej winy.

Przełknęła ślinę, by pozbyć się guli w gardle, i nachyliła się jeszcze bardziej.

– Przepraszam. Nawet nie wiesz, jak strasznie mi przykro –wydusiła.

Marcus znieruchomiał; przez chwilę Honoria patrzyła na niego z zapartym tchem, bo wydawało jej się, że usłyszała, co powiedziała. Potem zrozumiała: to dlatego, że matka przestała czyścić ranę i że to ona usłyszała jej słowa, nie Marcus. Ale nawet jeśli ją zaintrygowały, nie odezwała się. Nie zapytała, co znaczą te przeprosiny. Lekko tylko kiwnęła jej głową i znów wzięła się do pracy.

– Jak wyzdrowiejesz, powinieneś przyjechać do Londynu –ciągnęła Honoria, znów niby wesoło. – Choćby tylko po nowe buty. Lżejszy fason. Wiem, że to niemodne, ale może wyznaczysz nowy trend.

Podskoczył.

– Albo zostaniemy na wsi. Opuścimy sezon. Wiem, że mówiłam ci, jak bardzo mi zależy, aby w tym roku wyjść za mąż, ale... – Zerknęła na mamę, a potem szepnęła mu wprost do ucha: – Mama nagle całkiem się odmieniła. Chyba wytrzymam jeszcze rok w jej towarzystwie. A dwadzieścia dwa lata to nie za późno na małżeństwo.

– Masz dwadzieścia jeden – sprostowała matka, nie podnosząc wzroku.

Honoria zamarła.

– Słyszałaś, co mówiłam?

– Tylko koniec.

Naprawdę? Ale zawarły jakby cichą ugodę: nie zadawać pytań. Honoria postanowiła więc to wyjaśnić.

– Chodziło mi o to, że jeśli wyjdę za mąż dopiero w przyszłym roku, czyli w wieku dwudziestu dwu lat, to też nic się nie stanie.

– Jeszcze jeden rok w rodzinnym kwartecie – skomentowała matka z uśmiechem. Nie złośliwym, lecz szczerym i dodającym otuchy.

Nie po raz pierwszy Honoria zastanawiała się, czy mama dobrze słyszy.

– Jestem pewna, że kuzynki z chęcią jeszcze rok z tobą pograją. Potem musi zastąpić cię Harriet, a ona jest jeszcze trochę za młoda. Chyba nie ma nawet szesnastu lat.

– Szesnaście kończy we wrześniu – uściśliła Honoria. Kuzynka Harriet, najmłodsza siostra Sarah, prawdopodobnie była najmniej muzykalna z całej rodziny Smythe-Smithów. A to nie bez znaczenia.



– Musi jeszcze trochę poćwiczyć. – Lady Winstead się skrzywiła. – Biedna dziewczyna, jakoś jej to nie idzie. To problem, gdy ma się tak muzykalną rodzinę.

Honorina starała się nie wytrzeszczać na nią oczu.

– Tak – potwierdziła desperacko. – Faktycznie woli teatrzyki.

– Aż trudno uwierzyć, że po tobie dopiero Harriet mogłaby grać na skrzypcach – zauważyła lady Winstead. Zmarszczyła brwi, zmrużyła oczy i znów zabrała się do pracy.

– Jest jeszcze Daisy – odparła Honorina, mając na myśli kuzynkę z innej gałęzi rodziny. – Ale ona po ślubie Violi już została powołana do służby.

– Powołana do służby? – powtórzyła matka, śmiejąc się dźwięcznie. – Mówisz o tym, jak o przykrym obowiązku.

Honorina na chwilę zamilkła, starając się zachować fason. Nie roześmiać się. Albo nie rozplakać.

– Oczywiście, że tak nie myślę – udało jej się wreszcie wykrztusić. – Uwielbiam kwartet.

To prawda. Bardzo lubiła ćwiczyć z kuzynkami, nawet jeśli musiała zatykać uszy watą. Tylko koncerty były straszne.

Lub, jak mawiała Sarah, przerażające.

Koszmarne.

Apokaliptyczne.

(Sarah zawsze miała skłonność do przesady).

Jednak Honorina nigdy się z tego powodu nie wstydziła i potrafiła zawsze się uśmiechać. A kiedy dotknęła smyczkiem instrumentu, robiła to z werwą. W końcu przyglądała im się rodzina, a te występy były dla nich wszystkich takie ważne.

– W każdym razie – powiedziała, usiłując wrócić do poprzedniego tematu, który naraz okazał się już na tyle „poprzedni”, że długo trwało, nim go sobie przypomniała – jestem pewna, że nie opuszczę sezonu. Tylko tak mówiłam. Podtrzymywałam rozmowę. – Przełknęła ślinę. – Ot, paplałam sobie.

– Lepiej wyjść za dobrego człowieka niż z pośpiechu za złego – stwierdziła matka sentencjonalnie. – Wszystkie twoje siostry znalazły dobrych mężów.

Honorcia też tak uważała, nawet jeśli jej szwagrowie na ogół nie byli mężczyznami, którzy jej by przypadli do gustu. Ale każdy szanował swoją żonę.

– One również nie wszystkie wyszły za mąż w swoim pierwszym sezonie – dodała lady Winstead, spoglądając na córkę.

– Uhm, ale chyba wszystkim się to udało w drugim.

– Tak? – Matka zamrugwała. – Pewnie masz rację. Nawet Henriecie? A jakże pod sam koniec. – Znowu skupiła się na chorym. – Znajdziesz kogoś. Ja się nie martwię.

Honorcia prychnęła.

– Świetnie, że chociaż ty.

– Nie wiem, co się stało w zeszłym roku. Byłam przekonana, że Travers się oświadczy. A jak nie on, to lord Fotheringham albo...

Honorcia pokręciła głową.

– Właśnie. Ja też tak myślałam. Zwłaszcza lord Bailey zdawał się zdecydowany. A tu nagle... nic. Jakby z dnia na dzień stracili zainteresowanie.

– Wzruszyła ramionami i znowu spojrzała na Marcusa. – Może to i dobrze. Jak myślisz, Marcus? Chyba żaden z nich ci się nie podobał. – Westchnęła. – Co

nie znaczy, że to ma coś wspólnego z tobą, ale zależy mi na twoim zdaniu. – Zachichotała. Dobrze sobie! Odwrócił głowę.

– Marcus? – Obudził się? Uważnie mu się przyjrzała, szukając na jego twarzy śladu jakiejś reakcji.

– Co się dzieje? – zapytała matka.

– Nie wiem. Poruszył głowę. Oczywiście robił to już przedtem, ale tym razem jakoś tak inaczej. – Uszczypnęła go w ramię, modląc się, że mimo gorączki to poczuje.

– Marcus? Słyszysz mnie?

Jego suche, spękane usta poruszyły się lekko.

– Hon... Hon...

Bogu dzięki!

– Nic nie mów. Wszystko w porządku – zapewniła.

– Boli – westchnął. – Jak diabli.

– Wiem. Wiem. Tak mi przykro.

– Jest przytomny? – zapytała matka.

– Ledwie. – Honoria wzięła Marcusa za rękę. Splotła swoje i jego palce i mocno zacisnęła dłoń. – Masz straszną ranę na nodze. Staramy się ją oczyścić. To boli. Bardzo boli, ale trzeba to zrobić.

Lekko kiwnął głową.

Honoria popatrzyła na panią Wetherby.

– Mamy laudanum? Może trochę mu go dać, póki jeszcze przełyka.

– Chyba tak – powiedziała gospodyni. Od czasu, kiedy weszła z gorącą wodą i ręcznikami, nie przestawała załamywać rąk. Wreszcie na coś się przyda!

– Zaraz pójde poszukać. Jeśli jest, to tylko w jednym miejscu.

– Dobry pomysł. – Lady Winstead wstała i podeszła do wezgłowia. – Słyszysz mnie, Marcus?

Poruszył ustami. Leciutko, ale jednak.

– Jesteś bardzo chory.

A on, o dziwo, nawet się uśmiechnął.

– Tak, tak. – Lady Winstead też się uśmiechnęła. – Wiem, nie odkrywam Ameryki. Ale przekonasz się: na pewno wyzdrowiejesz. Tylko najpierw trochę cię poboli.

– Trochę?

Honorcia ukradkiem się uśmiechnęła. Nie do wiary, że potrafi żartować w takiej chwili. Była z niego dumna.

– Damy radę, Marcus. – I zanim zrozumiała, co robi, schyliła się i pocałowała go w czoło.

Odwrócił się do niej. Teraz oczy miał prawie całkiem otwarte. Ciężko oddychał, nadal rozpalony. Ale kiedy wbiła w niego wzrok, przez gorączkę i ból zobaczyła jego, Marcusa.

To ciągle Marcus, a ona nie pozwoli, żeby coś mu się stało.

Trzydzieści minut później Marcus spał głęboko dzięki laudanum. Honorcia ułożyła go tak, żeby trzymać go za rękę; cały czas do niego mówiła. Nieważne co, ale nie ona jedna zauważyła, że jej głos go uspokaja.

Przynajmniej tak to wyglądało, bo jeśli nie, to była całkiem nieprzydatna. A tego nie mogła znieść.

– Już prawie skończone – powiedziała. Przezornie spojrzała jednak na mamę, nadal skupioną na nodze Marcusa. – Chyba tak. Niemożliwe, żeby rana jeszcze nie została oczyszczona.

Ale mama westchnęła. Przygnębiona usiadła, żeby otrzeć czoło.

– Coś nie tak? – zapytała Honorcia.

Matka pokręciła głową i pochyliła się nad Marcusem. Dopiero po długiej chwili odsunęła się.

– Nie widzę dokładnie.

– Co? Niemożliwe! – Honoria wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

– Nachyl się trochę bardziej.

Lady Winstead pokręciła głową.

– Nie o to chodzi. Jest tak z czytaniem. Muszę trzymać książkę z daleka od oczu. Po prostu – niecierpliwie, z rezygnacją westchnęła – niedowidzę szczegółów.

– Ja to zrobię – powiedziała pewnie Honoria, choć pewna siebie się nie czuła.

Mama się nie zdziwiła.

– Licz się z tym, że może krzyczeć.

– Już krzyczał – stwierdziła spokojnie Honoria, ale gardło jej się ścisnęło, a serce waliło jak młotem.

– Trudniej to znieść, jeśli to ty trzymasz nożyczki – szepnęła matka.

Honoria chciała oznajmić heroicznie, o ile trudniej byłoby, gdyby umarł, a ona nie zrobiła wszystkiego, co w jej mocy, żeby go uratować. Ale zagryzła wargi. Nie mogła wykrztusić słowa, lecz czy to w takiej sytuacji ważne.

– Uda mi się – obiecała tylko.

Popatrzyła na Marcusa przywiązanego do łóżka. Najpierw rozpalony, teraz był blady jak trup. To dobry znak? Zapytała mamę, ale ona też nie wiedziała.

– Uda mi się – powtórzyła już z nożyczkami w rękach.

Lady Winstead wstała. Honoria usiadła na jej krześle i wzięła głęboki oddech.

– Powolutku – powiedziała sobie i zanim zabrała się do pracy, dokładnie obejrzała ranę. Mama pokazała jej, po czym poznać, co trzeba wyciąć. Teraz musi tylko znaleźć zakażone miejsce i usuwać chorą tkankę. Krok po kroku.

– Tnij jak najbliżej zdrowej tkanki – poleciała mama. Honoria kiwnęła głową, zacisnęła zęby i zaczęła ciąć. Marcus jęknął, ale się nie obudził.

– Bardzo dobrze – lady Winstead wspierała córkę. Honoria znów skinęła głową. Zamrugnęła, by się nie rozplakać. Jak to możliwe? Proste słowa i tak ją poruszyły?

– Na dole pozostał skrawek chorej tkanki – odpowiedziała matka – nie udało mi się dojrzeć brzegów rany.

– Widzę – ponuro stwierdziła Honoria. Usunęła martwą skórę, ale nadal czuła opuchliznę. Przebiła ją czubkiem nożyczek i wycisnęła żółtą ropę, tak jak przedtem robiła to matka. Marcus szarpał się. Cichutko go przeprosiła, ale się nie poddała. Wzięła szmatkę i mocno przycisnęła do rany.

– Potrzebna mi woda.

Ktoś podał jej filiżankę. Polała wodą ranę; nie chciała słyszeć, jak Marcus jęczy z bólu. Woda była gorąca, bardzo gorąca, ale matka przysięgała, że w ten sposób lata temu uratowała ojca. Temperatura wyciąga ropę.

Honoria modliła się o to.

Znowu przycisnęła do rany szmatkę, żeby odsączyć wodę. Marcus jęknął, choć już nie tak przejmująco. Ale zaczął się trząść.

– O Boże! – jęknęła i oderwała szmatkę. – Co ja mu zrobiłam?

Mama przyglądała mu się zdziwiona.

– On chyba się śmieje.

– Możemy dać mu jeszcze laudanum? – spytała pani Wetherby.

– Raczej nie – odparła Honoria. – Słyszałam, że przedawkowanie grozi tym, że człowiek się nie obudzi.

– Moim zdaniem naprawdę wygląda, jakby się śmiał – upierała się mama.

– Nie – stanowczo stwierdziła Honoria, no bo niby z czego miałyby się teraz śmiać? Leciutko szturchała matkę, żeby się odsunęła. Znow połała ranę gorącą wodą, a potem dalej ją czyściła, aż upewniła się, że zrobiła to jak najlepiej.

– To już chyba wszystko. – Wyprostowała się. Odetchnęła głęboko. Co za stres! Każdy mięsień napięty. Odłożyła nożyczki i chciała rozprostować palce, sztywne jak szpony.

– A gdybyśmy ranę polały laudanum? – zapytała pani Wetherby.

Lady Winstead zamrugła.

– Po co?

– To chyba nie zaszkodzi. Jeśli laudanum nadaje się do picia, nie powinno podrażnić skóry. A może podziała przeciwbólowo –zastanawiała się Honoria.

Pani Wetherby podniosła małą brązową buteleczkę.

– Proszę.

Honoria wzięła ją i wyciągnęła korek.

– Mamo?

– Tylko troszkę. – Lady Winstead nie wyglądała na przekonaną.

Honoria chlusnęła odrobinę laudanum na nogę Marcusa. Zawył z bólu.

– Ojej – jęknęła pani Wetherby. – Tak mi przykro. To był mój pomysł.

– Nie, nie. – To przez sherry. Robią to na sherry. – Honoria nie miała pojęcia, skąd to wie, ale była prawie pewna, że butelka z wywołującą lęk naklejką („Trucizna” wypisano dużo większymi literami niż „laudanum”) zawiera jeszcze cynamon i szafran. Wsunęła do środka palec i spróbowała.

– Honorio! – krzyknęła matka.

– Boże, coś okropnego! – Honoria tarła palcem podniebienie, bezskutecznie usiłując pozbyć się smaku. – Ale na pewno jest w tym sherry.

– Po co próbowałaś? To niebezpieczne – denerwowała się lady Winstead.

– Z ciekawości. Ta jego mina, kiedy mu to dawałyśmy! A kiedy polałyśmy mu ranę, widziałam, że bardzo go zabolalo. Zresztą połknęłam tylko kroplę.

Matka, zmartwiona, westchnęła.

– Chciałabym, żeby wreszcie przyjechał lekarz.

– Nie tak szybko – powiedziała pani Wetherby. – Może za godzinę. I to jeżeli będzie w domu, kiedy po niego przyjadą. Jeśli wyjechał... – urwała.

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał. Ciszę mącił tylko nienormalnie płytki, ciężki oddech Marcusa.

– I co teraz? – wybuchnęła Honoria, patrząc na nogę Marcusa. Rana ziała żywym mięsem, a miejscami ciągle jeszcze krwawiła. – Powinnyśmy ją zabandażować?

– Raczej nie – odparła matka. – Trzeba by ją znowu odkryć, kiedy przyjedzie lekarz.

– Jest pani głodna? – zapytała Honorie pani Wetherby.

– Nie. – Ale umierała z głodu. A czy uda jej się coś przełknąć?

– Lady Winstead? – pani Wetherby zwróciła się do niej.

– Chybabym coś zjadła – mruknęła przygnębiona, nie spuszczać wzroku z Marcusa.

– Może kanapkę? – zaproponowała pani Wetherby. – Albo, ojej, śniadanie. Żadna z pań nie jadła śniadania. Mogę poprosić kucharkę o jajka na bekonie.



– Proszę nie robić sobie kłopotu – odpowiedziała lady Winstead i popatrzyła na córkę. – Powinnaś coś zjeść.

– Wiem. Tylko... – Nie skończyła. Przecież matka dobrze wie, co ona w tej chwili czuje.

Na ramieniu poczuła delikatną dłoń.

– No i powinnaś usiąść.

Usiadła.

I czekała.

Ależ to trudne – nigdy nie przeżyła czegoś takiego.

Laudanum, doskonały lek.

Marcus zazwyczaj się go wystrzegał. Chyba nawet patrzył z góry na ludzi, którzy go zażywali, ale być może powinien ich przeprosić. Przeprosić cały świat. Bo nigdy przedtem nie odczuwał prawdziwego bólu. Takiego jak ten.

Nie chodziło nawet o klucie i wycinanie. No tak, kiedy ktoś dziurawi nam ciało jak dzięcioł drzewo, to oczywiście boli, lecz jeszcze da się to wytrzymać.

Ale on umierał z bólu (a przynajmniej tak się czuł), kiedy lady Winstead użyła brandy. Co jakiś czas zalewała nią jego otwartą, żywą ranę. Gdyby go podpałiła, chyba mniej by cierpiał.

Już nigdy nie wypije nawet łyka brandy. Chyba że najlepszej. I nawet wtedy tylko dla zasady. Dla szyku.

Więc trzeba ją pić.

Chwilę się zastanawiał. Kiedy po raz pierwszy przyszło mu to do głowy, wydawało się sensowne. Zaraz, zaraz, nadal jest sensowne. A może nie?

W każdym razie wkrótce po tym, jak lady Winstead połała mu nogę brandy – miał nadzieję, że nie tą najlepszą – wlano mu do gardła laudanum, i naprawdę, musi przyznać – poczuł się wspaniale. Wciąż miał wrażenie, że nogę powoli opiekają mu na ruszcie – bardzo to boli – ale po tym, jak bez znieczulenia wytrzymał zabiegi „pielęgnacyjne” lady Winstead, klucie nożem, kiedy był pod wpływem opiatu, to pestka. Niemal relaks.

No i, nie wiadomo dlaczego, poczuł się szczęśliwy.

Uśmiechnął się do Honorii, a raczej tam, gdzie wydawało mu się, że ona może być. Powieki miał ciężkie jak kamień.

Usta też – tak naprawdę tylko pomyślał, że się uśmiecha.

Ale chciał się uśmiechnąć. Gdyby mógł. To takie ważne.

Na chwilę – ulga, a potem zaczęło się na nowo... Znów cudowna, krótka przerwa, i...

Do diabła, ależ boli.

Nie aż tak, żeby krzyczeć. Chyba tylko jęknął. Lano na niego gorącą wodę. Mnóstwo wody. Potoki wody. Chcą go ugotować?!

Gotowane mięso. Ot typowe Brytyjki!

Zachichotał. Kto by przypuszczał, że w takiej sytuacji potrafi się śmiać?

– O mój Boże! – usłyszał krzyk Honorii. – Co ja mu zrobiłam?

Wciąż chichotał; mówiła tak śmiesznie, zupełnie jak przez megafon: Ooo... móóój... Boo... Ciekawe, ona też to słyszy?

Chwileczkę? Pytała, co mu zrobiła? A więc to ona teraz ma nożyczki? Nie wiedział, co o tym myśleć. No i to... gotowane mięso!

Znowu się roześmiał. W końcu wszystko mu jedno. Chyba jest zabawny. Jak to możliwe, że nikt mu nigdy nie powiedział, jak bardzo?

– Może jeszcze trochę laudanum? – odezwała się pani Wetherby.

Tak, tak, poproszę.

Ale mu go nie dały. Przeciwnie, znów usiłowały go ugotować, a do tego grzebały mu w ranie. Ale po kilku minutach – koniec.

Znowu zaczęły mówić o laudanum; cóż za okrucieństwo! Żadna nie podeszła do niego z łyżką albo szklanką, żeby je wypił, ale chlusnęły mu prosto na nogę, i...

– Aaaaaa!

Palilo chyba jeszcze bardziej niż brandy.

Wreszcie postanowiły, że przestaną go torturować – odwiązały go i przesunęły na drugą, suchą stronę łóżka.

A potem, hm... Chyba się zdrzemnął. Oby, bo zobaczył, jak po pokoju skacze ogromny królik, więc jeśli nie śnił... Katastrofa.

Tak naprawdę nie królik był niebezpieczny, lecz marchewka, którą wymachiwał jak maczugą.

Taką marchewką najadłaby się cała wioska.

Lubi marchewki. Choć nigdy nie lubił pomarańczowego. Ten kolor zawsze go drażnił. Zwykle pojawiał się nieoczekiwanie, a on nie przepadał za niespodziankami.

Niebieski. Fantastyczny kolor. Piękny i kojący. Zwłaszcza jasnoniebieski. Jak niebo. W słoneczny dzień.

Albo oczy Honorii. Zawsze mówiła, że są lawendowe. Nieprawda. Były zbyt świetliste jak na lawendowy. Lawendowy? Martwy kolor. Prawie tak samo szary jak liliowy. I stanowczo zbyt pretensjonalny. Kojarzył mu się ze starszymi paniami w żałobie. Z turbanami na głowach. Nie mógł zrozumieć, dlaczego w kalendarzu żałobnym lawendowy zaraz po czarnym uchodzi za odpowiedni kolor. A brązowy? Nie bardziej stosowny?

I dlaczego starsze panie noszą turbany?

Ciekawostka! Chyba nigdy wcześniej nie myślał tak intensywnie o kolorach. A może powinien, kiedy ojciec lata temu kazał mu się uczyć malarstwa?! No nie, jaki dziesięcioolatek z własnej woli spędziłby cztery miesiące na malowaniu miski z owocami?

Znów pomyślał o oczach Honorii. Naprawdę są bardziej niebieskie niż lawendowe. Choć z odcieniem liliowym – a to niezwykle. Tak – nikt nie ma takich oczu, jak ona. Nawet oczy Daniela nie są dokładnie takie same, bo ciemniejsze. Niewiele, ale Marcus widział różnicę.

Honorina by się z tym nie zgodziła. Będąc dzieckiem, często mówiła o tym, jak to mają z Danielem takie same oczy. Marcus zawsze uważał, że szuka więzi z bratem, czegoś, co w szczególny sposób ich łączy.

Więź! To dla niej najważniejsze. Nic dziwnego, że tak bardzo pragnie wyjść za mąż, uciec ze swojego cichego, pustego domu. Niech coś się dzieje. Potrzebuje śmiechu. Nie chce być sama. Nigdy sama.

Czy ona w ogóle jest w pokoju? Tak tu cicho. Znow spróbował otworzyć oczy. Bez powodzenia.

Przeturlał się na bok – jak to dobrze, że nie ma już na sobie tych strasznych więzów. Zawsze lubił spać na boku.

Ktoś dotknął mu ramienia, a potem podciągnął koce, żeby go okryć. Starał się zamruczeć w podziękowaniu i chyba mu się udało, bo usłyszał, że Honorina pyta:

– Nie śpisz?

Znow zamruczał. Nic innego mu nie wychodziło.

– No, może trochę się rozbudziłeś. Lepsze to niż nic. Ziewnął.

– Wciąż czekamy na lekarza. Miałam nadzieję, że przyjdzie szybko. –

Kilka chwil była cicho, a potem dodała wesoło: – Twoja noga wygląda dużo lepiej. Tak przynajmniej mówi mama. Szczerze? Dla mnie nie bardzo, ale zdecydowanie nie tak strasznie jak rano.

Rano? To znaczy, że jest po południu? Tak bardzo chciałby móc otworzyć oczy.

– Poszła do swojego pokoju. Znaczy mama. Powiedziała, że musi odpocząć od tego upału. – Następna przerwa, a potem: – Naprawdę strasznie tu gorąco. Otworzyłyśmy okno, ale tylko trochę. Pani Wetherby bała się, żebyś się nie przeziębził. Wiem, trudno sobie wyobrazić, że w takiej duchocie można

się przeziębć, gospodyni jednak zapewnia, że tak. Ja lubię spać pod grubym kocem w zimnym pokoju. Ale pewnie cię to nie interesuje.

Interesuje, interesuje go. Niekoniecznie to, co ona mówi. Lecz uwielbia słuchać jej głosu.

– Mamie jest ostatnio ciągle gorąco. Doprowadza mnie to do szału. Gorąco jej, potem zimno, a potem znów gorąco, i tak w kółko. Ale gorąco chyba częściej niż zimno. Gdybyś chciał jej kiedyś kupić prezent, to polecam wachlarz. Zawsze go potrzebuje.

Znów dotknęła jego ramienia, a potem czoła, lekko odgarniając mu włosy. Jakie to miłe. Takie miękkie, delikatne i troskliwe. Nigdy przedtem nie doświadczył czegoś podobnego. No może troszkę wtedy, kiedy zmuszała go do wypicia herbaty.

Lubi, kiedy ktoś się o niego troszczy. A to dopiero.

Westchnął. Miał wrażenie, że wyraził tym swoje szczęście. Oby ona też tak pomyślała.

– Dostyc długo spałeś – ciągnęła. – Chyba spadła ci gorączka. Nie całkiem, ale wydajesz się spokojniejszy. Wiesz, że mówiłeś przez sen?

Naprawdę?

– Tak. Mogłabym przysiąc, że rano mówiłeś coś o rybie żabnicy. A przed chwilą o cebuli.

– O cebuli? Nie o marchewce?

– Ciekawe, o czym myślisz? O jedzeniu. O żabnicy z cebulą? Moim marzeniem w czasie choroby by to nie było, cóż każdy jest inny. – Znów pogładziła go po włosach, a potem, ku jego zaskoczeniu i zachwytowi, leciutko pocałowała w policzek. – Wiesz co, nie jesteś taki znów straszny – powiedziała z uśmiechem.

Nie widział uśmiechu, lecz wiedział, że się uśmiechnęła.

– Lubisz udawać nieprzystępnego ponuraka, ale taki nie jesteś. Chociaż często rzucasz groźne spojrzenia.

Tak? Nie chciał groźnie patrzeć. Zwłaszcza na nią.

– Wiesz, że prawie udało ci się mnie nabrać? W Londynie zaczynałam cię nie lubić. Ale tylko dlatego, że zapomniałam. To znaczy, jaki kiedyś byłeś. I zapewne wciąż jesteś.

Co ta dziewczyna plecie?

– Nie pozwalasz ludziom zobaczyć, jaki naprawdę jesteś.

Znów zamilkła, a jemu wydawało się, że słyszy, jak się porusza, może poprawia na krześle. A kiedy się odezwała, usłyszał, że znowu się uśmiecha.

– Moim zdaniem jesteś nieśmiały.

Na miłość boską, racja. Nie znosił rozmawiać z nieznanymi. Zawsze tak było.

– To dziwne – ciągnęła. – Mężczyźni przecież nie bywają nieśmiali.

Niby dlaczego nie?

– Jesteś wysoki, wysportowany. I inteligentny. I męski.

Nie powiedziała „przystojny”.

– A w dodatku niesamowicie bogaty, no i oczywiście... masz jeszcze tytuł hrabiego. Gdybyś zamierzał się żenić, każda by cię chciała.

Czy jej zdaniem jest brzydki? Szturchnęła go palcem.

– Nie wyobrażasz sobie, ile osób chciałoby być na twoim miejscu.

Chyba jednak nie w tej chwili.

– Ale jesteś nieśmiały – powtórzyła jakby ze zdziwieniem. Czuł, że się do niego zbliżyła. Jej oddech leciutko muskał mu policzek. – Myślę, że mi się podoba ta twoja nieśmiałość.

Naprawdę? Bo on jej nie znosił. W szkole przez całe lata przyglądał się, jak Daniel bez wahania z każdym rozmawia. A on zawsze potrzebował czasu,

żeby dopasować się do innych. To dlatego uwielbiał być u Smythe–Smithów. Ich dom zawsze był zwariowany, wciąż coś się w nim działo. Nikt nie zauważył, kiedy wślizgnął się w ich niezwykle życie i stał się członkiem rodziny.

To była jedyna jego rodzina.

Honorcia znów dotknęła jego twarzy. Palcem przeciągnęła wzdłuż nasady nosa.

– Gdybyś nie był nieśmiały, byłbyś zbyt idealny, jak bohater z powieści. Jestem pewna, że nie czytasz powieści, ale według moich koleżanek przypominasz postać z gotyckich powieści pani Gorely.

Nie bez powodu więc nie lubi jej koleżanek.

– A ja nigdy nie wiedziałam, czy jesteś białym, czy czarnym charakterem.

Postanowił nie dopatrywać się w tym stwierdzeniu obelgi. Czuł, że kiedy Honorcia to mówi, chytrze się uśmiecha.

– Musisz wyzdrowieć – szepnęła. – Nie wiem, co się stanie, jeśli nie wyzdrowiejesz. – A potem, tak cicho, że ją ledwo słyszał, dodała: – Wydaje mi się, że mógłbyś być moją bratnią duszą.

Chciał poruszyć ustami, coś powiedzieć, bo czegoś takiego nie można zostawić bez odpowiedzi. Ale twarz miał nabrzmiąłą, opuchniętą i z ust wydobył mu się tylko charkot.

– Marcus? Chcesz wody?

Tak.

– A w ogóle, ty śpisz?

W pewnym sensie.

– Proszę – powiedziała. – Spróbuj tego.



Poczuł, że coś zimnego dotyka jego ust. Łyżka z letnią wodą. Łykał z trudem, więc dała mu tylko kilka kropli.

– Chyba się nie obudziłeś – stwierdziła. Usłyszał, jak znów sadowi się na krześle. Westchnęła. Sprawiała wrażenie zmęczonej. Biedactwo.

Ale był zadowolony, że jest przy nim. Czuł, że ona także może być jego bratnią duszą.

TTLRR

## 12

Lekarz! – Mniej więcej dwadzieścia minut później Honoria poderwała się, kiedy do pokoju wszedł zaskakująco młody człowiek. Lekarz bez siwych włosów? Chyba nigdy przedtem takiego nie widziała.

– Chodzi o nogę – powiedziała. – Nie zauważył pan rany, kiedy...

– Nie ja go przedtem badałem, lecz mój ojciec – odparł szorstko.

– Och.

Kiedy lekarz nachylił się nad Marcusem, Honoria z szacunkiem się cofnęła. Matka, która weszła tuż za nim, stanęła przy niej.

I wzięła ją za rękę. Honoria ścisnęła ją jak koło ratunkowe. Była wdzięczna za to milczące dodanie otuchy.

Młody człowiek zbadał Marcusa znacznie szybciej, niż według Honorii powinien, a potem przyłożył ucho do jego piersi.

– Ile pacjent dostał laudanum?

Honoria popatrzyła na mamę. To ona podawała mu lek.

– Łyżkę. Może dwie.

Lekarz zmarszczył brwi. Wyprostował się i odwrócił do nich.

– No to jedną czy dwie?

– Trudno powiedzieć – odparła lady Winstead. – Wszystkiego nie połknął.

– Musiałam wytrzeć mu twarz – wtrąciła się Honoria.

Lekarz tego nie skomentował. Znowu przyłożył ucho do piersi Marcusa i poruszał ustami, jakby coś obliczał. Honoria długo czekała, wreszcie nie wytrzymała:

– Doktorze...

– Winters – podpowiedziała matka.

– Tak, doktorze Winters, czy dałyśmy mu za dużo?

– Raczej nie. – Ale dalej trzymał ucho przy piersi Marcusa. – Opium blokuje płuca. Dlatego tak płytko oddycha.

Honorcia przerażona zasłoniła usta dłonią. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że płytko oddycha. Co więcej, uważała, że oddycha lepiej. Spokojniej.

Lekarz wyprostował się i znów skupił na nodze Marcusa.

– Muszę mieć wszystkie konieczne informacje – powiedział oschle. – Byłbym znacznie bardziej zmartwiony, gdybym nie wiedział, że dostał laudanum.

– Nie martwi się pan? – nie dowierzała Honorcia. Winters spojrzał na nią ostro.

– Nie powiedziałem, że się nie martwię. Chodziło mi tylko o to, że znacznie bardziej bym się martwił, gdyby pacjent nie brał laudanum. Gdyby tak płytko oddychał bez laudanum, oznaczałoby to bardzo poważną infekcję.

– A nie jest poważna?

Lekarz spojrzał na nią zniecierpliwiony. Widziała, że nie podobały mu się jej pytania.

– Proszę powstrzymać się od komentarzy, aż skończę badanie.

Honorcia poczuła, że zaciska zęby z irytacji, ale zrobiła krok do tyłu. Będzie uprzejma wobec pana Wintersa, nawet gdyby ją to miało zabić. Jeśli ktokolwiek ma szansę uratować życie Marcusa, to on.

– Proszę mi dokładnie opisać, co panie robiły, żeby oczyścić ranę – polecił lekarz. – Chciałbym także wiedzieć, jak wyglądała przed czyszczeniem.

Honorcia i matka na zmianę opowiedziały, co robiły. Odniosły wrażenie, że aprobeje ich zabiegi, a przynajmniej ich nie gani. Kiedy skończyły, znów

nachylił się nad nogą Marcusa, jeszcze raz na nią popatrzył i zrobił długi wydech.

Honorcia czekała. Bardzo długo się zastanawiała. Bardzo długo. W końcu nie wytrzymała.

– Jakiego jest pana zdanie? – wykrztusiła.

Doktor Winters mówił powoli, tak jakby na głos myślał.

– Może zachowa nogę.

– Może? – jak echo powtórzyła Honorcia.

– Jest za wcześnie, żeby wiedzieć na pewno. Ale jeśli ją zachowa – spojrzał i na Honorcię, i na jej mamę – to dzięki paniom.

Honorcia zamruwała ze zdziwienia. Nie spodziewała się pochwały. Potem zadała pytanie, którego bała się najbardziej:

– Ale czy on przeżyje?

Lekarz spojrzał Honorcii w oczy spokojnie i szczerze.

– Na pewno przeżyje, jeśli teraz amputujemy nogę.

Usta dziewczyny zadrżały.

– Co pan chce powiedzieć? – szepnęła, choć dobrze wiedziała co. Musiała to jednak usłyszeć z jego ust.

– Jestem przekonany, że jeśli teraz usunę mu nogę, będzie żył. – Znów popatrzył na Marcusa, jakby szukał ostatecznej wskazówki. – Jeśli nie odetnę, może całkowicie wyzdrowieć. Albo umrzeć. Nie potrafię przewidzieć, jak rozwinie się zakażenie.

Honorcia znieruchomiała. Przenosiła wzrok z twarzy Wintersa na nogę Marcusa i z powrotem.

– Skąd będziemy wiedzieć? – zapytała cicho.

Winters przechylił głowę.

– Skąd będziemy wiedzieć, kiedy podjąć decyzję? – zapytała głośniej.

– Na pewne objawy trzeba zwrócić uwagę. Na przykład jeśli zauważą panie czerwone pręgi na nodze, będziemy wiedzieć, że musimy amputować.

– A jeśli te pręgi się nie pojawią, to znaczy, że zdrowieje?

– Niekoniecznie – przyznał lekarz. – Ale na razie, jeśli wygląd rany nie będzie się zmieniał, przyjmę to za dobry znak.

Honorcia wolno kiwnęła głową, usiłując wszystko zrozumieć.

– Czy zostanie pan w Fensmore?

– Nie mogę. – Odwrócił się, żeby spakować swoją torbę. – Muszę jechać do innego pacjenta, ale wrócę wieczorem. Nie sędzę, żeby wcześniej potrzebna była jakaś decyzja.

– Nie sędzi pan? – wybuchnęła Honorcia. – Więd nie jest pan pewny?

Doktor Winters westchnął; po raz pierwszy, od kiedy wszedł do pokoju, wyglądał na zmęczonego.

– W medycynie nie ma nic pewnego, milady. Chciałbym, żeby było inaczej. – Popatrzył na odsłonięte okno z widokiem na bezkresną zieleń południowego trawnika Fensmore. – Być może kiedyś to się zmieni. Ale obawiam się, że nie za naszego życia. Na razie moja praca w równym stopniu jest nauką, co sztuką.

Nie to Honorcia chciała usłyszeć, ale zrozumiała, że to prawda, więc skinęła głową w podziękowaniu.

Doktor Winters odwzajemnił grzeczność ukłonem, potem wydał Honorcii i jej matce instrukcje i wyszedł z obietnicą, że wróci wieczorem. Lady Winstead odprowadziła go do drzwi, a Honorcia znów została sama z Marcusem. Leżał na łóżku przerażająco spokojnie.

Przez kilka minut bez ruchu stała na środku pokoju. Czuła się dziwnie słaba i zagubiona. Nie miała właściwie nic do roboty. Rano była równie przerażona, ale przynajmniej musiała się skoncentrować na leczeniu chorego.

Teraz mogła tylko czekać, a bez konkretnego zajęcia jej umysł wypełnił strach.

Co za wybór. Jego życie lub jego noga. I to ona być może będzie musiała podjąć decyzję.

Nie chciała takiej odpowiedzialności. Dobry Boże, nie chciała.

– Och, Marcus – westchnęła i w końcu podeszła do krzesła koło łóżka. – Jak to się stało? Dlaczego tak się stało? To niesprawiedliwe. – Usiadła, splotła ramiona i położyła głowę na zgięciu łokcia.

Oczywiście, że poświęciłaby nogę, żeby zachować go przy życiu. Marcus też by tak zrobił, gdyby był na tyle przytomny, żeby sam mógł to powiedzieć. Jest dumny, ale nie aż tak, żeby woleć śmierć od kalectwa. Na pewno. Oczywiście nigdy o tym nie mówili. Kto by mówił o takich rzeczach. Przy obiedzie nie rozmawiało się o tym, czy amputować, czy umrzeć.

Ale wie, czego by chciał. Zna go od piętnastu lat. Nie musi go pytać, żeby wiedzieć, co wybierze.

Byłby jednak zły. Nie na nią. Nawet nie na lekarza. Na życie. Może na Boga. Ale wytrwałby. Ona by tego dopilnowała. Zostałaby u jego boku, aż on... Aż on...

O mój Boże! Co za koszmar!

Odetchnęła, żeby się uspokoić. Coś w niej chciało biec i błagać doktora Wintersa, żeby natychmiast amputował nogę. Jeśli to dla Marcusa gwarancja przeżycia, to ona jeszcze przytrzyma piłę.

Nie potrafiła wyobrazić sobie świata bez niego. Nawet jeśli by nie był w jej życiu, jeśli by został tu w Cambridgeshire, a ona wyszłaby za męża za kogoś, kto mieszka w Yorkshire albo Walii, albo na Orkadach i już nigdy nie miała go zobaczyć, wiedziałaby, że żyje i jest zdrowy, że jeździ konno, czyta książkę, a może siedzi na krześle przy kominku.

Jeszcze jednak nie czas na decyzję, choć nie znosi tej niepewności. Nie może być samolubna. Jak najdłużej musi chronić go przed kalectwem. Ale co, jeśli będzie czekać zbyt długo?

Mocno zamknęła oczy, chociaż głowę miała schowaną w ramionach. Czuła, że łzy palą jej powieki i za chwilę chyba wytrysną, by wyrazić przerażenie i frustrację, które w niej wzbierają.

– Proszę, nie umieraj – szepnęła. Potarła twarz o jego ramię, żeby wytrzeć łzy, a potem znów jak w kołysce położyła głowę na ramionach. Może powinna błagać jego nogę, a nie samego Marcusa. A może Boga, diabła, Zeusa lub Thora. Błagałaby pastucha, który doi krowy, gdyby miało to pomóc.

– Marcus – powtórzyła, bo wymawianie jego imienia przynosiło ukojenie. – Marcus.

– Noria.

Zamarła, a potem wyprostowała się.

– Marcus?

Nie otworzył oczu, ale widziała ruch pod jego powiekami, a broda leciutko podskakiwała mu w dół i w górę.

– Och Marcus – rozszlochała się. – Tak mi przykro. Nie powinnam płakać. – Bezradnie szukała chusteczki, a w końcu wytarła oczy różkiem prześcieradła. – Jestem przeszczęśliwa, że słyszę twój głos. Chociaż wcale nie jest taki, jak zwykle.

– Wwwo...

Podskoczyła, słysząc ten bełkot

– Chcesz wody? – zapytała.

Znów poruszył brodą.

– Czekaj, podeprę cię, żebyś trochę usiadł. Będzie ci łatwiej. – Chwyliła go pod ramiona i podciągnęła kilkanaście centymetrów. Niedużo, ale zawsze. Na stole stała szklanka z wodą. Wciąż jeszcze była w niej łyżka, którą usiłowała poprzednio go poić. – Dam ci tylko kilka kropli. Za każdym razem troszkę. Żebyś się nie zakrztusił, jeśli dam ci za dużo.

Tym razem poszło mu jednak dużo lepiej i wypił prawie osiem łyżek, zanim dał znać, że wystarczy, i osunął się płasko na łóżko.

– Jak się czujesz? – zapytała i spróbowała poprawić mu poduszkę. – To znaczy, oprócz tego, że strasznie.

Przechylił głowę w jedną stronę. Tak jakby usiłował wzruszyć ramionami.

– Oczywiście, że czujesz się okropnie, ale czy jest jakaś zmiana? Bardziej okropnie? Mniej okropnie?

Nie odpowiedział.

– Tak samo okropnie? – roześmiała się. Naprawdę się roześmiała. Zadziwiająca. – Plotę bez sensu.

Skinął głową. Nie całkiem jeszcze zdecydowanie, ale bardziej niż udało mu się do tej pory.

– Słyszałeś, co mówiłam. – Szeroki uśmiech pojawił się jej na twarzy. – Przedrzeźniałeś mnie, ale mnie słyszałeś.

Znowu skinął głową.

– To dobrze. Pozwalam ci. Kiedy będziesz zdrowszy, a na pewno będziesz, nie pozwolę ci tego robić, to znaczy mnie przedrzeźniać, ale na razie, proszę bardzo. Och! – Wstała, gdyż nagle poczuła, że rozpiera ją nerwowa energia. – Powinnam sprawdzić, co z twoją nogą. Wiem, że doktor Winters wyszedł niedawno, ale nie ma powodu, żebym jej nie obejrzała.



Potrzebowała na to tylko sekundy. Rana nadal połyskiwała i miała wściekle czerwony kolor, lecz nie pojawiło się niepokojące zabarwienie na żółto, a co najważniejsze, Honoria nie zobaczyła żadnych pręg.

– Nic się nie dzieje. Nie żebym się spodziewała jakichś zmian, ale tak jak mówiłam, nie ma powodu, żeby nie... no wiesz. – Uśmiechnęła się zmieszana. – Już mówiłam.

Chwilę była cicho, zadowolona, że może na niego patrzeć. Oczy miał zamknięte i wyglądał właściwie tak, jak kiedy badał go doktor Winters, ale usłyszała jego głos, dała mu wody i to wystarczyło, żeby wróciła jej nadzieja.

– Gorączka! – wykrzyknęła nagle. – Powinnam ją sprawdzić. – Dotknęła jego czoła. – Dla mnie jest takie samo. To znaczy cieplejsze niż powinno być, ale jest lepiej, zdecydowanie lepiej niż było. – Przerwała. Nie mówi do przysłowiowej ściany? – Słyszysz mnie jeszcze?

Przytaknął.

– To dobrze, bo wiem, że głupio gadam, ale nie ma sensu głupio gadać do ściany.

Drgnęły mu usta. Uśmiecha się? Gdzieś w myślach się uśmiecha, stwierdziła.

– Jestem szczęśliwa, że mogę się dla ciebie wygłupiać –oznajmiła.

Skinął głową.

Przyłożyła rękę do ust i oparła łokieć na przeciwległym ramieniu, którym opasała talię.

– Chciałabym wiedzieć, o czym myślisz. Lekko wzruszył ramionami.

– Usiłujesz mi powiedzieć, że za bardzo o niczym? – Wycelowwała w niego palec. – Nie uwierzę w to. Za dobrze cię znam.

Czekała na jeszcze jakąś jego reakcję, choćby najmniejszą, lecz się nie doczekała.

– Pewnie zastanawiasz się, jak osiągnąć najlepsze zbiory zbóż – mówiła więc dalej. – Albo czy nie za mało bierzesz od dzierżawców. Nie, raczej zastanawiasz się, czy nie za dużo od nich bierzesz. Przecież masz miękkie serce. Nie chciałbyś, żeby ktoś za bardzo się trudził.

Pokręcił głową. Tylko tyle, żeby zrozumiała, co chce powiedzieć.

– Nie, na pewno nie chcesz, żeby komuś było ciężko. O tym właśnie myślisz?

– O tobie – wyrzeźił.

– Myślisz o mnie?

– Dziękuję.

Miał cichy, ledwie słyszalny głos, ale go usłyszała. I musiała mocno wziąć się w garść, żeby się nie rozplakać.

– Nie zostawię cię – oświadczyła, biorąc go za rękę. – Dopóki nie wyzdrowiejesz.

– Dzi... dzi...

– W porządku. Nie musisz tego powtarzać.

Pierwszy raz też nie musiałeś nic mówić.

Ale się ucieszyła. Tyle że czy bardziej z tego „dziękuję”, czy „o tobie”?

Myślał o niej. Kiedy tak leżał, może bliski śmierci, a jeszcze bardziej o krok od amputacji, myślał o niej.

Po raz pierwszy od przyjazdu do Fensmore nie czuła się przerażona.

Kiedy Marcus obudził się następnym razem, stwierdził, że coś się zmieniło. Po pierwsze noga znów go bolała jak diabli. Przypuszczał jednak, że to dobry znak. Po drugie, był głodny. Właściwie umierał z głodu, jakby nie jadł od kilku dni.

I pewnie nie jadł. Ile to czasu minęło, od kiedy zachorował?

No i trzecia zmiana: otworzył oczy. Wspaniale.

Która godzina? Było ciemno, ale równie dobrze mogła być czwarta rano, co dziesiąta w nocy. Choroba dezorientuje.

Przełknął ślinę, usiłując zwilżyć sobie gardło. Dobrze byłoby znowu napić się wody. Odwrócił głowę w stronę nocnego stolika. Oczy nie przyzwyczyły mu się jeszcze do ciemności, ale widział, że ktoś śpi na krześle przy jego łóżku. Honoria? Chyba tak. Czuł, że podczas tych ciężkich przejść ani na chwilę go nie opuściła.

Zamrugnął i postarał się przypomnieć sobie, jak to się stało, że przyjechała do Fensmore. Pani Wetherby do niej napisała. Dlaczego wpadła na ten pomysł? Nie miał pojęcia, ale będzie jej za to do zgonnie wdzięczny. Podejrzał, że pewnie już by nie żył, gdyby nie katusze, którym Honoria i jej matka poddały jego nogę. Ale to nie wszystko. Wiedział, że tracił przytomność i już zawsze będzie miał ogromne luki w pamięci tych trudnych chwil, mimo to wiedział też, że Honoria cały czas była z nim w jego pokoju. Trzymała go za rękę, mówiła do niego, a jej cichy głos docierał do jego duszy, nawet jeśli on nie rozróżniał słów.

A świadomość, że ona tam jest... przyniosła mu ulgę. Nie był sam. Po raz pierwszy w życiu nie sam. Nie, dramatyzuje. Przecież nie skrywa się za niewidzialną tarczą, która trzyma ludzi na dystans. W jego życiu mogłoby być

więcej ludzi. Na miłość boską, jest hrabią! Mógłby pstryknąć palcami i dom by się zappełnił.

Ale nigdy nie szukał towarzystwa dla czezej paplaniny. A we wszystkim, co w jego życiu ważne, był sam.

Chciał tego.

Wydawało mu się, że chce.

Mrugnął jeszcze kilka razy i rzeczy w pokoju zaczęły nabierać ostrości. Nie zaciągnięto zasłon, więc księżyc dawał dosyć światła, by Marcus mógł odróżnić nawet odcienie kolorów. No ale przecież wiedział, że ściany są różowawe, a na ogromnym pejzażu nad kominkiem przeważa zieleń. Ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć. To jeden z zasadniczych życiowych truizmów.

Znów odwrócił głowę i wpatrywał się w osobę na krześle. To na pewno Honoria, nie tylko dlatego, że jej się spodziewa. Miała włosy w nieładzie i widział, że są jasnobrązowe, zdecydowanie nie tak ciemne, jak jej matki.

Od jak dawna ona tam siedzi? I w tak niewygodnej pozycji?

Nie powinien jej jednak przeszkadzać. Dziewczyna potrzebuje snu.

Chciał się podciągnąć i oprzeć, lecz ledwie odchylił się na kilka centymetrów. Ale widzi już trochę lepiej. Może nawet uda mu się wziąć ze stolika szklanę z wodą.

Chyba jednak nie. Podniósł odrobinę rękę, znów mu opadła. Do diabła, ależ jest słaby. I spragniony. Usta ma suche jak pieprz.

Szklanka z wodą wygląda jak obietnica nieba. Nieba tuż–tuż, ale nieosiągalnego.

A niech to.

Westchnął i natychmiast tego pożałował, bo rozboleły go żebra. Jak to możliwe, że człowieka może rozboleć dosłownie całe ciało? Poza nogą, ona go teraz paliła.

Raczej nie ma już gorączki. Albo przynajmniej niewysoką. Trudno stwierdzić. Tak czy inaczej, myśli znacznie jaśniej.

Przez minutę lub dwie przyglądał się Honorii. Nie poruszała się we śnie. Głowa opadała jej pod nienaturalnym kątem. Pomyślał, że obudzi się ze straszliwym bólem szyi.

Może powinien ją obudzić. Dla jej dobra.

– Honorio – wychrypiał.

Znów spróbował wyciągnąć dłoń w jej stronę. Miał wrażenie, że jego ramię to bezwładny, obcy ciężar, lecz jakoś je podniósł. Chciał ją tylko dotknąć, ale jego ręka beładnie wylądowała na jej wyprostowanej nodze.

– Aaaaa! – obudziła się z krzykiem. Głowę podniosła tak szybko, że uderzyła nią o oparcie łóżka. – Ojej! – jęknęła i roztarła bolące miejsce.

– Honorio – powtórzył, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Coś wymamrotała, szeroko ziewnęła i podrapała się po policzku.

– Marcus?

Głos miała rozespany. I cudowny.

– Mogę prosić o wodę? – spytał. Chyba powinien był powiedzieć coś mądrego i głębokiego. W końcu omal nie znalazł się na tamtym świecie. Ale chciało mu się pić. Jakby wędrował po pustyni. A w takim stanie najgłębsza mądrość, na jaką go było stać, to prośba o wodę.

– Oczywiście. – Chwilę szukała po omacku, aż trafiła ręką na szklanekę. – Ojej – usłyszał. – Zaraz.

Patrzył, jak wstaje, podchodzi do innego stołu i bierze z niego dzbanek.

– Już niewiele zostało – powiedziała cicho. – Ale powinno wystarczyć. –

Nalała trochę do szklanki i wzięła do ręki łyżkę.

– Sam się napiję. Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Naprawdę?

– Możesz mi pomóc usiąść?

Skinęła głową i mocno chwyciła go pod pachy.

– Proszę bardzo – mruknęła i podciągnęła go trochę.

Jej słowa musnęły mu szyję, niemal jak pocałunek. Westchnął i znieruchomiał, przez chwilę rozkoszując się ciepłem jej oddechu na skórze.

– Nic ci nie jest? – zapytała i odsunęła się.

– Nie, nie – zapewnił i ocknął się z marzeń tak szybko jak to możliwe dla kogoś w jego stanie. – Przepraszam.

Wspólnymi siłami udało im się podeprzeć go do pozycji siedzącej. Marcus wziął szklankę i napił się bez pomocy. Zauważył, że odbiera to jak zwycięstwo.

– Wyglądasz o wiele lepiej – stwierdziła Honoria, mrugając, by odegnąć z oczu sen. – Ja... ja... – Znowu zamrugęła, ale tym razem, żeby powstrzymać się od płaczu. – Tak dobrze, że wracasz do siebie.

Skinął głową i wyciągnął szklankę.

– Jeszcze, proszę.

– Jasne. – Nalała wody do pełna i mu podała. Wypił duszkiem i wypuścił powietrze dopiero, kiedy skończył.

Podziękował i oddał jej szklankę. Odstawiła ją i znów usiadła przy nim na krześle.

– Tak się o ciebie martwiłam – powiedziała.

– Co się stało? – zapytał.

Coś tam pamiętała: jej matkę z nożyczkami, gigantycznego królika. No i że nazwała go swoją bratnią duszą. To zapamięta na zawsze.

– Lekarz dwa razy przychodził cię badać. Doktor Winters. Młodszy doktor Winters. Jego ojciec... Cóż, nie jestem pewna, co się stało z jego ojcem, ale szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi. Nawet nie spojrzał na twoją nogę. Nie miał pojęcia, że masz zainfekowaną ranę. Gdyby ją zobaczył, zanim doszło do tak strasznego stanu, no cóż, skończyłoby się chyba tak samo. –Przygnębiona zacisnęła usta. – A może nie.

– Co powiedział doktor Winters? Ten młodszy.

Uśmiechnęła się

– Uważa, że uda się uratować ci nogę.

– Co? – Nie zrozumiał.

– Obawialiśmy się, że trzeba ją będzie amputować.

– O mój Boże. – Poczuł, jak opada na poduszki. – O mój Boże.

– Chyba dobrze, że o tym nie wiedziałeś – powiedziała łagodnie.

– O mój Boże. – Nie wyobrażał sobie życia bez nogi. Pewnie nikt nie potrafił sobie tego wyobrazić, dopóki nie musiał.

Ujęła jego dłoń.

– Wszystko się ułoży.

– Moja noga – szepnął. Poczuł irracjonalną potrzebę, aby usiąść i na nią spojrzeć. Przekonać się, że jej nie stracił. Zmusił się jednak, by leżeć spokojnie. Honoria na pewno uznałaby go za głupka, gdyby zobaczyła, że koniecznie musi popatrzeć na swoją nogę. Ale bolała go. Bardzo go bolała, i dobrze. Przynajmniej wiedział, że nadal jest tam, gdzie trzeba.

Honoria puściła jego dłoń, aby zasłonić usta, bo chciało jej się ziewać.

– Przepraszam. Mało spałam – usprawiedliwiła się.

Zrozumiał, że to przez niego. Jeszcze jeden powód, aby być jej wdzięcznym.

– To krzesło na pewno nie jest wygodne. Powinnaś się położyć po drugiej stronie łóżka.

– Och, nie mogę.

– To ani trochę mniej przyzwoite niż wszystko inne, co się tu dziś wydarzyło.

– Nie – powiedziała z taką miną, jakby miała się roześmiać, gdyby tylko nie padała z nóg ze zmęczenia. – Naprawdę nie mogę. Materac jest mokry od wody, którą polewałyśmy ci nogę.

– Och! – I wtedy on się roześmiał. Ponieważ go to rozbawiło. I ponieważ tak dobrze było się śmiać.

Troszkę się powierciła, żeby wygodniej usadowić się na krześle.

– Może mogłabym położyć się na kocu – zastanawiała się, wyciągając nad nim szyję w stronę pustego miejsca.

– Jeśli tylko zechcesz. Westchnęła wyczerpana.

– Mogę sobie zamoczyć stopy. Ale chyba wszystko mi jedno.

Chwilę później leżała na łóżku. Na kocu. On prawie cały był owinięty oddzielną kołdrą, jedynie noga spod niej wystawała. Przypuszczał, że chcieli jej zapewnić dostęp powietrza. Znów ziewnęła.

– Honorio – szepnął.

– Mhm?

– Dziękuję

– Mhm... hm.

Chwilę później powiedział to, co musiał powiedzieć:

– Cieszę się, że tu byłaś.

– Ja też – zamruczała zaspana. – Ja też.



Jej oddech powoli się wyrównał; potem jego też. Spali.

Kiedy Honoria obudziła się następnego poranka, było jej cudownie ciepło i miło. Z zamkniętymi oczami wyciągnęła palce u nóg, potem naprężyła stopy i kilka razy obróciła je w kostkach. Wyciąganie się w łóżku było jej codziennym zwyczajem. Następnie zajmowała się dłońmi – rozczapierzała je jak małe rozgwiazdy, po czym napinała jak szpony – i wreszcie szyją: w przód i w tył i w kółeczko.

Ziewnęła, zacisnęła ręce w pięści, wyciągnęła ramiona i...

W kogoś uderzyła.

Zamarła. Otworzyła oczy. Przypomniała sobie wszystko. Dobry Boże, jest w łóżku z Marcusem. Nie! To nieodpowiednie określenie. Jest w łóżku Marcusa. Ale nie z nim.

To nieprzyzwoite, lecz na pewno istnieje jakaś szczególna dyspensa dla młodych dam, które znajdują się w łóżku dżentelmena, wyraźnie zbyt chorego, by móc je skompromitować.

Powoli starała się od niego odsunąć. Po co go budzić. Pewnie nawet nie wie, że ona tu jest. A używając słowa „tu”, ma na myśli tuż przy nim, ze stopami tuż przy jego stopach. Absolutnie nie na drugim końcu łóżka, gdzie się wczoraj położyła.

Ugięła kolana i zaparła się nogami, żeby lepiej się odepchnąć. Najpierw podniosła biodra i przesunęła je o dwa centymetry w prawo. Potem ramiona. Potem biodra, a potem stopy, dla równowagi. Znów ramiona, aż nagle...

Bum!

Marcus przekreślił się i jedna jego ręka ciężko na nią opadła. Dziewczyna znów znieruchomiała. I co teraz? Może, jeśli zaczeka minutę lub dwie, on wróci na swoje miejsce. Czekala i czekała. Poruszył się. I przesunął w jej stronę.

Nerwowo przełknęła ślinę. Która godzina? Jakiś czas po świcie, ale dokładnie? Nie chciała, żeby weszła pani Wetherby i zobaczyła, jak leży przytulona do Marcusa – albo, co gorsza, jej matka.

Na pewno nikt o niej źle nie pomyśli, zważywszy na to, co się działo wczoraj. Ale jest panną, a on kawalerem, leżą w łóżku, i on prawie nic nie ma na sobie, i...

Dosyć tego. Wychodzi. Jeśli Marcus się obudzi, to trudno. Przynajmniej nie obudzi się z pistoletem na karku, którym zmuszą go do małżeństwa.

Wysunęła się z łóżka, usiłując zignorować miłe odgłosy, które wydawał, kiedy przewracał się i mościł pod kołdrą. Gdy już mocno stanęła na dywanie, szybko zerknęła na nogę Marcusa. Wydawała się dobrze goić. Ani śladu złowróżbnych czerwonych pręg, przed którymi ostrzegał doktor Winters.

– Dziękuję – szepnęła i zmówiła szybką modlitwę za jego dalsze zdrowienie.

– Proszę bardzo – mruknął.

Zdziwiona, cicho krzyknęła i odskoczyła od niego.

– Przepraszam – roześmiał się.

Był to najpiękniejszy dźwięk, jaki Honoria usłyszała w życiu.

– Nie tobie dziękowałam – powiedziała zadziornie.

– Wiem. – Uśmiechnął się.

Spróbowała rozprostować spódnice, strasznie wygniecioną. Miała na sobie tę samą sukienkę, którą włożyła w Londynie, a to było – co tu mówić – dwa dni temu. Woląла nawet sobie nie wyobrażać, jak okropnie wygląda.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Dużo lepiej – odparł i usiadł.

Zauważyła, że naciągnął pod brodę kołdrę. Pewnie dlatego tylko lekko się zaczerwieniła, a nie spłonęła rumieńcem. Ale przecież to śmieszne.

Poprzedniego dnia ze sto razy widziała jego nagi tors, przyciskała i kłuła jego gołą nogę, nawet – tego mu nigdy nie powie – zobaczyła kawałek jego pośladków, kiedy w gorączce rzucał się na łożku. Teraz jednak oboje byli w pełni przytomni, niebezpieczeństwo śmierci minęło... i ona nie mogła spojrzeć mu w oczy.

– Wciąż jeszcze cię boli? – zapytała, wskazując nogę, która wystawała spod przykrycia.

– Taki tępy ból.

– Będiesz miał straszną bliznę.

Uśmiechnął się cierpko.

– Będę się nią chwalić i zmyślać o niej kłamstwa.

– Kłamstwa? – powtórzyła jak echo rozbawiona.

Przechylił głowę na bok i przyglądał się ogromnej ranie na nodze.

– Pomyślałem, że mogę opowiadać, jak to walczyłem z tygrysem.

– Z tygrysem? W Cambridgeshire?

Wzruszył ramionami.

– To bardziej prawdopodobne niż rekin.

– Z dzikiem – postanowiła.

– Za mało romantyczne.

Zacisnęła usta, a potem parsknęła śmiechem. Marcus też. I dopiero wtedy pozwoliła sobie uwierzyć: on wyzdrowieje. To cud. Nie potrafiła znaleźć innego słowa, aby to opisać. Jego twarz znów nabrała koloru i nawet jeśli trochę zeszcupłał, to nic, skoro odzyskał przytomność. Wyzdrowieje.

– Honorio?

Podniosła wzrok.

– Zachwiałaś się... Podtrzymałbym cię, ale...

– Czuję się trochę niepewnie. – Podeszła do krzesła przy łóżku. – Chyba...

– Jadłaś coś?

– Tak. Nie. No, trochę. Powinnam coś zjeść. Ale tak mi... ulżyło. – A potem, ku jej największemu przerażeniu, rozplakała się. Przyszło to do niej nagle, jak wielka fala oceanu. Cały czas była taka zdenerwowana. Trzymała się, jak najdłużej mogła, a teraz, kiedy już wiedziała, że Marcus wyzdrowieje, załamała się.

Była jak struna skrzypiec, którą tak napięto, że pękła na dwoje.

– Przepraszam – powiedziała, szlochając i w przerwach starając się łapać powietrze. – Nie wiem... Nie chciałam... Jestem taka szczęśliwa.

– Ciii – uspokajał ją. – Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. – Wziął ją za rękę.

– Wiem – łkała. – Wiem. I dlatego płaczę.

– Ja też dlatego płaczę.

Odwróciła się. Po jego twarzy nie popłynęły łzy, ale miał mokre oczy. Nigdy nie widziała u niego tak silnych emocji, nie sądziła nawet, że są możliwe. Wyciągnęła drżącą rękę, dotknęła jego policzka, a potem kącika oka... i zrobiła coś tak niespodziewanego, że oboje się zdziwili.

Objęła go ramionami, twarz wtuliła w zagięcie szyi i mocno do niego przywarła.

– Tak się bałam – szepnęła. – Sama nie wiedziałam, jak strasznie.

On też ją objął, najpierw z wahaniem, a potem, jakby potrzebował tylko lekkiego impulsu, rozluźnił się i przytulał ją, głaszcząc po włosach.

– Nie wiedziałam. Nie zdawałam sobie sprawy.

Znaczenia tych słów nawet ona nie rozumiała. Nie miała pojęcia, o czym mówi: czego nie wiedziała i z czego nie zdawała sobie sprawy. Po prostu... no po prostu...

Spojrzała na niego. Musiała.

– Honorio – szepnął i patrzył na nią, jakby nigdy przedtem jej nie widział. Oczy miał ciepłe, brązowe jak czekolada i błyszczące z emocji. Coś głęboko w nich rozpałiło się jak ogień, coś, czego nie potrafiła w pełni rozpoznać, i powoli, bardzo powoli, jego usta spotkały się z jej ustami.

Marcus nie umiałby wytłumaczyć, dlaczego pocałował Honorię. Bo nie wiedział dlaczego. Przytulił ją, kiedy płakała, i pocałunek wydał mu się czymś bardzo naturalnym i niewinnym. Nie miał zamiaru jej całować, nie czuł potrzeby, żeby posunąć się dalej.

Ale wtedy na niego spojrzała. Jej oczy – och, te niezwykle oczy – błyszczały od łez, a pełne usta drżały. Przestał oddychać. Przestał myśleć. Coś nim zawładnęło, coś, co poczuło w ramionach kobietę – i był zgubiony.

Nagle się zmienił.

Musiał ją pocałować. Musiał. Kazał mu to zrobić jakiś żywioł, równie pierwotny, jak jego oddech, krew, a nawet dusza. A kiedy to zrobił... Ziemia przestała się kręcić. Ptaki przestały śpiewać.

Cały świat się zatrzymał, nie istniało nic tylko on i ona, i ulotny pocałunek, który ich połączył. Coś w nim przebudziło się do życia, jakaś namiętność, pożądanie. I zrozumiał, że gdyby nie był tak słaby, tak oszołomiony, posunąłby się dalej. Nie potrafiłby się powstrzymać. Przycisnęłaby ją całą do siebie i napawał się jej kruchością i jej zapachem.

Pocałowałby ją głęboko i dotykałby jej. Wszędzie.

Błagałby ją. Błagałby, aby została, aby powitała radośnie jego namiętność, przyjęła go do swojego środka.

Pożąda jej. Nic nie mogłoby bardziej go przerazić. To jest Honoria. Przysiągł, że będzie ją chronił. Tymczasem... Oderwał usta od jej warg, ale nie potrafił się oderwać od niej. Oparł czoło o jej czoło.

– Wybacz mi – szepnął, rozkoszując się tym ostatnim dotknięciem.

Wtedy wyszła. Nie mogłaby bardziej się śpieszyć. Odprowadzał ją wzrokiem i widział, jak drżą jej ręce i usta.

Bestia z niego. Ta dziewczyna uratowała mu życie, a tak jej się odwdzięcza?

– Honorio – szepnął i palcami dotknął swoich ust, jakby jeszcze mógł ją na nich poczuć.

I tak się działo. Niesłychane. Nadal czuł jej pocałunek, drżał od muśnięcia jej ust. Pozostała z nim.

Miał niezwykle przeczucie, że tak już będzie zawsze.

Na szczęście Honoria nie musiała następnego dnia swojego życia spędzić na zadręczaniu się myśleniem o krótkim pocałunku z Marcusem. Bo spała.

Od sypialni Marcusa do jej pokoju dzieliło ją dosłownie kilka kroków, więc skupiła się na tym, co teraz robiła: stawiała jedną stopę przed drugą i trzymała się prosto, dopóki nie dojrnęła do celu. Kiedy już tego dokonała, położyła się do łóżka i nie wstawiała przez następne dwadzieścia cztery godziny.

Nic jej się nie śniło, niczego nie pamiętała.

Kiedy w końcu się obudziła, był ranek, a ona miała na sobie tę samą sukienkę, którą włożyła – ile to dni temu? – w Londynie. Należała jej się kąpiel i czyste ubrania, a potem oczywiście śniadanie. Była w świetnym humorze i nalegała, aby towarzyszyła jej pani Wetherby. Rozmawiały o najróżniejszych sprawach bez najmniejszego związku z Marcusem.

Niezwykłe interesujące były na przykład jajka oraz bekon, a już hortensje na dworze absolutnie fascynujące.

Hortensje. Kto by to pomyślał?

W każdym razie świetnie udawało jej się unikać nie tylko rozmowy, ale i wszelkich myśli o Marcusie, dopóki pani Wetherby nie zapytała:

– Czy odwiedziła już dziś pani lorda Marcusa?

Honoria na chwilę zamilkła. Muffinka, którą podnosiła do ust, zawisła w powietrzu.

– Hm, jeszcze nie – odparła. Masło z muffinki kapało jej na rękę. Odłożyła ją na talerzyk i wytarła palce.

– Jestem pewna, że bardzo chciałby się z panią zobaczyć – stwierdziła pani Wetherby.

Co znaczyło, że Honoria musi do niego iść. Po tym, jak tyle czasu i energii poświęciła, żeby go pielęgnować, kiedy miał gorączkę, wyglądałoby nieco dziwnie, gdyby po prostu machnęła ręką i powiedziała: „Och, nie muszę się z nim widzieć”.

Przejście z pokoju śniadaniowego do sypialni Marcusa zajmowało dokładnie trzy minuty, a więc trzy minuty dłużej, niż miała ochotę spędzić na rozmyślaniu o trzysekundowym pocałunku.

Pocałowała najlepszego przyjaciela jej brata. Pocałowała Marcusa, chyba także jednego z jej najlepszych przyjaciół.

Myśl ta zszokowała ją prawie tak samo jak pocałunek. Jak do tego doszło? Marcus zawsze był przyjacielem Daniela, a nie jej. Albo raczej, przede wszystkim Daniela, a jej w drugiej kolejności. Co nie znaczy...

Zatrzymała się. Od tych myśli aż jej się kręciło w głowie.

A niech tam. On pewnie ani razu o tym nie pomyślał. Może był jeszcze nie całkiem przytomny i nic nie będzie pamiętał.

I czy w ogóle można to nazwać pocałunkiem? Trwał bardzo, bardzo krótko. A czy nie ma znaczenia to, że całujący (on) był niezmiernie wdzięczny całowanej (jej) i pewnie nawet wobec niej zwyczajnie zobowiązany?

W końcu uratowała mu życie. Więc pocałunek nie był tak całkiem nie na miejscu.

Na dodatek Marcus powiedział: „Wybacz mi”. Czy pocałunek się liczy, jeśli całujący prosi o przebaczenie?

Honoria stwierdziła, że nie.

Ale i tak nie miała najmniejszej ochoty z nim o tym rozmawiać, więc kiedy pani Wetherby powiedziała, że Marcus jeszcze spał, kiedy rano poszła sprawdzić, jak się czuje, Honoria postanowiła się pośpieszyć i iść do niego, zanim się obudzi.



Drzwi były lekko uchylone, więc położyła dłoń na ciemnym drewnie i delikatnie je pchnęła. Nie do pomyslenia, żeby w tak zadbanym domu jak Fensmore skrzypiały zawiasy, ale ostrożności nigdy nie dość. Kiedy szpara miała wielkość głowy, Honoria zajrzała do środka, żeby go zobaczyć, i...

Odwrócił się i popatrzył w jej stronę.

– Nie śpisz! – Zaszcebiotała jak mały, zdziwiony ptaszek. A niech to!

Siedział w łóżku. Koce schludnie opatulały go w pasie. Honoria z ulgą zauważyła, że ma na sobie piżamę. Podniósł do góry książkę.

– Usiłuję czytać.

– Ojej. Nie będę ci przeszkadzać – powiedziała szybko, chociaż jego ton wyraźnie dawał do zrozumienia: „Usiłuję czytać, ale nie mogę się skupić”.

I dygnęła. Dygnęła!

Dlaczego? Nigdy nie dygała przed Marcusem. Kiwała głową, może nawet lekko ugiwała kolana, ale, na litość boską, zataczałby się ze śmiechu, gdyby przed nim dygnęła. Prawdopodobnie już się z niej śmieje. Ale tego nigdy się nie dowie, bo zanim zdążył się odezwać, ona zdążyła uciec.

W każdym razie, kiedy później w salonie spotkała matkę i panią Wetherby, mogła jak najbardziej uczciwie powiedzieć, że była u Marcusa i uważa, że on czuje się znacznie lepiej.

– Nawet czyta – poinformowała najspokojniej w świecie. – To na pewno dobry znak.

– Co czytał? – uprzejmie zapytała matka i wyciągnęła rękę, żeby nalać jej herbaty.

– Hm. – Honoria zamrugła z roztargnieniem, bo z książki pamiętała tylko ciemnoczerwoną skórzaną oprawę.

– Nawet nie zauważyłam.

– Pewnie trzeba mu przynieść jeszcze coś do czytania, żeby miał wybór – powiedziała lady Winstead i podała Honorii herbatę. – Gorąca – ostrzegła ją, a potem mówiła dalej: – Leżenie w łóżku to niesamowita nuda. Wiem z doświadczenia. Kiedy byłam z tobą w ciąży, musiałam leżeć cztery miesiące, a z Charlotte trzy.

– Nie wiedziałam.

Lady Winstead lekceważąco machnęła ręką.

– Nic się na to nie dało poradzić. Nie miałam wyjścia. Ale jedno jest pewne: bez książek bym zwariowała. Można albo haftować, albo czytać. Nie wydaje mi się, żeby Marcus chciał sięgnąć po igłę.

– No nie – zgodziła się Honoria, uśmiechając się w duchu.

Matka znów łyknęła herbaty.

– Powinnaś przeszukać tutejszą bibliotekę i coś dla niego znaleźć. A kiedy wyjedziemy, mogę mu zostawić moją powieść. – Odstawiła filiżankę. – Sarah Gorely. Prawie ją skończyłam. Jak na razie jest świetna.

– *Pannę Butterworth i czerwonego barona?* – z powątpiewaniem zapytała Honoria. Też ją czytała. Uważała ją za bardzo zabawną, ale była też melodramatyczna na pograniczu farsy i Honoria nie potrafiła sobie wyobrazić, że coś takiego mogłoby przypaść do gustu Marcusowi. O ile pamiętała, bohaterowie co rusz wisieli uczepleni skał. I drzew. I parapetów okien. – Nie sądzisz, że wolałby coś poważniejszego?

– Pewnie tak mu się wydaje. Ale i tak jest już za poważny. Ten chłopiec potrzebuje w życiu trochę beztroski.

– Przecież nie jest już chłopcem.

– Dla mnie Marcus zawsze będzie chłopcem. – Lady Winstead zwróciła się do pani Wetherby, która milczała podczas tej rozmowy. – Zgadza się pani?

– Oczywiście – przytaknęła pani Wetherby. – Ale ja, rzecz jasna, znam go od czasu, kiedy nosił pieluszki.

Honorio była pewna, że Marcusowi nie spodobałaby się ta wymiana zdań.

– Może wybierz dla niego kilka książek, Honorio – zaproponowała matka. – Nie wątpię, że lepiej niż ja wiesz, co lubi.

– Chyba nie za bardzo – wyznała Honorio i nie wiadomo dlaczego trochę się tym zmartwiła.

– W Fensmore mamy bogatą bibliotekę – z dumą oznajmiła pani Wetherby.

– Na pewno coś znajdę – powiedziała Honorio z przyklepionym do twarzy promiennym uśmiechem.

– Musisz, chyba że chcesz uczyć go haftu – oświadczyła matka.

Honorio obrzuciła ją spanikowanym spojrzeniem. Dopiero po chwili dostrzegła w jej oczach iskierki rozbawienia.

– Wyobrażacie to sobie? – z chichotem dodała lady Winstead. – Wiem, że mężczyźni są znakomitymi krawcami, ale jestem przekonana, że na zapleczu pracowni ukrywają całe tłumy kobiet.

– Mają za duże palce – zgodziła się pani Wetherby. – Nie potrafią dobrze trzymać igły.

– Pewnie Marcus nie radziłby sobie gorzej niż Margaret. – Lady Winstead odwróciła się do pani Wetherby i wyjaśniła: – Moja najstarsza córka. Nigdy nie widziałam kogoś, kto tak nie radziłby sobie z igłą.

Honorio, zaciekawiona, popatrzyła na matkę. Nie zdawała sobie sprawy, że Margaret ma dwie lewe ręce do szycia. Ale przecież Margaret jest od niej o siedemnaście lat starsza. Wyszła za męża i przestała mieszkać ze Smythe-Smithami wcześniej, niż Honorio sięga pamięcią.

– Dobrze, że jest tak utalentowaną skrzypaczką – ciągnęła lady Winstead.

Słyszając to, Honoria gwałtownie podniosła głowę. Słyszała, jak Margaret gra na skrzypcach. Słowo „talent” nie było w jej wypadku najlepszym określeniem.

– Wszystkie moje córki grają na skrzypcach – z dumą dodała lady Winstead.

– Pani też, lady Honorio? – zapytała pani Wetherby.

Honoria skinęła głową.

– Ja też.

– Szkoda, że nie przywiozła pani instrumentu. Z przyjemnością bym posłuchała.

– Nie jestem tak zdolna, jak moja siostra Margaret – powiedziała Honoria, niestety nie mijając się z prawdą.

– Głupstwa pleciesz. – Matka z rozbawieniem klepnęła ją po ramieniu. – Moim zdaniem w zeszłym roku byłaś wspaniała. Musisz tylko trochę więcej ćwiczyć. – I znów zwróciła się do pani Wetherby. – Co roku Smythe-Smithowie dają koncert. Należy do najatrakcyjniejszych zaproszeń w Londynie.

– To zaszczyt być zaproszonym przez tak muzykalną rodzinę.

– Aha. Tak – wybąkała Honoria, wątpiąc, by udało jej się wykrztusić coś więcej.

– Mam nadzieję, że kuzynki ćwiczą pod twoją nieobecność. – Matkę chyba to niepokoiło.

– Nie wiem, jak to możliwe. Gramy w kwartecie. Nie da się ćwiczyć bez jednych ze skrzypiec – zauważyła Honoria.

– Niby tak. Ale Daisy jest bardzo słaba.

– Daisy? – zapytała pani Wetherby.

– Moja siostrzenica – wyjaśniła lady Winstead. – Jest bardzo młoda i – głos ściszyła do szeptu, choć Honoria absolutnie nie pojmowała dlaczego – nie bardzo ma talent.

– Ojej – pani Wetherby westchnęła i położyła dłoń na piersi. – Co to będzie? Koncert się nie uda.

– Daisy na pewno za nami nadaży. – Honoria lekko się uśmiechnęła.

To prawda: Daisy grała okropnie. Ale trudno sobie wyobrazić, aby przez nią kwartet zaprezentował się jeszcze gorzej. Za to wniesie nieco entuzjazmu do grupy. Sarah cały czas twierdziła, że prędzej da sobie powyrywać zęby, niż jeszcze raz zagra w kwartecie.

– Czy lord Chatteris był na takim koncercie? – zapytała pani Wetherby.

– Tak, przychodzi co roku – odparła lady Winstead. – I siada w pierwszym rzędzie.

Jest święty, pomyślała Honoria. Przynajmniej w jeden wieczór rocznie.

– Uwielbia muzykę – powiedziała pani Wetherby. Święty. A nawet męczennik.

– W tym roku chyba nie uda mu się przyjechać. – Lady Winstead smutno westchnęła. – A może zorganizujemy przyjazd dziewcząt do Fensmore na specjalny koncert?

– Nie! – Honoria krzyknęła tak głośno, że obie panie odwróciły się w jej stronę. – To znaczy, na pewno by tego nie chciał. Nie lubi, kiedy ludzie robią sobie z jego powodu kłopot. – Po wyrazie twarzy matki widziała, że takie tłumaczenie nie wystarczyło, więc dorzuciła: – A Iris nie znosi podróży.

Wierutne kłamstwo, lecz nic lepszego nie potrafiła na poczekaniu wymyślić.

– No cóż – zgodziła się matka. – Zawsze jeszcze jest przecież następny rok. – Potem z błyskiem przerażenia w oczach dodała: – Chociaż ty na pewno nie będziesz już grała. – Gdy stało się jasne, że musi to wytłumaczyć, zwróciła się do pani Wetherby: – Każda z córek Smythe–Smithów musi opuścić kwartet, kiedy wyjdzie za mąż. To nasza tradycja.

– Czy pani jest zaręczona, lady Honorio? – spytała pani Wetherby, tak zdezorientowana, że aż zmarszczyła czoło.

– Nie – odparła Honoria. – I ja...

– Chce powiedzieć – przerwała jej matka – że zaręczyn spodziewamy się przed końcem sezonu.

Honoria wytrzeszczyła oczy. Podczas jej pierwszych dwóch sezonów matka nie miała tak wyraźnie sprecyzowanych planów.

– Niestety, czy nie jest za późno na madame Brovard? – zastanawiała się matka.

Madame Brovard? Najbardziej ekskluzywną modystkę w Londynie? Honoria oniemiała. Ledwie kilka dni temu mama kazała jej iść na zakupy z kuzynką Marigold i „znaleźć coś różowego”. A teraz chce, żeby poszła do pani Brovard?

– Nigdy nie uszyje dwóch rzeczy z materiału, który bardzo rzuca się w oczy – tłumaczyła. – Dlatego uważa się ją za najlepszą.

Pani Wetherby z aprobatą kiwnęła głową. Najwidoczniej rozmowa sprawiała jej przyjemność.

– Ale jej minusem jest to, że jeśli pójdzie się do niej zbyt późno w sezonie, nie znajdzie się już ładniejszego materiału. – Lady Winstead z rozpaczą podniosła do góry ręce.

– Oj, to straszne – stwierdziła pani Wetherby.

– No właśnie, właśnie. A w tym roku koniecznie chcę znaleźć dla Honorii odpowiednie kolory. Żeby podkreślały jej oczy... wie pani.

– Ma piękne oczy – zgodziła się pani Wetherby. Odwróciła się do dziewczyny. – Naprawdę.

– Mhm, dziękuję – odruchowo odparła Honoria. Czuła się dziwnie, kiedy matka zachowywała się, jak, no cóż, szczerze mówiąc, zupełnie jak pani Royle. Była zażenowana.

– Pójdę do biblioteki – oznajmiła.

Dwie starsze panie pochłonięte już były ożywioną dyskusją na temat różnicy między kolorem lawendowym a jasnofioletowym.

– Miłego spędzenia czasu, kochanie – rzuciła matka, nawet na nią nie spojrzawszy. – Mówię pani, pani Wetherby, gdyby miała pani jaśniejszy odcień jasnofioletowego...

Honoria pokręciła tylko głową. Potrzebna jej książka. I może znowu drzemka. I kawałek ciasta. Niekoniecznie w tej kolejności.

Doktor Winters przyjechał po południu i stwierdził, że Marcus jest zdecydowanie zdrowszy. Gorączka całkiem ustąpiła, noga goiła się znakomicie i nawet zwichnięta kostka, o której wszyscy zapomnieli, nie była już opuchnięta.

Skoro życiu Marcusa nic już nie zagrażało, lady Winstead oznajmiła, że natychmiast spakują z Honorią swoje rzeczy i wyjadą do Londynu.

– Sam przyjazd tutaj był bardzo niestosowny – powiedziała Marcusowi na osobności. – Wątpię, żeby ktoś plotkował, zważywszy na naszą wieloletnią zażyłość i poważne zagrożenie zdrowia, ale oboje wiemy, że londyńska socjeta nie będzie już tak pobłażliwa, jeśli zostaniemy tu dłużej.

– Oczywiście – mruknął Marcus.

Tak naprawdę było najlepiej. Niemiłosiernie się nudził i będzie mu ich brakowało, lecz wkrótce na dobre zacznie się sezon i Honoria musi wracać do Londynu. Jest niezamężną córką hrabiego, a więc musi szukać odpowiedniego męża; o tej porze roku nie było dla niej innego miejsca.

On też będzie musiał pojechać, aby dotrzymać danego Danielowi słowa, że dopilnuje, by nie wyszła za idiotę, na razie jednak z polecenia lekarza utknął w łóżku – i to potrwa jeszcze co najmniej tydzień. Potem tydzień lub dwa nie ruszy się z domu, aż doktor Winters upewni się, że jego organizm całkiem zwalczył infekcję. Lady Winstead zmusiła go, by obiecał, że będzie słuchał lekarza.

– Nie po to uratowałyśmy ci życie, żebyś to zmarnował – oświadczyła.

Minie co najmniej miesiąc, zanim będzie mógł jechać za nimi do Londynu. Z niezrozumiałych powodów bardzo go to smuciło.

– Honoria jest tu gdzieś blisko? – zapytał, chociaż dobrze wiedział, że nie wypada pytać matkę o jej niezamężną córkę, nawet w przypadku tych dwóch pań. Ale, straszliwie znudzony, tęsknił do towarzystwa Honorii.

A to bynajmniej nie było to samo, co tęsknić za nią.

– Przed chwilą piłyśmy razem herbatę – odparła lady Winstead. – Wspomniała, że rano się widzieliście. Ma chyba zamiar poszukać dla ciebie książek w twojej bibliotece. Pewnie wieczorem je przyniesie.

– Będę jej bardzo wdzięczny. Już prawie skończyłem... – Spojrzał na nocny stolik. Co takiego też czyta? – *Badania filozoficzne podstaw ludzkiej wolności.*

Uniosła brwi.

– Podoba ci się?

– Nie, nie za bardzo.



– No więc powiem Honorii, żeby się pospieszyła – uśmiechnęła się rozbawiona.

– Bardzo się cieszę, że przyjdzie. – Również zaczął się uśmiechać, ale kiedy się na tym przyłapał, zrobił poważną minę.

– Jestem pewna, że ona też – stwierdziła lady Winstead.

Marcus nie był tego taki pewny. Ale jeśli Honoria nie wspomni o pocałunku, on także będzie milczał. To był naprawdę drobiazg. A jeśli nie, to powinien być. Łatwo o nim zapomnieć. Raz, dwa wrócą do starej przyjaźni.

– Wydaje mi się, że wciąż jest jeszcze zmęczona, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. Spała przecież dwadzieścia cztery godziny. Wiedziałaś o tym?

Nie, nie wiedział.

– Nie odchodziła od ciebie, zanim nie spadła gorączka. Proponowałam, że ją zastąpię, ale się nie zgodziła.

– Jestem jej bardzo zobowiązany. A z tego, co wiem, pani także.

Przez chwilę lady Winstead milczała, po czym otworzyła usta, jakby nie mogła się zdecydować, czy coś powiedzieć. Marcus czekał. Wiedział, że cisza często jest najlepszą zachętą. Parę minut później lady Winstead odchrząknęła.

– Nie przyjechałybyśmy tutaj, gdyby nie upór Honorii – odezwała się.

Co na to odpowiedzieć?

– Mówiłam jej, że nie powinnyśmy przyjeżdżać, że to niestosowne, bo nie jesteśmy rodziną.

– Nie mam rodziny – szepnął.

– Tak, właśnie to powiedziała Honoria.

Słyszając to, poczuł w sercu dziwny ból. Oczywiście Honoria wiedziała, że nie ma rodziny; wszyscy to wiedzieli. Ale nie wiadomo dlaczego, kiedy

usłyszał, że to powiedziała, a nawet kiedy usłyszał, jak ktoś mu mówi, że tak powiedziała...

Zabolało go. Tylko trochę. I nie wiedział dlaczego.

Honorina rozumiała więcej. Rozumiała, że nie tylko jest sam, ale i samotny. Rozumiała sytuację, nie, ona rozumiała jego – chyba lepiej niż on siebie.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo samotne wiedzie życie, póki ona na powrót do niego nie weszła.

– Strasznie się upierała. – Lady Winstead przerwała jego rozmyślenia. A potem tak cicho, że ją ledwie słyszał, dodała: –Pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Kilka godzin później Marcus siedział w łóżku i nawet nie udawał, że czyta *Badania filozoficzne podstaw ludzkiej wolności*, kiedy Honoria znowu przyszła do niego z wizytą. W rękach trzymała z pół tuzina książek. Była w towarzystwie pokojówki, która wniosła tacę z kolacją.

Nie zdziwił się, że poczekała, aż jeszcze ktoś wejdzie do jego pokoju.

– Przyniosłam ci kilka książek – powiedziała ze zdecydowanym uśmiechem. Poczekała, aż pokojówka postawi tacę na łóżku, a potem stertę książek położyła na nocnym stoliku. – Mama mówi, że potrzebne ci jakieś zajęcie. – Znowu się uśmiechnęła, ale minę miała stanowczo zbyt rezolutną, aby mogła być spontaniczna. Lekko skinęła głową, odwróciła się i za pokojówką podążyła do drzwi.

– Zaczekaj! – zawołał.

Nie może pozwolić, żeby sobie poszła. Jeszcze nie. Zatrzymała się i spojrzała na niego pytająco.

– Posiedzisz ze mną? – poprosił i przechylił głowę w stronę krzesła. Zawahała się, więc dodał: – Od dwóch dni leżę tu prawie wyłącznie we własnym towarzystwie. – Wciąż wyglądała na niezdecydowaną, więc krzywo się uśmiechnął i powiedział: – Obawiam się, że jestem dość nudny.

– Tylko dość? – odparła, zanim sobie przypomniała, że usiłuje nie dać się wciągnąć w rozmowę.

– Jestem zdesperowany, Honorio.

Westchnęła, ale zrobiła to ze smutnym uśmiechem i odeszła od drzwi. Zostawiła je otwarte; teraz, kiedy jego życiu nic już nie groziło, musiała stosować się do reguł.

– Nie znoszę tego słowa – powiedziała.

– „Zdesperowany”... Uważasz, że się go nadużywa?

– Nie – znów westchnęła i usiadła na krześle obok jego łóżka. – Zbyt często jest prawdziwe. To straszne uczucie.

Kiwnął głową, choć prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiał, na czym polega desperacja. Samotność tak, ale nie desperacja.

Cicho przy nim usiadła z rękami splecionymi na kolanach. Nastąpiła długa cisza, może nie krepująca, lecz jednak niezręczna.

– Rosół jest z wołowiny – nagle przerwała ją Honoria.

Spojrzał na małą porcelanową wazę na tacy, wciąż jeszcze przykrytą.

– Kucharka powiedziała, że to *boef consomme* – mówiła trochę szybciej niż zwykle – ale tak naprawdę to zwykły rosół. Pani Wetherby uparcie twierdzi, że ma niezwykle walory lecznicze.

– Chyba oprócz rosółu nic więcej nie dostałem.

– Suchy tost. Tak mi przykro – odparła ze współczuciem.

Poczuł, że lekko zwiesiła mu się głowa. Czegóż nie dałby za kawałek tortu czekoladowego od Findla. Albo tarty jabłecznej z kremem. Albo kruchego herbatnika, bułki Chelsea czy czegokolwiek bardzo słodkiego.

– Ładnie pachnie – stwierdziła Honoria. – Ten rosół.

Rzeczywiście ładnie pachniał, ale nie tak ładnie, jak ciastko z czekoladą.

Westchnął i zjadł łyżkę zupy, ale najpierw podmuchał.

– Dobry – pochwalił.

– Naprawdę? – wątpiła.

Przytaknął i zjadł jeszcze trochę. Albo raczej wypił. Czy zupę się je, czy pije? A co ważniejsze, czy mógłby dostać odrobinę sera, żeby go w niej rozpuścić?

– A co ty jadłaś na kolację? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Lepiej nie pytaj.

Zjadł, czy też wypił, następną łyżkę.

– Pewnie masz rację. – Ale nie mógł się powstrzymać. – Była szynka?

Milczała.

– Była! – rzucił oskarżycielskim tonem.

Popatrzył na resztki rosółu. Suchy tost można pewnie w nim rozmoczyć. Ale nie zostało dość zupy, żeby rozmoczyć cały. Był naprawdę suchy.

Jak trociny. Jak wędrownica po pustyni. Zaraz, zaraz. Po pustyni wędrował już chyba niedawno? Kolejny kęs strasznie niesmacznego tosta. Nigdy w życiu nie widział pustyni i raczej nigdy nie zobaczy, ale ze wszystkich miejsc na kuli ziemskiej właśnie pustynia była dla niego ostatnio źródłem poetyckich porównań.

– Dlaczego się uśmiechasz? – zapytała zaciekawiona Honoria.

– Rzeczywiście się uśmiecham? Jeśli tak, to bardzo smutno. – Popatrzył na chleb. – Naprawdę jadłaś szynkę? – A potem, choć dobrze wiedział, że nie powinien pytać: – Był deser? – Zerknął na nią. Zobaczył, że czuje się winna. – Ciastko z czekoladą? – szepnął.

Pokręciła głową.

– Z jagodami? O, Boże, czy kucharka zrobiła tartę z melasą?

Nikt nie robił lepszej tarty z melasą niż kucharka z Fensmore.

– Była pyszna – przyznała i z zachwytem westchnęła w sposób zarezerwowany dla absolutnie najlepszych deserów. – Z gęstą śmietaną i truskawkami.

– Coś zostało? – zapytał smętnie.

– Pewnie tak. Podano ją w ogromnej... – Chwileczkę. Zmrużyła oczy i przeszła go podejrzliwym spojrzeniem. – Chyba mnie nie prosisz, żebym kawałek dla ciebie ukradła?

– A ukradłabyś? – Miał nadzieję, że minę ma równie żalosalną, jak głos. Bardzo chciał, żeby Honoria się nad nim zlitowała.

– Nie! – Ale mocno zacisnęła usta i widział, że powstrzymuje się od śmiechu. – Tarta z melasą nie jest odpowiednim pożywieniem dla chorych.

– Nie rozumiem dlaczego – odparł absolutnie szczerze.

– Bo ty musisz jeść rosół. I zimne nóżki z cielęciny. I pić tran z dorsza. Każdy to wie.

Omiał nie dostał mdłości.

– A czy któryś z tych delikatesów sprawił, że poczułaś się lepiej?

– Nie, ale nie o to chodzi.

– No to właściwie o co?

Otworzyła usta, żeby wyjaśnić, i nagle zastygła w komicznym bezruchu. Spojrzała do góry, a potem w lewo, jakby w myślach szukała dobrej odpowiedzi. W końcu, celowo powoli, oświadczyła:

– Nie wiem.

– Więc ukradniesz dla mnie kawałek? – Obdarzył ją swoim najpiękniejszym uśmiechem. Uśmiechem pod tytułem: Prawie umarłem, więc nie możesz mi odmówić. Przynajmniej miał nadzieję, że tak to wygląda. A w rzeczywistości był tak marnym flirciarzem, że mogło to wyglądać raczej jak: Nie wszystkie klepki mam całkiem po kolei, więc lepiej dla ciebie będzie udawać, że się ze mną zgadzasz.

Jakie wywarł wrażenie?

– Wyobrażasz sobie, jakich mogę sobie narobić kłopotów? – Honoria konspiracyjnie pochyliła się do przodu, jakby ktoś mógł ich szpiegować.

– Niespecjalnych. To mój dom.

– Co niewiele znaczy wobec zbiorowej wściekłości pani Wetherby, doktora Wintersa i mojej mamy.

Wzruszył ramionami.

– Marcus...

Słaby to protest, więc powiedział:

– Proszę.

Popatrzyła na niego. A on starał się wyglądać jak najżałośniej.

– Oj, no dobrze. – Prychnęła lekko i bez cienia wdzięku skapitulowała. –

Mam iść już teraz?

Błagalnie złożył dłonie.

– Byłbym ci ogromnie wdzięczny.

Nie poruszyła głową, lecz oczy skierowała najpierw w prawo, potem w lewo, a on się zastanawiał, czy to znaczy, że stara się wczuć w rolę złodziejzka. Wreszcie wstała i musnęła palcami bladezielony materiał sukienki.

– Wrócę – oświadczyła.

Pomaszerowała do drzwi, ale jeszcze odwróciła się na pięcie.

– Z tartą.

– Jesteś moją wybawicielką. Zmrużyła oczy.

– A ty masz u mnie dług wdzięczności.

– O wiele większy niż tylko z powodu tarty – stwierdził absolutnie poważnie.

Wyszła z pokoju, nie mówiąc już ani słowa; zostawiła Marcusa z pustą wazą i okruszkami chleba. I z książkami. Popatrzył na stolik, gdzie je położyła. Ostrożnie, żeby nie przewrócić szklanki z letnią wodą, którą przygotowała mu pani Wetherby, przesunął tacę na drugą stronę łóżka. Nachylił się, wziął pierwszą książkę z brzegu. *Uderzające i malownicze opowieści o wspaniałych, przepięknych, cudownych i ciekawych miejscach wokół Loch Earn.*

Dobry Boże, coś takiego znalazła w jego bibliotece?

Spojrzał na następną książkę. *Panna Butterworth i szalony baron*. Normalnie czegoś takiego by nie wybrał, ale w porównaniu do *Uderzających i malowniczych opowieści o wspaniałych, przepięknych... gdzieś w szkockiej dziczy, zanudzę cię na śmierć*, wyglądała na jak najbardziej trafioną.

Wygodnie rozparł się na poduszkach i przerzucił pierwsze strony, aż znalazł pierwszy rozdział i zaczął czytać: „Była ciemna i wietrzna noc”. Chyba już gdzieś to słyszał.

„Panna Priscilla Butterworth była pewna, że lada chwila zacznie padać; z nieba strugami lunie ściana deszczu...”

Zanim wróciła Honoria, panna Butterworth została porzucona na progu domu, przetrwała zarazę i uciekła przed goniącym ją dzikiem.

Panna Butterworth – rącza jak łania.

Kiedy Marcus, zaciekawiony, przeszedł do rozdziału trzeciego, w którym, jak się spodziewał, panna Butterworth natknie się na chmurę szarańczy, i pochłonięty był lekturą, w drzwiach pojawiła się zdyszana Honoria. W rękach trzymała ściereczkę.

– Więc nie udało ci się zdobyć tarty? – zapytał, spoglądając na nią znad *Panny Butterworth*.

– Oczywiście, że mi się udało – odparła przekornie. Położyła ściereczkę na stoliku i rozłożyła ją, pokazując nieco pokruszoną, ale mimo wszystko rozpoznawalną tartę z melasą. – Przyniosłam cały placek!

Marcus poczuł, że oczy wyskakują mu z orbit, a ciarki przechodzą po plecach. Naprawdę. Dosłownie trząśł się do ciasta. Panna Butterworth i jej szarańcza były niczym w porównaniu z takim smakołykiem.

– Dzielna dziewczyna.

– I w dodatku uratowałam ci życie – zażartowała.



– To też prawda – przyznał.

– Gonił mnie jakiś służący. – Przez ramię spojrziała na otwarte drzwi. – Chyba wziął mnie za złodzieja, chociaż gdybym przyszła ograbić Fensmore, raczej nie zaczynałabym od tarty z melasą.

– Tak? – spytał zachwycony, z pełnymi ustami. – Ja zacząłbym dokładnie od tego.

Ułamała kawałek i włożyła sobie do buzi.

– Ale pyszna – westchnęła. – Nawet bez truskawek ze śmietaną.

– Nie przychodzi mi do głowy nic pyszniejszego – zawtórował jej rozanielony. – No, chyba że tort czekoladowy.

Przycupnęła na brzegu łóżka i znów uszczknęła maleńki kawałek.

– Przepraszam... – Przełknęła, a potem dokończyła: – Nie wiedziałam, gdzie są widelczyki.

– Nieważne. – Machnął ręką.

I tak wspaniale jest zjeść coś prawdziwego, coś, co ma smak. Co trzeba pogryźć. Nigdy się nie dowie, dlaczego ludzie uważają, że picie płynów jest kluczem do pomyślnej rekonwalescencji po gorączce. Zaczął sobie wyobrażać wiejską zapiekankę ziemniaczaną z warzywami i mięsem. Deser jest cudowny, ale zjadłby coś konkretnego. Mielone z wołowiny. Pokrojone upieczone na chrupko ziemniaki. Niemal poczuł ich smak.

Spojrzał na Honorię. Tego chyba nie uda jej się wynieść z kuchni w ściereczce.

Dziewczyna sięgnęła po następny kawałek tarty.

– Co czytasz? – zapytała.

– *Pannę Butterworth i hm...* – popatrzył na książkę, która leżała na łóżku grzbietem do góry – no tak, *szalonego barona*.

– Naprawdę? – wyglądała, jakby oniemiała ze zdziwienia.

– Jakoś nie mogłem się zmusić, żeby otworzyć *Uderzające i malownicze opowieści o jakimś nieznanym i niezaludnionym miejscu w Szkocji*.

– Co?

– To. – Podał jej książkę.

Popatrzyła, a on zauważył, że musi książkę dość daleko odsunąć, żeby objąć wzrokiem cały tytuł.

– Wydawało mi się, że to piękny opis. – Lekko wzruszyła ramionami. – Myślałam, że ci się spodoba.

– Tylko gdybym się martwił, że gorączka padła mi na umysł – prychnął.

– Moim zdaniem wygląda na ciekawą.

– Więc powinnaś ją przeczytać. Weź ją. To nie dla mnie lektura.

Ze złości zacisnęła usta.

– A patrzyłeś, co ci jeszcze przyniosłam?

– Właściwie nie. – Podniósł do góry *Pannę Butterworth*. – To mnie zaintrygowało.

– Nie mogę uwierzyć, że ci się podoba.

– Więc ją czytałaś?

– Tak, ale...

– Skończyłaś ją?

– Tak, ale...

– Podobała ci się?

Nie miała gotowej odpowiedzi, więc skorzystał z jej zmieszania i przysunął do siebie ściereczkę. Jeszcze kilka centymetrów i tarta z melasą znajdzie się poza jej zasięgiem.

– Podobała mi się – odparła w końcu – choć w niektóre rzeczy trudno mi było uwierzyć.

Przekartkował książkę i przyjrzał się Honorii.

– Naprawdę?

– Jeszcze mało przeczytałeś. – Honoria przyciągnęła ściereczkę z powrotem w swoją stronę. – Jej matkę na śmierć zadziobują gołębie.

Marcus popatrzył na książkę jakby z szacunkiem.

– Tak?

– To makabryczne.

– Nie mogę się doczekać.

– Proszę cię, niemożliwe, żebyś chciał coś takiego czytać.

– Czemu?

– To takie... – machnęła ręką, jakby szukała odpowiedniego słowa – niepoważne.

– A nie mogę czytać czegoś niepoważnego?

– Oczywiście, że możesz. Tylko trudno mi uwierzyć, że mógłbyś chcieć.

– A dlaczego?

Uniosła brwi.

– Brzmisz tak, jakbyś się bronił.

– To interesujące. Dlaczego miałbym nie chcieć czytać czegoś niepoważnego?

– Nie wiem. Bo ty to ty.

– Dlaczego odbieram to jak zniewagę? – powiedział to wyłącznie z czystej ciekawości.

– Ale nią nie jest. – Ułamała jeszcze kawałek ciasta i go skubała. Wtedy stało się coś dziwnego. Jego wzrok padł na jej usta, a kiedy się im przyglądał, wysunęła język, żeby zlizać zbląkaną okruszynkę.

Był to ulotny ruch, nie trwał nawet sekundy. Ale jego przeszył prąd; westchnął i stwierdził, że to pożądanie. Gorące, zapierające dech pożądanie.

Pożądał Honorii.

– Nic ci nie jest? – zapytała.

Nie.

– Tak, hm... A dlaczego?

– Pomyślałam, że może zrobiłam ci przykrość. Jeśli tak, to przepraszam. Naprawdę, nie chciałam cię urazić. Jesteś bardzo w porządku taki, jaki jesteś.

– W porządku? Takie nijakie określenie.

– Lepsze niż „nie w porządku”.

W takiej sytuacji inny mężczyzna pewnie by ją objął i pokazał, jak „nie w porządku” potrafi być, ale Marcus był tylko na tyle „nie w porządku”, że drobiazgowo to sobie wyobraził. Zresztą nadal był osłabiony po zagrażającej życiu chorobie, no i te otwarte drzwi i jej matka, zapewne gdzieś w holu. Powiedział więc:

– Co jeszcze przyniosłaś?

Był to dużo bezpieczniejszy temat rozmowy, zwłaszcza że przez większość dnia przekonywał siebie, że pocałunek nie miał nic wspólnego z pożądaniem. Ot przypadkowa chwila szaleństwa spowodowanego dojmującymi przeżyciami.

Niestety ten argument właśnie w pył się rozpadał. Honoria usiadła tak, żeby bez wstawania móc dosięgnąć do książek. To znaczy przysunęła pupę bliżej, no cóż, jego tylnej części ciała, a dokładnie mówiąc, bliżej jego biodra. Dzieliło ich prześcieradło i koc, nie wspominając o jego piżamie i jej sukience, i wszystkim tym, co jeszcze miała na sobie, ale... Boże, nigdy w życiu nie był tak wyczulony na czyjąś bliskość.

Jak mogło do tego dojść?

– *Ivanhoe* – powiedziała. O czym ona mówi?

– Marcus? Słuchasz? Przyniosłam ci *Ivanhoe*. Sir Waltera Scotta. A to, patrz, czy to nie jest ciekawe?

Zamrugnął, pewny, że coś mu musiało umknąć. Honoria otworzyła tom i przerzucała strony.

– Na książce nie ma jego nazwiska. Nigdzie go nie widzę. – Obejrzała książkę ze wszystkich stron i podniosła do góry. – Jest tylko informacja: „Napisał autor *Waverley*”. Spójrz, nawet na grzbiecie.

Kiwnął głową, bo sądził, że tego się po nim spodziewa. Jednocześnie nie mógł oderwać oczu od jej ust, które ułożyła w coś w rodzaju pączka róży, jak zwykle, kiedy nad czymś się zastanawiała.

– Nie czytałam *Waverley*. Ty też nie, prawda? – Podniosła wzrok, a oczy jej błyszczały.

– Prawda.

– Może powinnam – mruknęła. – Moja siostra czytała i podobało się jej. Tak czy inaczej, nie przyniosłam ci *Waverley*, tylko *Ivanhoe*. A raczej pierwszy tom. No bo po co dźwigać wszystkie trzy tomy.

– Czytałem *Ivanhoe*.

– Och, w takim razie to odłożymy. – Spojrzała na następną książkę, a on na nią.

Jej rzęsy. Jak to możliwe, że nigdy nie zauważył, jakie są długie? Dziwne, pewnie dlatego, że nie miały takiego koloru, jak zazwyczaj długie rzęsy. Były długie, ale nie ciemne.

– Marcus? Marcus!

– Hm?

– Nic ci nie jest? – Pochyliła się do przodu i popatrzyła na niego z troską. – Poczzerwieniałeś.

Odchrząknął.

– Może napiję się jeszcze wody z cytryną. – Pociągnął łyk, a potem jeszcze jeden. – Nie uważasz, że tu gorąco?

– Nie. – Zmarszczyła brwi. – Nie.

– To na pewno nic takiego. Ja... Już miała rękę na jego czole.

– Nie jest ciepłe.

– Co jeszcze przyniosłaś? – spytał szybko, głową wskazując na książki.

– O, proszę bardzo. – Wzięła następną i przeczytała: – *Historia krucjat od odzyskania i zajęcia Ziemi Świętej. Ojej!*

– Co takiego?

– Przyniosłam tylko drugi tom. Nie możesz od tego zacząć. Ominąłbyś całe oblężenie Jerozolimy i wszystko, co dotyczy Norwegów.

Trzeba przyznać, pomyślał Marcus, że nic tak nie studzi męskiej żądy jak krucjaty. Ale i tak... Popatrzył na nią pytająco.

– Norwegów?

– Prowadzili mało znaną krucjatę na początku wypraw – wyjaśniła i machnęła ręką. – Mało kto o tym mówi. – Popatrzyła na niego i stwierdziła, że przygląda jej się kompletnie zaskoczony.

– Lubię krucjaty. – Wzruszyła ramionami.

– To... świetnie.

– A co powiesz na *Życie i śmierć kardynała Wolsleya?* – zapytała, podnosząc następną książkę. – Nie? Mam też *Historię początku, przebiegu i zakończenia rewolucji amerykańskiej.*

– Naprawdę uważasz mnie za nudziarza – mruknął. Spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Krucjaty nie są nudne.

– Ale przyniosłaś tylko drugi tom – przypomniał.

– Mogę wrócić do biblioteki i poszukać pierwszego.

Postanowił zrozumieć to jako groźbę.

– O, proszę. Popatrz. – Z triumfalną miną podniosła cieniutką książkę, która zmieściłaby się w kieszeni. – Byron. Najmniej nudny człowiek na ziemi. Przynajmniej tak słyszałam. Sama nigdy go nie poznałam. – Otworzyła książkę na stronie tytułowej. – Czytałeś *Korsarza*?

– Tego samego dnia, kiedy go wydano.

– Och. – Zmarszczyła brwi. – Jeszcze jeden Sir Walter Scott. *Peperil z Peak*. Dosyć długie. Powinno zająć ci trochę czasu.

– Chyba wolę *Pannę Butterworth*.

– Jak chcesz. – Spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć: Na pewno ci się nie spodoba. – To książka mojej mamy. Ale powiedziała, że możesz ją sobie wziąć.

– W najgorszym wypadku polubię pasztet z gołębi. Roześmiała się.

– Poproszę kucharkę, żeby ci go zrobiła po naszym jutrzejszym wyjeździe. – Nagle popatrzyła na niego. – Wiesz, że jutro wyjeżdżamy do Londynu?

– Tak, twoja mama mi powiedziała.

– Nie jechałybyśmy, gdybyśmy nie były pewne, że zdrowiejesz.

– Wiem. Na pewno masz tam dużo obowiązków.

Skrzywiła się.

– Głównie próby.

– Próby?

– Przed... O nie!

– .. .naszym koncertem.

Koncert u Smythe–Smithów. Dokończył dzieła rozpoczętego przez kruczaty. Na całym świecie nie było mężczyzny myślącego romantycznie w obliczu wspomnień – lub groźby – koncertu Smythe–Smithówien.

– Nadal grasz na skrzypcach? – zapytał uprzejmie.

Dziwnie na niego spojrzała.

– Od zeszłego roku nie przerzuciłam się przecież na wiolonczele.

– Oczywiście, że nie. – Głupie pytanie. Ale chyba tylko o to mógł uprzejmie zapytać.

– Wiesz już, kiedy w tym roku odbędzie się wasz koncert?

– Czternastego kwietnia. Niedługo. Zostały trochę ponad dwa tygodnie.

Marcus wziął jeszcze kawałek tarty, a gryząc ją, starał się obliczyć, ile może potrwać jego rekonwalescencja. Wyszło mu dokładnie trzy tygodnie.

– Szkoda, ale mnie nie będzie.

– Tak? – Jej głos z całą pewnością zdradzał powątpiewanie. Marcus nie wiedział, jak to rozumieć.

– Oczywiście – lekko się zająknął. Nigdy dobrze nie kłamał. – Od lat nie opuściłem przecież waszego koncertu.

– Wiem – powiedziała, kręcąc głową. – Bardzo się starałeś.

Popatrzył na nią.

A ona na niego. Przyjrzał jej się uważniej.

– Co masz na myśli? – zapytał ostrożnie.

Policzki delikatnie jej się zaróżowiły.

– No cóż. – Wbiła wzrok w pustą ścianę. – Wiem, że nie jesteśmy najlepszymi... no.... – odchrząknęła. – Co jest antonimem słowa „fałszywy”?

Wlepił w nią powątpiewające spojrzenie.

– Chcesz powiedzieć, że wiesz... hm, to znaczy...

– Że gramy okropnie? – dokończyła za niego. – Oczywiście, że wiem. Myślałeś, że jestem głupia? Albo głucha?

– Nieee – powiedział, rozciągając sylabę, aby dać sobie czas na zastanowienie. Tyle że co przez to zyskuje? – Myślałem tylko...

Przerwał.



– Gramy strasznie. – Honoria wzruszyła ramionami. – Nie ma sensu udawać albo się burmuszyć. Nic na to nie poradzimy.

– A gdybyście poćwiczyły? – zasugerował bardzo delikatnie. Nie sądził, że jednocześnie można wyrażać i pogardę, i rozbawienie, ale sądząc po minie Honorii, jej się to udało.

– Gdybym uważała, że ćwiczenie może nam pomóc – wydeła górną wargę, a oczy jej się śmiały – uwierz mi, byłabym najpilniejszą skrzypaczką na świecie.

– A gdybyś...

– Nie – powiedziała stanowczo. – Gramy strasznie. Koniec, kropka. Za grosz nie mamy talentu, bo nam słoń nadepnał na ucho.

Czy on dobrze słyszy? Był na tyłu koncertach Smythe–Smithówien i aż dziw, że nadal lubił muzykę. Ale w zeszłym roku, podczas swego debiutu na skrzypcach, Honoria wprost promieniała radością. Grała swoją część z tak szerokim uśmiechem, że można było przysiąc, że jest zachwycona.

– Prawda jest taka – ciągnęła – że koncerty uważam za miłe.

Marcus zastanawiał się, czy znalazłaby jeszcze kogoś, kto zgodziłby się z jej oceną, ale nie widział powodu, żeby to mówić na głos.

– Więc się uśmiecham. I udaję, że je lubię. I w pewnym sensie tak. Smythe–Smithowie organizują te koncerty od roku 1807. Stały się rodzinną tradycją. – Zamyśliła się i dodała: – Uważam, że to wielki dar losu mieć rodzinne tradycje.

Marcus pomyślał o ziejącej pustką dziurze po tym, co kiedyś było jego rodziną.

– Wielki dar – przytaknął cicho.

– I na przykład wkładam specjalne buty, które mi przynoszą szczęście.

– Co takiego?

– Na koncert – wyjaśniła Honoria, wzruszając ramionami. – To szczególnie zwyczaj, który kultywuje żeńska część rodziny. Henrietta i Margaret ciągle się spierają, kto go zapoczątkował, ale zawsze wkładamy czerwone buty.

Czerwone buty. Płomyk pożądania, który zdławiła rozmowa o krucjacie muzyczek amaterek, znów zapłonął. Nagle nic na świecie nie było równie uwodzicielskie, jak czerwone buty. Dobry Boże.

– Na pewno nic ci nie jest? Zaczerwieniłeś się.

– Wszystko dobrze – wychrypiał.

– Mama o niczym nie wie.

Co? Jeśli przedtem tylko trochę się zaróżowił, teraz był niemal purpurowy.

– Proszę?

– O czerwonych butach. Nie ma pojęcia, że je mamy na sobie.

Odchrząknął.

– Jest jakiś szczególny powód, że trzymacie to w tajemnicy?

Honoria zamyśliła się, a potem wyciągnęła rękę i odłamała następny kawałek tarty.

– Nie wiem. Chyba nie. – Włożyła ciasto do buzi i wzruszyła ramionami. – Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, nie wiem, dlaczego te buty są czerwone. Równie dobrze mogłyby być zielone. Albo niebieskie. Nie, raczej nie niebieskie, bo nic w nich niezwykłego. Ale zielone by się nadawały. Albo różowe.

Żadne nie byłyby równie dobre, jak czerwone. Na sto procent.

– Zaczniemy ćwiczyć, jak tylko wrócę do Londynu.

– Przykro mi.

– O nie. Lubię próby. Zwłaszcza teraz, kiedy moje rodzeństwo się wyprowadziło i w pustym domu tykają tylko zegary, a posiłki dostają na tacy. Cudownie jest się spotykać i mieć z kim porozmawiać. – Popatrzyła na niego zmieszana. – Rozmawiamy przynajmniej tak długo, jak ćwiczymy.

– Wcale mnie to nie dziwi – mruknął Marcus.

Spojrzała na niego w taki sposób, żeby dać mu do zrozumienia, że nie umknał jej jego przytyk. Ale nie obraziła się. Wiedział, że się nie obrazi.

I wtedy zdał sobie sprawę, jak mu miło, że to wie. Wspaniale jest znać kogoś tak dobrze.

– Więc – mówiła dalej, zdecydowana doprowadzić temat do końca – w tym roku Sarah znowu zagra na fortepianie. Jest moją najlepszą przyjaciółką. Świetnie się razem bawimy. A Iris dołączy do nas na wiolonczeli. Jest prawie dokładnie w moim wieku i zawsze chciałam móc z nią więcej pobyc. Ona też była u Royle'ów i ja... – przerwała.

– O co chodzi? – zapytał.

Wyglądała na niemal zmartwioną. Zamrugła.

– Ona chyba jest naprawdę dość dobra.

– W grze na wiolonczeli?

– Tak. Wyobrażasz to sobie? Postanowił uznać to pytanie za retoryczne.

– W każdym razie – ciągnęła – będą grały Iris i jej siostra Daisy; obawiam się, że ona gra okropnie.

– Hm... – Jak zapytać o to uprzejmie? Okropnie w porównaniu do większości ludzi czy w porównaniu do Smythe-Smithówien?

Honorcia sprawiała wrażenie, że stara się nie uśmiechać.

– Okropnie nawet jak na nas.

– To poważna sprawa – stwierdził z zadziwiająco niewzruszoną miną.

– Wiem. Biedna Sarah cały czas ma nadzieję, że w ciągu następnych trzech tygodni strzeli w nią piorun. Dopiero doszła do siebie po zeszłym roku.

– Czy to znaczy, że nie uśmiechała się z dzielną miną?

– Nie byłeś tam?

– Nie patrzyłem na Sarah.

Otworzyła usta, ale nie ze zdziwienia, na początku nie. Oczy miała nadal spokojne, wyrażały takie oczekiwanie, jakie człowiek czuje przed powiedzeniem czegoś nadzwyczaj dowcipnego.

Ale potem, zanim któreś z nich się odezwało, wydało jej się, że rozumie, co powiedział.

Dopiero wtedy on także to zrozumiał. Powoli przechyliła głowę i popatrzyła na niego, tak jakby... Tak jakby...

Nie wiedział. Nie wiedział, co to znaczy, lecz mógłby przysiąc, że kiedy tak siedziała i patrzyła na niego, pociemniały jej oczy. Były ciemniejsze i głębsze, i pomyślał, że zagładają mu prosto w serce.

Prosto w samą duszę.

– Patrzyłem na ciebie – wyznał tak cicho, że sam ledwo to usłyszał. – Patrzyłem tylko na ciebie.

A oto, co było potem.

Położyła dłoń na jego rękę. Małą, delikatną, bladoróżową. Idealną.

– Marcus? – szepnęła.

I wtedy już wiedział. Wiedział, że ją kocha.

Niesamowite, pomyślała Honoria, ale ziemia naprawdę przestała się kręcić.

Była tego pewna. Nie umiała inaczej wytłumaczyć podniecenia, zawrotów głowy, niezwykłości chwili, tej chwili, tutaj, w jego pokoju, z obiadową tacą, skradzioną tartą i zapierającą dech w piersiach tęsknotą za jednym cudownym pocałunkiem.

Poczuła, że leciutko przechyla głowę na bok, jakby dzięki zmianie kąta widzenia mogła zobaczyć go wyraźniej. Najdziwniejsze, że tak właśnie się stało. Poruszyła się, a on nabrał ostrości. Naprawdę bardzo dziwne, bo kilka chwil przedtem przysięgałaby, że wszystko widzi wyraźnie, jak przez kryształ.

Było tak, jakby nigdy przedtem nie widziała Marcusa. Popatrzyła mu w oczy i zobaczyła więcej niż kolor, więcej niż kształt. Rzecz nie w tym, że tęczówkę miał brązową, a źrenicę czarną. Najważniejsze, że tam był, a ona go zobaczyła inaczej, wejrzała wewnątrz i zrozumiała...

Kocham go.

W jej myślach odezwało się echo. Kocham go.

Nie istniało nic, co mogłoby ją bardziej zdziwić, a jednocześnie nic prostszego i prawdziwszego. Poczuła, jakby od lat coś w środku miała nie na swoim miejscu, a teraz, po czterech niewinnych słowach: „Nie patrzyłem na Sarah”, to coś znalazło się tam gdzie trzeba.

Kocha go. Zawsze go będzie kochać. To jasne. Kogo miałyby kochać, jak nie Marcusa Holroyda?

„Patrzyłem na ciebie, powiedział tak cicho, że nie była pewna, czy naprawdę to usłyszała. Patrzyłem tylko na ciebie”.

Spuściła wzrok. Dłoń miała w jego dłoni. Nie pamięta, kiedy ją tam położyła.

– Marcus? – szepnęła i sama nie wiedziała, dlaczego pytająco. Ale nie zmusiłaby się, żeby powiedzieć cokolwiek innego.

– Honorio – szepnął, a potem...

– O mój Boże! mój Boże!

Honorio poruszyła się tak gwałtownie, że prawie spadła z krzesła. Na korytarzu słyhać było hałas. Czyjeś kroki zmierzały w ich stronę. Poderwała się i stanęła za krzesłem.

Chwilę później do pokoju z impetem wpadły jej mama i pani Wetherby.

– Przyszedł list – wydusiła lady Winstead. – Od Daniela.

Honorio zachwiała się, a potem oparła o krzesło. Od ponad roku nie miała wiadomości od brata. Może Marcus tak, ale ona nie, a do mamy Daniel już dawno przestał pisać.

– Co pisze? – zapytała lady Winstead, chociaż Marcus dopiero łamał pieczęć.

– Niech mama pozwoli mu otworzyć list – upomniała ją Honorio.

Miała na końcu języka, że powinny wyjść z pokoju, żeby list przeczytał na osobności, ale nie potrafiła zmusić się, żeby to powiedzieć. Daniel był jej jedynym bratem i straszliwie za nim tęskniła. Mijał miesiąc za miesiącem, a ona nie dostała od niego nawet karteczki. Mówiła sobie, że on nie chce jej ignorować. List od niego na pewno gdzieś zaginął. Wszyscy wiedzą, jak niesolidna jest międzynarodowa poczta.

Ale teraz było jej wszystko jedno, dlaczego do niej od tak dawna nie pisał; chciała tylko wiedzieć, co jest w liście do Marcusa.

Tak więc wszystkie stały z zapartym tchem i oczyma wlepionymi w Marcusa. Takie zachowanie było bardziej niż niegrzeczne, ale żadna z nich nie chciała się ruszyć.

– Jest zdrowy? – odważyła się zapytać mama, kiedy Marcus skończył czytać pierwszą stronę.

– Tak – mruknął i zamrugał, jakby nie wierzył w to, co czyta. – Tak. I wraca do domu.

– Co?! – Lady Winstead zbladła.

Honorina przyskoczyła do niej, na wypadek gdyby trzeba było ją podtrzymać.

Marcus odchrząknął.

– Píše, że dostał list od Hugh Prentice'a. Ramsgate w końcu zgodził się puścić sprawę w niepamięć.

Honorina pomyślała, że to wielka zmiana. Kiedy ostatnio spotkała markiza Ramsgate'a, ten na jej widok omal nie dostał apopleksji. To prawda, że było to ponad rok temu, ale było.

– Czy lord Hugh zastawia jakąś pułapkę? – zapytała. – Żeby zwabić Daniela do kraju?

– Chyba nie – odparł Marcus, przebiegając wzrokiem drugą stronę listu. – To nie w jego stylu.

– Nie w jego stylu? – powtórzyła lady Winstead, z niedowierzania podnosząc głos. – Zrujnował mojemu synowi życie.

– Dlatego to takie dziwne – odparł Marcus i czytał dalej. – Hugh Prentice zawsze był porządnym człowiekiem. Ekscentrycznym, lecz raczej honorowym.

– Czy Daniel pisze, kiedy wróci? – zapytała Honorina.

Marcus pokręcił głową.

– Nie podaje konkretów. Mówi, że musi załatwić kilka spraw we Włoszech, a potem ruszy w podróż do domu.

– O mój Boże! – Lady Winstead opadła na krzesło. – Nie sądziłam, że dożyję tego dnia. Nawet nie pozwalałam sobie o tym myśleć. Co oczywiście znaczy, że nie myślałam o niczym innym.

Przez chwilę osłupiała Honoria wpatrywała się w matkę. Przez trzy lata nawet nie wymieniła imienia Daniela. A teraz mówi, że o niczym innym nie myślała?

Pokręciła głową. Bez sensu gniewać się na mamę. Cokolwiek działo się przez te lata, odkupiła to w ciągu kilku ostatnich dni. Honoria nie miała najmniejszych wątpliwości, że Marcus by nie przeżył, gdyby nie pomoc mamy.

– Ile czasu zajmuje podróż z Włoch do Anglii? – zapytała, bo to uznała za najważniejsze.

Marcus podniósł wzrok.

– Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, w której części Włoch Daniel teraz przebywa.

Honoria skinęła głową. Kiedy brat coś opowiadał, zwykle pomijał to, co najistotniejsze.

– Niesamowita historia. Bardzo się za nim stęskniliście – stwierdziła pani Wetherby.

Przez chwilę panowała cisza. Ta uwaga była tak oczywista, że nikt nie wiedział, jak zareagować.

– Dobrze, że zamierzamy jutro wyruszyć do Londynu – odezwała się w końcu lady Winstead. – Byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby przyjechał podczas mojej nieobecności. – Popatrzyła na Marcusa. – Dziś wieczorem



damy ci już spokój. Na pewno potrzebujesz odpoczynku. Chodź, Honorio. Mamy mnóstwo spraw do omówienia.

Okazało się, że lady Winstead chciała przedyskutować, jak uczczą powrót Daniela. Ale niedaleko posunęły się w rozmowie. Honoria rozsądnie zwróciła jej uwagę, że niewiele mogą zrobić, skoro nie znają terminu jego przyjazdu. Mama ignorowała to przez niemal dziesięć minut. Rozważała zalety dużych lub małych spotkań i czy należy zaprosić markiza Ramsgate'a i lorda Hugh, a jeśli tak, czy można być pewnym, że odmówią przyjscia? Na ich miejscu każda rozsądna osoba tak by postąpiła, ale z markizem Ramsgate'em nigdy nie wiadomo.

– Mamo, nic nie możemy zrobić do przyjazdu Daniela – powtórzyła Honoria. – Może nawet nie chcieć uroczystych przywitań.

– Nonsens. Oczywiście, że będzie chciał. Przecież...

– Przecież wyjechał z kraju w niesławie – przerwała jej Honoria. Przykro jej było być aż tak brutalną, nie miała jednak wyjścia.

– Tak, ale to było niesprawiedliwe.

– Nieważne. Fakt pozostaje faktem i może Daniel nie chce nikomu o tym przypominać.

Matka nie wyglądała na przekonaną, więc nie rozwijała tematu, a potem mogły już tylko iść spać.

Następnego poranka Honoria wstała wraz ze słońcem. Miały wcześniej wyjechać, by dotrzeć do Londynu przed nocą. Po szybkim śniadaniu poszła do Marcusa, żeby się pożegnać.

I może coś jeszcze.

Ale kiedy przyszła, nie było go w łóżku. Służąca zdejmowała prześcieradło z materaca.

– Wiesz, gdzie jest lord Chatteris? – zapytała Honoria z nadzieją, że nie dzieje się nic złego.

– W pokoju obok. Ze służącym – odparła pokojówka i się zaróżowiła.

Honoria przełknęła ślinę i pewnie też się zaróżowiła. Dobrze rozumiała: Marcus się kąpie. Służąca wyszła z węzełkiem pościeli, a Honoria przez chwilę stała w jego sypialni sama i zastanawiała się, co zrobić. Chyba zostawi mu liścik na pożegnanie. Nie może tu na niego czekać; byłoby to bardziej niż nieprzyzwoite, jeszcze bardziej niż wszystko, co robili w ciągu ostatnich kilku dni.

Pewne zasady przyzwoitości można nagiąć, kiedy życiu człowieka zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo, ale teraz Marcus już wstał i chodził, a w dodatku był przynajmniej w jakimś stopniu rozebrany. Jej obecność w jego pokoju mogła doprowadzić jedynie do kompletnej utraty reputacji.

A poza tym mama jak najszybciej chciała wyjechać.

Rozejrzała się po pokoju – kartka, pióro? Przy oknie stało małe biurko, a na stoliku nocnym zobaczyła...

List od Daniela.

Dwie trochę zmięte kartki leżały tam, gdzie Marcus położył je wczoraj wieczorem, pokryte drobnym, ścisłym pismem osoby, która chce zaoszczędzić na wysyłce. Marcus nie powiedział nic o treści listu poza tym, że Daniel wraca do domu. Było to oczywiście najważniejsze, ale Honoria aż do bólu pragnęła wiadomości od brata. Tak dawno nic o nim nie słyszała. Wszystko jej było jedno, że być może pisze tylko, co jadł na śniadanie. Śniadanie we Włoszech? A więc coś niezmiernie egzotycznego! Co robi? Czy mu się nudzi? Czy umie mówić po włosku?

Patrzyła na te dwie kartki i zastanawiała się: Czy zrobiłaby coś strasznego, gdyby na nie zerknęła?

Nie. Nie wolno. Zawiodłaby zaufanie i złamała prywatność Marcusa. Daniela zresztą też.

Ale o czym takim mogliby pisać, co mieliby przed nią ukrywać?

Odwróciła się i zerknęła na drzwi, które wskazała pokojówka. Nie dochodziły z tamtej strony żadne dźwięki. Gdyby Marcus skończył kąpiel, na pewno słyszałaby jakieś ruchy. Znów popatrzyła na list.

Umie szybko czytać.

W końcu nie podjęła decyzji, że przeczyta list Daniela do Marcusa. Po prostu nie pozwoliła sobie postanowić, że go nie przeczyta. Różnica niewielka, lecz w jakiś sposób pozwoliła jej zignorować własny kodeks moralny i zrobić coś, co ją by zdenerwowało, gdyby to jej list leżał na stole.

Prędko podeszła do stolika, tak jakby pośpiech pomniejszał grzech, i chwyciła dwie kartki papieru. Drogi Marcusie itd., itp. Daniel pisał o mieszkaniu, które wynajął, i w pięknych szczegółach opowiadał o sklepach w sąsiedztwie – nie podając tylko nazwy miasta, w którym się zatrzymał. Potem mówił o jedzeniu, upierając się, że wszystko jest lepsze niż w Anglii, i o swoich planach powrotu do domu.

Honorcia z uśmiechem podniosła drugą kartkę. Daniel pisał tak, jak mówił. Prawie słyszała głos brata.

W następnym akapicie Daniel prosił Marcusa, aby poinformował matkę o jego powrocie, na co Honorcia uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Daniel nigdy nie wpadłby na to, że będą stały przy Marcusie, kiedy będzie czytał list.

A potem, na końcu, Honorcia ujrzała swoje imię.

*Nie słyszałem nic o małżeństwie Honorii, więc zakładam, że nadal jest panną. Jeszcze raz muszę ci podziękować za to, że w zeszłym roku odstraszyłeś Fotheringhama. To łajdak i jestem wściekły, że w ogóle próbował się do niej zalecać.*

Co to znaczy? Honoria zamrugła, jakby w ten sposób mogła zmienić słowa na kartce. Marcus miał coś wspólnego z tym, że Fotheringham się nie zdeklarował? Sama stwierdziła, że go nie lubi i postanowiła, że nie przyjmie jego oświadczeń, ale...

*Travers też nie byłby dobrym mężem. Mam nadzieję, że nie musiałeś mu płacić, żeby ją zostawił w spokoju, jeśli tak, zwrócę ci poniesione koszty.*

Co? Komuś płacono, żeby... co? Żeby się do niej nie zalecał? To bez sensu!

*Dziękuję, że nad nią czuwałeś. Prosiłem cię o oddanie mi tej ogromnej przysługi. Wiem, że nie bardzo miałeś wybór, gdyż zrobiłem to tuż przed wyjazdem. Sam przejmę za nią odpowiedzialność, kiedy wrócę, a Ty będziesz mógł opuścić Londyn, którego, jak wiem, nie znosisz.*

I tak Daniel kończył swój list. Uwalniał Marcusa od okropnego ciężaru, jakim najwyraźniej była ona.

Odłożyła kartki, a potem ułożyła je tak, żeby wyglądały jak poprzednio.

Daniel poprosił Marcusa, żeby nad nią czuwał? Dlaczego Marcus nic jej nie powiedział? Ależ była głupia, że na to nie wpadła. Wszystko się zgadzało. Te przyjęcia, na których przyłapywała Marcusa na groźnych spojrzeniach skierowanych w jej stronę. Nie dlatego tak patrzył, że nie podobało mu się jej zachowanie. Był nie w humorze, bo musiał tkwić w Londynie, aż ktoś odpowiedni jej się oświadczy. Nic dziwnego, że cały czas sprawiał wrażenie nieszczęśliwego.

A wszyscy zalotnicy, którzy w tajemniczych okolicznościach z niej rezygnowali... on ich odstraszał! Stwierdzał, że nie spełniali wymagań, jakie Daniel miałby wobec jej męża, i w tajemnicy przed nią ich odstraszał.

Powinna być wściekła.

Ale nie była. Nie o to.

Myślała tylko o tym, co powiedział poprzedniego wieczoru. „Nie patrzyłem na Sarah”.

Ech, do czorta, oczywiście, że nie patrzył na Sarah. Patrzył na nią, bo został do tego zmuszony. Patrzył na nią, bo jego najlepszy przyjaciel kazał mu to przyrzec.

Patrzył na nią, bo to było jego obowiązkiem.

A teraz ona jest w nim zakochana.

Z jej gardła wydobył się chichot przerażenia. Musi wyjść z jego pokoju. Tylko tego by brakowało, aby upokorzyć ją jeszcze bardziej, żeby ją przyłapał na czytaniu jego korespondencji.

Ale nie może wyjechać tak bez słowa. To do niej niepodobne. Na pewno od razu by się domyślił, że coś jest nie tak.

Znalazła kartkę i pióro, a potem naskrobała najzwyczajniejszy w świecie, stuprocentowo nudny liścik pożegnalny.

I wyszła.

*Tydzień później w świeżo wywietrzonym pokoju muzycznym  
domu Winsteadów w Londynie*

W tym roku będzie Mozart! – oznajmiła Daisy Smythe-Smith. Swój nowy instrument podniosła do góry tak energicznie, że jej jasnoblond loki niemal powyskakiwały z poupinanej fryzury. – Prawda, że piękne skrzypce? To Ruggieri. Tata kupił mi je na szesnaste urodziny.

– Piękny instrument – zgodziła się Honoria – ale Mozarta grałyśmy w zeszłym roku.

– Co roku gramy Mozarta – przypomniała siedząca przy fortepianie Sarah.

– Ale ja w zeszłym roku nie grałam – powiedziała Daisy. Popatrzyła na Sarah ze złością. – A ty grasz w kwartecie dopiero drugi rok, więc nie możesz narzekać na „co roku”.

– Chyba cię zamorduję przed końcem sezonu – oznajmiła Sarah takim samym tonem, jakby mówiła: „Chyba napiję się lemoniady, a nie herbaty”.

Daisy pokazała jej język.

– Iris? – Honoria spojrzała na kuzynkę przy wiolonczeli.

– Wszystko mi jedno – ponuro stwierdziła Iris.

Honoria westchnęła.

– Nie możemy zagrać tego, co w zeszłym roku.

– A czemu nie? W naszej interpretacji i tak nikt tego nie rozpozna – mruknęła Sarah.

Iris zgarbiła się.

– Ale będzie wydrukowane w programie – zwróciła im uwagę Honoria.

- Naprawdę sądzisz, że ktoś z roku na rok przechowuje nasze programy?
- zapytała Sarah.
  - Na przykład moja mama – oznajmiła Daisy.
  - Moja też – zawtórowała jej Sarah – co nie znaczy, że układa jeden przy drugim i je porównuje.
  - A moja tak – powiedziała Daisy.
  - O Boże! – jęknęła Iris.
  - Przecież pan Mozart napisał więcej niż jeden utwór – mądrzyła się Daisy. – Mamy do wyboru całe mnóstwo. Moim zdaniem powinnyśmy zagrać *Eine kleine Nachtmusik*. To mój ulubiony utwór. Żywy i wesoły.
  - Bez części na fortepian – przypomniała jej Honoria.
  - Nie mam nic przeciwko temu – zza fortepianu szybko odezwała się Sarah.
  - Jeśli ja muszę grać, to ty też – syknęła Iris. Sarah aż cofnęła się na krześle.
  - Nie wiedziałam, że umiesz robić taką jadowitą minę, Iris.
  - To dlatego że nie ma rzęs – stwierdziła Daisy.
- Iris odwróciła się do niej.
  - Nienawidzę cię – syknęła z absolutnym spokojem.
  - Nie powinno się tak mówić, Daisy – zbesztła ją Honoria z surową miną.
- To prawda, Iris była niesamowicie blada i miała bardzo jasne włosy, co sprawiało, że prawie nie widać było jej brwi i rzęs. Ale Honoria zawsze uważała ją za wręcz nieziemską piękność.
  - Gdyby nie miała rzęs, toby nie żyła – rzuciła Sarah.

Honorcia spojrzała na nią. Nie mogła uwierzyć, że rozmowa przybrała taki obrót. No może niezupełnie tak. Mogła w to uwierzyć, ale nie rozumiała, dlaczego tak się dzieje.

– To prawda – broniła się Sarah. – A w najlepszym razie byłaby niewidoma. Rzęsy chronią oczy przed kurzem.

– Dlaczego o tym rozmawiamy? – zastanawiała się Honorcia.

– Bo Sarah powiedziała, że nie wiedziała, że Iris umie robić taką jadowitą minę, a wtedy ja powiedziałam... – odparła szybko Daisy.

– Wiem – przerwała jej Honorcia, a kiedy zobaczyła, że Daisy nadal ma otwarte usta i tylko czeka na odpowiedni moment, żeby dokończyć zdanie, powtórzyła: – Wiem. To było pytanie retoryczne.

– Ale i tak ma konkretną odpowiedź. – Daisy pociągnęła nosem.

Honorcia odwróciła się w stronę Iris. Kuzynka miała dwadzieścia jeden lat, więc była jej rówieśnicą, ale dopiero w tym roku dołączyła do kwartetu. Na wiolonczeli męczyła się jej siostra, Marigold, aż ubiegłej jesieni wyszła za mąż.

– Co proponujesz, Iris? – wesoło zapytała Honorcia.

Iris skrzyżowała ramiona na piersi i zgarbiła się na krześle. Według Honorii jakby chciała rozpułnąć się w niebyt.

– Coś bez wiolonczeli – mruknęła.

– Jeśli ja muszę grać, to ty też – docięła jej Sarah.

Iris zmroziła ją spojrzeniem niezrozumianej artystki.

– Nie rozumiesz.

– Ależ rozumiem, rozumiem – zapewniła Sarah. – Jeśli sobie przypominasz, grałam w zeszłym roku. Cały rok miałam na to, żeby zrozumieć.



– Dlaczego wszystkie narzekacie? – zniecierpliwiła się Daisy. – To wspaniałe przeżycie. Mamy okazję wystąpić przed publicznością. Wiecie, jak długo czekałam na ten dzień?

– Niestety tak – syknęła Sarah.

– Mniej więcej tak samo długo, jak ja się go bałam – mruknęła Iris.

– To wprost niewiarygodne, że jesteście siostrami – oświadczyła Sarah.

– Codziennie się nad tym zastanawiam – odcięła się Iris.

– Powinniśmy zagrać kwartet fortepianowy – szybko powiedziała Honoria, aby Daisy nie zdążyła się zorientować, że ją obrażają. – Niestety niewiele jest ich do wyboru.

Nikt nic nie zaproponował.

Honoria omal nie jęknęła. Wygląda na to, że będzie musiała objąć przywództwo, bo inaczej dojdzie do muzycznej anarchii. Hm, anarchia mogłaby być lepsza niż normalny bieg spraw w stylu Smythe–Smithów.

Smutne stwierdzenie.

– Kwartet fortepianowy numer jeden albo kwartet fortepianowy numer dwa Mozarta – oznajmiła i podniosła do góry dwa zestawy nut. – Co wy na to?

– Ten, którego nie grałyśmy w zeszłym roku – westchnęła Sarah i oparła głowę o klawisze.

– Jaki ładny dźwięk – zdziwiła się Daisy.

– Ryby, która wymiotuje – mruknęła Sarah z głową na pianinie.

– Czarujący obrazek – zauważyła Honoria.

– Ryby chyba nie wymiotują, a nawet jeśli, to nie sądzę, żeby tak to brzmiało – uznała Daisy.

– Nie możemy być pierwszymi kuzynkami, które się zbuntują? – Sarah podniosła głowę. – Nie możemy po prostu powiedzieć „nie”?

– Nie! – zawyła Daisy.

– Nie – zgodziła się Honoria.

– Tak? – słabym głosem powiedziała Iris.

– Nie uwierzę, że chcesz to zrobić jeszcze raz – Sarah zwróciła się do Honorii.

– To tradycja.

– Straszna tradycja. Kilka miesięcy będę dochodzić do siebie.

– Ja nigdy nie dojdę do siebie – lamentowała Iris.

Daisy chyba chciała tupnąć nogą. Pewnie tak by zrobiła, gdyby Honoria nie skarciła jej ostrym spojrzeniem.

Honoria pomyślała o Marcusie, a potem zmusiła się, żeby nie myśleć o Marcusie.

– Taka jest tradycja, a my mamy szczęście należeć do rodziny, która ceni tradycję.

– O czym my mówimy? – zapytała Sarah, kręcąc głową.

– Niektórzy nikogo nie mają – uniosła się Honoria. Sarah chwilę jej się przyglądała.

– Przepraszam, ale o czym ty mówisz? – powtórzyła.

Honoria popatrzyła na nie wszystkie. Zdawała sobie sprawę, że z emocji podnosi głos, lecz nie udawało jej się go modulować.

– Nie lubię występować na koncertach, ale uwielbiam ćwiczyć z waszą trójką.

Kuzynki wlepiły w nią wzrok, zakłopotane.

– Nie widzicie, jakie mamy szczęście? – zawołała. A potem, kiedy nie usłyszała żadnej odpowiedzi, dodała: – Że mamy siebie nawzajem?

– A nie mogłybyśmy mieć siebie nawzajem do gry w karty? – zasugerowała Iris.

– Jesteśmy ze Smythe–Smithów – odparła ostro Honoria –i robimy właśnie to. – A potem, zanim Sarah zdążyła zaprotestować, powiedziała: – Ty też, nieważne, jak masz na nazwisko. Twoja mama nazywała się Smythe–Smith i tylko to się liczy.

Sarah westchnęła – głośno, długo i ze zmęczeniem.

– Bierzemy instrumenty i gramy Mozarta. Z uśmiechem – zakomenderowała Honoria.

– Nie wiem, o czym wy wszystkie mówicie – fuknęła Daisy.

– Ja zagram, ale nie obiecuję uśmiechu. – Sarah popatrzyła na fortepian i zamruwała. – I nie mam zamiaru brać swojego instrumentu.

Iris zachichotała i rozbłysły jej oczy.

– Mogłabym ci pomóc.

– Podnieść go?

Uśmiech Iris wyglądał szelmowsko.

– Okno jest niedaleko...

– Wiedziałam, że cię Kocham – Sarah szeroko się uśmiechnęła.

Gdy Sarah i Iris snuły plany rozbicia nowiutkiego fortepianu lady Winstead, Honoria skupiła się na muzyce i spróbowała wybrać nuty.

– W zeszłym roku grałyśmy kwartet numer dwa – powiedziała, chociaż słuchała jej tylko Daisy – ale waham się, czy wybrać kwartet numer jeden.

– Czemu?

– Słynie z tego, że jest bardzo trudny.

– A to dlaczego?

– Nie wiem – przyznała Honoria. – Ale tyle razy o tym słyszałam, że się boję.

– A jest kwartet numer trzy?

– Niestety nie.

– W takim razie powinniśmy zagrać numer jeden – zawyrokowała Daisy. – Kto nie ryzykuje, ten nie żyje.

– Tak, ale mądrze jest znać swoje ograniczenia.

– Kto tak twierdzi? – zapytała Daisy.

– Ja – odpowiedziała zniecierpliwiona Honoria. Podniosła nuty. – Nie sądzę, żebyśmy potrafiły się tego nauczyć, nawet gdybyśmy miały trzy razy więcej czasu na ćwiczenia.

– Nie musimy uczyć się na pamięć. Będziemy miały przed sobą nuty.

To będzie znacznie gorsze, niż Honoria myślała.

– Moim zdaniem powinniśmy zagrać numer jeden – stanowczo stwierdziła Daisy. – Wstyd grać ten sam utwór, co w zeszłym roku.

Wstydu nie unikną niezależnie od tego, co zagrają, ale Honoria nie miała serca otwarcie jej tego powiedzieć.

Z drugiej strony, nieważne, który utwór zagrają, zepsują go tak, że będzie nie do rozpoznania. Czy źle zagrany trudny utwór może być dużo gorszy niż źle zagrany trochę mniej trudny?

– Dobrze, czemu nie? – zgodziła się. – Zagramy numer jeden. – Pokręciła głową. Sarah się wścieknie. Część na fortepian jest wyjątkowo trudna.

Tyle że Sarah nie raczyła nic zaproponować.

– Mądry wybór – z przekonaniem pochwaliła Daisy. – Gramy kwartet numer jeden – zawołała przez ramię.

Wtedy Honoria zobaczyła, że Sarah i Iris o metr przesunęły fortepian.

– Co robicie?!

– Nie martw się – roześmiała się Sarah. – Tak naprawdę nie zamierzamy wyrzucać go przez okno.

Iris omal nie przewróciła się na stół od fortepianu, tak się trzęsa ze śmiechu.

– Nic w tym śmiesznego – powiedziała Honoria.

Nieprawda. Chętnie dołączyłaby do wygłupiających się kuzynek, ktoś jednak musiał im przewodzić, a jeśli nie zrobi tego ona, będą skazane na Daisy.

O Boże!

– Wybrałyśmy kwartet fortepianowy numer jeden – powtórzyła Daisy.

Iris zbladła, co przy jej urodzie znaczyło, że wyglądała prawie jak duch.

– Żartujecie.

– Nie – odparła Honoria, która szczerze mówiąc, miała już tego dość. – Trzeba było przyłączyć się do dyskusji i uczestniczyć w wyborze naszego repertuaru.

– Ale wiecie, jakie to trudne?

– Właśnie dlatego chcemy to zagrać – oznajmiła Daisy.

Iris przez chwilę patrzyła na siostrę, a potem znów na Honorie, którą najwyraźniej uznała za rozsądniejszą z nich dwóch.

– Honorio. Nie możemy grać kwartetu numer jeden. To niemożliwe. Czy kiedyś go słyszałaś? – perswadowała.

– Tylko raz – przyznała Honoria – ale dobrze nie pamiętam.

– To niemożliwe! – krzyknęła Iris. – To utwór nie dla amatorów.

Honorio nie była aż tak surowa, żeby rozterka kuzynki choć troszkę jej nie bawiła. Iris całe popołudnie narzekała.

– Posłuchajcie, jeśli porwiemy się na ten utwór, zostaniemy zmasakrowane – powtórzyła Iris.

– Przez kogo? – zapytała Daisy.

Iris tylko na nią patrzyła, niezdolna wydusić z siebie odpowiedzi.

- Przez muzykę – wtrąciła Sarah.
- Aha, w końcu raczyłaś przyłączyć się do dyskusji – mruknęła Honoria.
- Niepotrzebny sarkazm – ucięła Sarah.
- Gdzie byłyście we dwie, kiedy starałam się wybrać utwór?
- Przesuwały fortepian.
- Daisy! – krzyknęły wszystkie trzy.
- No co? – zapytała Daisy.
- Spróbuj nie być taka dosłowna – zbeształa ją Iris.

Daisy coś burknęła i zaczęła przeglądać nuty.

– Staram się was wszystkie podtrzymać na duchu. – Honoria wsparła rękę na biodrach i stanęła twarzą do Sarah i Iris. – Musimy przygotować się do występu i nieważne, jak długo zamierzacie narzekać, nie ma od tego ucieczki. Więc nie utrudniajcie mi zadania i róbcie, co wam każę.

Sarah i Iris tylko szerzej otworzyły oczy.

- No... proszę – dodała Honoria.
- A mogłybyśmy sobie zrobić krótką przerwę? – zasugerowała Sarah.

Honoria jęknęła.

- Przecież nawet jeszcze nie zaczęłyśmy.
- Wiem. Ale potrzebna jest nam przerwa.

Honoria chwilę stała nieruchomo, wyczerpana: czuła, jak uchodzi z niej siła. Ale Sarah miała rację. Potrzebowały przerwy. Wprawdzie przerwy od nicnierobienia, lecz w każdym razie przerwy.

- Poza tym – Sarah popatrzyła na nią przebiegle – umieram z pragnienia.
- Honoria uniosła brwi.

– Przez to narzekanie tak wam się chce pić?

– No właśnie. – Sarah się uśmiechnęła. – Masz może lemoniadę, kochana kuzynko?

– Nie wiem – Honoria westchnęła – ale chyba mogę zapytać.

Miło będzie się napić lemoniady. A szczerze mówiąc, zwłaszcza nie ćwiczyc. Wstała, żeby zadzwonić po służącą, i ledwie zdążyła z powrotem usiąść, w drzwiach ukazał się Poole, wieloletni kamerdyner Winsteadów.

– Ale szybko! – ucieszyła się Sarah.

– Gość do pani, lady Honorio – wyrecytował Poole. Marcus?

Serce szalało w piersiach Honorii, póki nie zdała sobie sprawy, że to nie może być Marcus. Przecież nie mógł wyjeżdżać z Fensmore. Doktor Winters stanowczo mu zabronił.

Poole podszedł z tacą i podał ją Honorii, aby wzięła wizytówkę.

„Hrabia Chatteris”

O Boże! To jest Marcus. Co, do czorta, robi w Londynie? Zapomniała, że może poczuć się urażona lub zła (które z tych uczuć wybrać – nie podjęła decyzji) i od razu się wściekła. Jak śmie narażać swoje zdrowie? Nie po to harowała przy nim w chorobie, w upale, krwi i delirium, żeby teraz się rozłożył, bo jest zbyt lekkomyślny, żeby zostać w domu, gdzie jego miejsce.

– Proszę go natychmiast wpuścić – warknęła.

Musiało to zabrzmieć groźnie, bo wszystkie trzy kuzynki wlepiły w nią wzrok z identycznymi zaciekawionymi minami.

Zgromiła je wszystkie spojrzeniem. Daisy zrobiła nawet krok w tył.

– Nie powinien wyjeżdżać z domu – burknęła Honoria.

– To lord Chatteris – powiedziała Sarah z pełnym przekonaniem.

– Zostańcie tu. Zaraz wrócę.

– Czy musimy ćwiczyc pod twoją nieobecność? – zapytała Iris.

Honoria przewróciła oczami i nie raczyła udzielić odpowiedzi.

– Jego lordowska mość czeka w salonie – poinformował ją Poole.

Oczywiście. Żaden kamerdyner nie obraziłby hrabiego, każąc mu zostawić wizytówkę na srebrnej tacy, a potem czekać w holu.

– Zaraz wrócę – powtórzyła Honoria.

– Już to mówiłaś – przypomniała Sarah.

– Nie idźcie za mną.

– To też mówiłaś – stwierdziła Sarah – albo coś podobnego.

Honoria jeszcze raz zmierzyła ją ostrym wzrokiem i wyszła z pokoju. Niewiele powiedziała Sarah o swoim pobycie w Fensmore. Tyle tylko, że Marcus był chory, a one z matką pomogły mu wyzdrowieć. Ale Sarah знаła ją lepiej niż ktokolwiek inny; będzie zaintrygowana, zwłaszcza teraz, kiedy Honoria zachwiała się na sam widok wizytówki Marcusa.

Przemaszerowała przez dom, a z każdym krokiem rosła jej złość. Co on sobie wyobraża? Doktor Winters nie mógł wyrazić się jaśniej. Marcus miał tydzień leżeć w łóżku, a potem tydzień albo dwa być w domu. Żadne wyliczenia matematyczne na świecie nie wykazałyby w takim razie, że ma teraz być w Londynie.

– Co ty do diabła... – Wpadła do salonu jak burza, ale zamurowało ją, kiedy zobaczyła, jak stoi przy kominku i wygląda niczym okaz zdrowia.

Uśmiechnął się, a jej serce – głupie, zdradzieckie serce – topniało.

– Honorio, mnie również miło cię widzieć.

– Wyglądasz... – Zamrugła, gdyż nadal nie dowierzała własnym oczom: świeża cera, oczy niepodkrążone, przybrał na wadze – ...zdrowo – dokończyła, choć nie umiała ukryć zdziwienia w głosie.

– Doktor Winters stwierdził, że mogę podróżować. Powiedział, że jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś tak szybko doszedł do zdrowia.

– To na pewno dzięki tarcie z melasą.

Spojrzał na nią ciepło.



– Właśnie.

– Co sprowadza cię do miasta? – Chciała powiedzieć: Skoro zostałeś zwolniony z obowiązku pilnowania, żebyś nie wyszła za idiotę.

Cóż za gorycz.

Ale nie złość. Nie było sensu ani też powodu, aby się na niego złościć. Robił tylko to, o co prosił go Daniel. I nie stanął na drodze żadnym prawdziwym romansom. Honoria nie była zakochana w żadnym ze swych adoratorów. Tak naprawdę, gdyby któryś z nich się oświadczył, prawdopodobnie by go odrzuciła.

Ale była zażenowana. Dlaczego ktoś jej nie powiedział, że Marcus wtrąca się w jej sprawy? Może by pogrymasiła – no, cóż... na pewno by pogrymasiła, ale nie za bardzo. I gdyby o tym wiedziała, nie zinterpretowałaby opacznie tego, co robił w Fensmore. Nie pomyślałaby, że może się w niej trochę kocha.

I nie pozwoliłaby sobie się w nim zakochać.

Jednego wszakże była pewna: nie da po sobie poznać, że coś jest inaczej niż zwykle. Z jego perspektywy nadal nie zdawała sobie sprawy z jego machinacji.

Tak więc uśmiechnęła się najpiękniej jak umiała i bardzo starała się okazać zainteresowanie wszystkim, co mówi.

A on odpowiedział:

– Nie chciałem opuścić waszego koncertu.

– Kłamiesz.

– Nie, serio. Teraz, kiedy wiem, co naprawdę myślisz, całe wydarzenie nabiera całkiem innego wymiaru.

Przewróciła oczami.

– Proszę. Nawet jeśli ci się wydawało, że śmiejesz się ze mną, a nie ze mnie, i tak nie unikniesz kakofonii.

– Może włożę sobie waciki do uszu.

– Jeśli mama cię przyłapie, będzie śmiertelnie urażona. A przecież wyleczyła cię, kiedy twojemu życiu groziło niebezpieczeństwo.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Uważa, że macie talent?

– Wszystkie – potwierdziła Honoria. – Chyba jest jej przykro, że występuje już ostatnia z jej córek. Ale wkrótce pałeczka zostanie przekazana następnemu pokoleniu. Mam kilka siostrzenic, które zamęczają sobie paluszki na malutkich skrzypeczkach.

– Naprawdę? Takich małych?

– Nie. Tylko lepiej brzmi, kiedy tak to opisuję.

Zachichotał. Zapadła cisza. Stali w salonie, czuli się nadzwyczaj nietypowo dla siebie niezręcznie i, no cóż, milczeli.

Dziwne. I wcale do nich niepodobne.

– Chciałabyś iść na spacer? – zapytał nagle. – Pogoda taka piękna.

– Nie – odparła ostrzej, niż chciała. – Dziękuję.

Cień przemknął mu przez oczy, a potem zniknął tak szybko, że pomyślała, że może go sobie tylko wyobraziła.

– W porządku – powiedział sztywno.

– Nie mogę – dodała, bo nie chciała go urazić. A może chciała i teraz czuła się winna. – Są u mnie kuzynki. Ćwiczymy.

Na jego twarzy pojawiło się lekkie przerażenie.

– Może zechcesz znaleźć jakieś sprawy, które na dobre odciągną cię od Mayfair – wyjaśniła. – Daisy nie opanowała jeszcze *pianissimo*. – Widząc jego skonsternowane spojrzenie, dodała: – Gra głośno.

– A cała reszta nie?

– *Touche*, ale nie, nie aż tak.

– Tak więc uważasz, że kiedy przyjdę na koncert, powinienem spróbować zdobyć miejsce w tylnym rzędzie?

– Jeśli ci się uda, to w pokoju obok.

– Naprawdę? – Odniosła wrażenie, że napawa go to ogromną, a raczej komiczną nadzieją. – To w pokoju obok będą miejsca?

– Nie – odparła i znów przewróciła oczami. – Ale tylny rząd cię nie uratuje. Nie od Daisy.

Westchnął.

– Trzeba było wszystko przemyśleć, zanim postanowiłeś tak szybko wyzdrowieć.

– Właśnie zaczynam to rozumieć.

– No cóż, naprawdę muszę już iść – wyznała to tak, aby wyglądać na pannę bardzo zajętą, która ma przed sobą mnóstwo spotkań i wiele do zrobienia, a także w najmniejszym stopniu nie jest w nim zakochana.

– Oczywiście. – Uprzejmie skinął głową na pożegnanie.

– Do widzenia. – Ale nie ruszyła się z miejsca.

– Dowidzenia.

– Miło było się z tobą zobaczyć.

– I z tobą. Proszę, pozdrów mamę.

– Jasne. Bardzo się ucieszy, że tak świetnie się czujesz. Znów skinął głową. I stał jak wryty.

– To dobrze – powiedział wreszcie.

– Tak – potwierdziła pośpiesznie. – Muszę iść. Do widzenia – powtórzyła. I tym razem wyszła z salonu. Nawet się za siebie nie obejrzała.

Takiego zwycięstwa nad sobą nie potrafiłaby sobie wymarzyć.

Prawdę mówiąc, myślał o sobie Marcus, kiedy siedział w gabinecie swego londyńskiego domu, nie bardzo umiem flirtować z pannami. Znakomicie potrafię ich unikać, a jeszcze lepiej ich matek. Świetnie radzę sobie z dyskretnym obserwowaniem mężczyzn, którzy zalecają się do panien (dokładniej mówiąc do Honorii), a już najlepiej idzie mi grożenie im i przekonywanie, aby zrezygnowali ze swoich zamiarów.

Nie wyobrażam sobie jednak, jak sam miałbym flirtować.

Kwiaty? Widziałem mężczyzn z kwiatami. Kobiety je lubią. A niech tam, sam też lubię kwiaty. W końcu kto ich nie lubi?

Pomyślał, że miło byłoby wysłać Honorii bukiet szafirków, które przypominają mu jej oczy. Są jednak bardzo małe i raczej nie nadają się na bukiet. A poza tym, czy powinien wręczyć je sam i powiedzieć, że przypominają mu jej oczy? Ale wtedy musiałby wyjaśnić, że mówi tylko o jednym, konkretnym miejscu kwiatków, u nasady płatków, tuż przy łodydze.

Idiotyczne.

Jeszcze jeden kłopot z kwiatami: nigdy wcześniej nie dawał ich Honorii. Natychmiast ją to zaintryguje, stanie się podejrzliwa, a jeśli nie darzy go wzajemnością (a nic nie świadczy o tym, że tak nie jest), sterczałaby w jej salonie jak kompletny osioł.

Rozważywszy to wszystko, takiego scenariusza wolałby unikać.

Stwierdził, że bezpieczniej będzie zalecać się do niej w miejscach publicznych. Następnego dnia lady Bridgerton wydawała bal. Wiedział, że przyjdzie nań Honoria. Nawet gdyby nie chciała, i tak by musiała. Wśród gości będzie zbyt wielu kawalerów do wzięcia, by mogła sobie pozwolić odmówić zaproszenia. Jeden z nich to Gregory Bridgerton; co do którego

Marcus zmienił zdanie. Jest stanowczo zbyt niedojrzały, żeby się żenić. Jeśli Honoria uzna, że mimo wszystko nadal interesuje ją młody Bridgerton, trzeba będzie interweniować.

Oczywiście, jak zwykle, dyskretnie i na stronie. Tak czy inaczej, to następny powód, dla którego powinien iść na bal.

Spojrzał na swoje biurko. Z lewej strony leżało zaproszenie do pałacu Bridgertonów. Z prawej kartka, którą zostawiła mu Honoria, kiedy tydzień temu wyjeżdżała z Fensmore. Zadziwiająco chłodny liścik. Pozdrowienie, podpis i dwa zwykłe zdania pośrodku. Nic, co wskazywałoby na to, że uratowano czyjeś życie, pocałowano się, ukradziono tartę z melasą...

Karteczka w stylu takich, jakie wysyła się pani domu, aby podziękować jej za ugrzecznione przyjęcie w ogrodzie. Nie coś, co pisze się do osoby, którą chciałoby się poślubić.

Bo on właśnie taki ma zamiar. Kiedy tylko Daniel wreszcie, do diabła, przywlecze się do Anglii, poprosi go o jej rękę. Ale na razie musi sam starać się o Honorię.

Stąd dylemat.

Westchnął. Niektórzy mężczyźni umieją rozmawiać z kobietami. Dobrze byłoby być jednym z nich.

Ale nie jest. Potrafi rozmawiać wyłącznie z Honorią. A ostatnio nawet to niezbyt mu się udaje.

Tak więc następnego wieczoru znalazł się w jednym ze swoich najbardziej nielubianych miejsc na świecie – w sali balowej w Londynie.

Stanął jak zwykle z boku, plecami do ściany, w miejscu gdzie mógł wszystkiemu się przyglądać i udawać niczym niezainteresowanego. Nie po raz pierwszy przyszło mu do głowy, jak to dobrze, że nie urodził się kobietą.

Obok niego stała pod ścianą jakaś nieśmiała panna. Musiał więc udawać niesympatycznego ponuraka.

Przyjęcia u lady Bridgerton cieszyły się ogromną popularnością, więc gromadził się na nich wielki tłum i Marcus nie wiedział, czy Honoria tu jest. Nie widział jej, ale też nie mógł dojrzeć nawet drzwi, przez które sam wszedł. Nigdy nie zrozumie, jak ktoś może dobrze się bawić w takim upale i ścisku.

Znowu spojrzął na młodą damę obok. Chyba ją zna, ale skąd? Nie jest pierwszej młodości, ale też nie może być dużo starsza od niego. Westchnęła, długo i ze znużeniem, a on pomyślał, że to bratnia dusza. Ona również patrzyła na tłum i wyglądała, jakby kogoś konkretnego szukała.

Powiedzieć: „Dobry wieczór”? A może zapytać, czy zna Honorię, a jeśli tak, czy ją widziała? Ale kiedy pochylił się, żeby się przywitać, odwróciła się w drugą stronę i mógłby przysiąc, że usłyszał, jak mówi:

– A niech tam. Idę po ekierkę.

Ruszyła przed siebie, torując sobie drogę przez tłum. Marcus przyglądał jej się z zainteresowaniem; sprawiała wrażenie, że dokładnie wie, dokąd idzie. Co znaczyło, że, jeśli dobrze słyszał...

Wie, gdzie można dostać ekierkę.

Natychmiast podążył za nią. Jeśli ma utknąć w sali balowej i nawet nie zobaczyć się z Honorią, a przecież tylko po to naraził się na taki ścisk, to przynajmniej zje deser.

Już dawno do perfekcji opanował sztukę poruszania się ze zdecydowaniem, nawet jeśli nie miał żadnego celu, i dzięki temu, że wysoko trzymał głowę i ostrym wzrokiem patrzył wysoko nad tłumem, udawało mu się unikać niepotrzebnych rozmów.

Nagle coś uderzyło go w nogę.

Oj, boli!

– Co to za mina, Chatteris? – usłyszał władczy kobiecy głos. – Ledwie cię dotknęłam.

Znieruchomiał – znał ten głos. Już po mnie, pomyślał. Lekko się uśmiechając, stanął twarzą w twarz z lady Danbury, która terroryzowała Wyspy Brytyjskie od czasu Restauracji.

Albo tak mu się wydawało. Była cioteczną prababką jego matki i mógłby przysiąc, że ma sto lat.

– Mam ranę na nodze, milady – powiedział i ukłonił się z największym szacunkiem, na jaki było go stać.

Uderzyła bronią (inni nazwaliby to laską, ale on wiedział swoje) w podłogę.

– Spadłeś z konia?

– Nie...

– Potknąłeś się na schodach? Upuściłeś sobie butelkę na nogę? – Zrobiła przebiegłą minę. – A może jest w to zamieszana kobieta?

Opanował chęć, aby się bronić. Podniosła na niego wzrok i patrzyła z lekkim przekąsem. Lubiała nabijać się z ludzi. Kiedyś powiedziała mu, że w starości najlepsze jest to, że można bez ogródek mówić wszystko, co się myśli.

Z wielką powagą pochylił się w jej stronę.

– Skaleczył mnie służący.

Chyba jedyny raz w życiu tak ją zaskoczył, że zamilkła.

Otworzyły jej się usta, rozszerzyły oczy. Zbladła? Ale cerę miała tak dziwnego koloru, że trudno było to stwierdzić. Po chwilowym szoku głośno się roześmiała.

– E tam. Co naprawdę się stało? – zapytała.

– Dokładnie to, co powiedziałem. Skaleczył mnie służący. Gdybyśmy nie stali na środku sali balowej, pokazałbym ranę.

– Coś takiego! – Teraz rzeczywiście była zaintrygowana. – Strasznie wygląda?

– Wyglądała.

Zacisnęła usta, oczy jej się zwęziły.

– A gdzie teraz jest twój służący?

– W pałacu Chatteris, pewnie ukradkiem popija moją najlepszą brandy.

Wybuchła charakterystycznym dla siebie głośnym, urywanym śmiechem.

– Zawsze umiałeś mnie rozbawić. Chyba jesteś drugi w kolejności wśród moich ulubionych siostrzeńców.

– Naprawdę?

– Wiesz, że większość osób uważa cię za pozbawionego poczucia humoru?

– Lubi ciocia mówić prosto z mostu – mruknął. Wzruszyła ramionami.

– Jesteś moim ciotecznym praprawnukiem. Mogę mówić, jak mi się tylko spodoba.

– Pokrewieństwo nigdy przedtem nie było dla cioci powodem do mówienia prosto z mostu.

– Masz rację – odparła i skinęła głową, by wyrazić aprobatę. – Chciałam tylko powiedzieć, że twoje poczucie humoru jest subtelne i dobrze ukryte. Z całego serca to pochwalam.

– A ja wręcz skaczę z radości.

Pogroziła mu palcem.

– Właśnie o to mi chodzi. Jesteś bardzo zabawny, ale tego nie pokazujesz.



Pomyślał o Honorii. Ją umiał doprowadzić do śmiechu. A był to dla niego najpiękniejszy dźwięk na świecie.

– No cóż, dosyć tego! – Lady Danbury głośno uderzyła laską w podłogę.

– Po co tu przyszedłeś?

– Wydaje mi się, że zostałem zaproszony.

– E tam. Nie znosisz takich balów.

Lekko wzruszył ramionami.

– Pewnie szukasz tej Smythe–Smithówny – powiedziała.

Rozglądał się nad jej ramieniem, usiłując wypatrzeć ekierki, ale słysząc, co mówi, gwałtownie się odwrócił.

– Nie martw się, nie rozpowiem, że cię interesuje. – Znacząco przewróciła oczami. – To jedna z dziewcząt ze skrzypcami, tak? Boże wielki, w tydzień ogłuchniesz.

Otworzył usta, aby bronić Honorii, powiedzieć, że sama wie, jaka to farsa, ale przyszło mu do głowy, że jednak dla niej to nie farsa. Doskonale wie, że kwartet jest okropny, ale gra w nim, bo to ważne dla jej rodziny. Wyjść na scenę i udawać, że jest się wirtuozem skrzypiec, wymaga ogromnej odwagi.

To również dowód miłości.

Umie bardzo głęboko kochać, a wszystko, co mu przychodziło do głowy, to: Chcę tego.

– Zawsze byłeś blisko z tą rodziną. – Lady Danbury przerwała jego rozmyślenia.

Nerwowo zamrugał, gdyż potrzebował chwili, aby wrócić do rozmowy.

– Tak – odparł wreszcie. – Chodziłem do szkoły z jej bratem.

– Faktycznie. Ale to była szopka – westchnęła. – Nie powinien był być wygnany z kraju. Zawsze mówiłam, że Ramsgate jest osłem.

Spojrzał na nią zszokowany.

– Nie potrzebuję pokrewieństwa, żeby mówić prosto z mostu – przekomarzała się z nim.

– Na to wygląda.

– Popatrz. Ona jest tam. – Lady Danbury przechyliła głowę na prawo, a Marcus podążył za jej spojrzeniem i zobaczył Honorię.

Rozmawiała z dwiema pannami, których z tej odległości nie potrafił rozpoznać. Jeszcze go nie zauważyła, więc korzystał, aby chłonąć jej widok. Była inaczej uczesana; nie wiedział, co zrobiła z włosami – nigdy nie rozumiał tajników damskich fryzur – ale jego zdaniem wyglądała pięknie. Może powinien wymyślić jakieś bardziej poetyckie określenie, lecz czasem z serca płyną słowa najprostsze.

Była piękna. A on pragnął jej do bólu.

– Naprawdę ją kochasz – szepnęła lady Danbury.

Odwrócił się do niej.

– Co też ciocia opowiada!

– Masz to jasno wypisane na twarzy, choć może to zwrot banalny. No już, idź, zaproś ją do tańca. – Podniosła laskę i machnęła nią w stronę Honorii.  
– Mógłbyś wybrać o wiele gorzej.

Zastanawiał się. Z lady Danbury nigdy nic nie wiadomo. Trudno zinterpretować nawet jej najprostsze wypowiedzi. Nie mówiąc już o tym, że uniosła laskę. A kiedy puszcza ją w ruch, ostrożności nigdy za wiele.

– Idź, idź – poganiała. – O mnie się nie martw. Potorturuję jakiegoś innego Bogu ducha winnego głupca. No tak, zanim zorientujesz się, że trzeba protestować, to prawda, że nazwałam cię głupcem.

– Ale to można uznać za przywilej pokrewieństwa.

Zachichotała ubawiona.

- Jesteś księciem wśród moich siostrzeńców – oznajmiła.
  - Na drugim miejscu wśród ulubieńców.
  - Będziesz na pierwszym, jeśli uda ci się zniszczyć jej skrzypce. Marcus nie powinien był się roześmiać, ale to zrobił.
  - To prawdziwe przekleństwo. Spośród znajomych jestem jedyną osobą w moim wieku, która ma idealny słuch – utyskiwała.
  - Większość uznałaby to za błogosławieństwo.
  - Nie kiedy chodzi o ich koncerty.
  - To dlaczego ciocia przychodzi? – zapytał. – Nie jest ciocia blisko związana z ich rodziną. Łatwo byłoby odmówić.
- Westchnęła i w jej oczach błysnęło... współczucie.
- Nie wiem – przyznała. – Ktoś musi klaskać tym biedactwom.
- Patrzył, jak jej twarz na powrót przybiera zwykły, oschły wyraz.
- Jest ciocia miłsza, niż sprawia wrażenie.
  - Ale nikomu o tym nie mów. Hm! – Głośno uderzyła laską w podłogę.
- Już cię tu nie ma.

Uklonił się z szacunkiem należnym przerażającej ciotecznej praprababce i ruszył w stronę Honorii. Ubrana była w zimny błękit, najbledszy z możliwych. Nie umiałby opisać tej sukni z lodu, poza tym, że odkrywała jej ramiona, co mu się podobało, nawet bardzo.

– Lady Honorio – powiedział, kiedy znalazł się przy niej. Odwróciła się, a on uprzejmie pochylił głowę.

W jej oczach przez chwilę ukazał się błysk szczęścia, a potem grzecznie dygnęła.

– Lordzie Chatteris, jak miło pana widzieć.

Właśnie dlatego nie znosił takich imprez. Całe życie mówiła mu po imieniu, ale w londyńskiej sali balowej nagle przeobrażał się w lorda Chatteris.

– Oczywiście pamiętasz pannę Royle. – Honoria wskazała młodą damę po swojej prawej stronie, ubraną w niebieską suknię o nieco ciemniejszym odcieniu. – I moją kuzynkę Sarah.

– Panno Royle, lady Sarah. – Ukłonił im się kolejno.

– Co za niespodzianka tutaj cię zobaczyć.

– Niespodzianka?

– Nie myślałam... – przerwała i zaczerwieniła się. – Nic ważnego – powiedziała, choć oczywiste było, że kłamie. Ale nie mógł nalegać w publicznym miejscu, więc w zamian zrobił niezmiernie ciekawą i wnikliwą uwagę:

– Ale tu dziś tłoczno, prawda?

– Tak – zaszemrały wszystkie trzy damy, niektóre głośniej, inne ciszej.

Jedna chyba nawet powiedziała: – Prawda.

Zapanowała cisza.

– Masz jakieś nowe wieści od Daniela? – nie wytrzymała Honoria.

– Nie. Prawdopodobnie wyruszył już w drogę powrotną. Oby.

– Więc nie wiesz, kiedy wróci.

– Nie – odparł. Ciekawe. Wydawało mu się, że jasno wynikało to z jego poprzedniego zdania.

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się, a jej uśmiech mówił: Uśmiecham się, bo nie mam nic do powiedzenia. Co było jeszcze ciekawsze.

– Jestem pewna, że nie możesz się doczekać jego przyjazdu – stwierdziła, kiedy minęło kilka sekund, a nikt nie podtrzymał rozmowy.

Było dla niego oczywiste, że w tym jej stwierdzeniu kryje się jakiś podtekst, ale nie miał pojęcia jaki. Na pewno nie jego podtekst, czyli to, że czeka na powrót jej brata, aby poprosić go o jej rękę.

– Tak, bardzo się cieszę, że przyjedzie – mruknął.

– Wszyscy się cieszymy – powiedziała panna Royle.

– Oj, tak – zawtórowała kuzynka Honorii, która do tej pory milczała.

Znów cisza.

– Mam nadzieję, że zarezerwujesz dla mnie taniec – przerwał, zwracając się do Honorii.

– Oczywiście – odparła, a on pomyślał, że wygląda na zadowoloną, ale dzisiaj nie potrafił zrozumieć jej zachowania.

Pozostałe dwie damy stały w kompletnym milczeniu i patrzyły na niego dużymi, szeroko otwartymi oczami. Przypominały Marcusowi parę strusi, ale kiedy tak na nie patrzył, rozumiał, czego od niego oczekują.

– Mam nadzieję, że wszystkie trzy zarezerwujecie dla mnie tańce – dodał uprzejmie.

Natychmiast wyjęły karneciki. Menuet przypadł w udziale pannie Royle, taniec wiejski lady Sarah, a u Honorii zamówił walca. Niech plotkarze gadają, co chcą. Przecież nie pierwszy raz będzie tańczył z nią walca.

Kiedy już rozdzielili tańce, znów stali w czwórce bez słowa, stanowiąc swego rodzaju milczący kwartet. Marcus pomyślał, że wszystkie kwartety powinny zachowywać taką ciszę. Wreszcie kuzynka Honorii odchrząknęła.

– Tańce już się chyba zaczynają – zauważyła. Co znaczyło, że czas na menueta.

Panna Royle spojrzała na niego promiennym wzrokiem. Trochę zbyt późno przypomniał sobie, że jej matka chciała ich ze sobą skojarzyć.

Honorcia popatrzyła na niego, jakby chciała powiedzieć: Miej się na baczności.

Ale jedyne, co mu przychodziło do głowy to: A niech tam, w końcu nie dostałem ekierki.

– Lubi cię – powiedziała Sarah, kiedy tylko Marcus i panna Royle poszli tańczyć menueta.

– Co? – zapytała Honorcia. Musiała zamrunąć. Przez wpatrywanie się w plecy odchodzącego Marcusa straciła ostrość widzenia.

– Lubi cię – powtórzyła Sarah.

– Co ty mówisz, to oczywiste. Jesteśmy przyjaciółmi od zawsze. – Ale to nie całkiem prawda. Znali się od zawsze. Ale przyjaciółmi, prawdziwymi przyjaciółmi, byli od niedawna.

– Ale podobasz mu się – powiedziała Sarah z naciskiem.

– Co? – Honorcia poczuła się jak idiotka. – Nie. Jasne, że nie.

Ale serce aż jej podskoczyło.

Sarah wolno pokręciła głową, jakby sens swoich słów uświadamiała sobie, kiedy je wypowiadała.

– Cecily mówiła, że to podejrzewa po tym, jak obie pojechałyście go odwiedzić, kiedy tak bardzo zmókł na deszczu, ale myślałam, że jej się tak tylko wydaje.

– Dobrze myślałaś – odparowała Honorcia.

Sarah zachnęła się.

– Nie widziałaś, jak się w ciebie wpatruje?

Honorcia, modląc się, żeby kuzynka jej zaprzeczyła, stwierdziła:

– Wcale się we mnie nie wpatruje.

– Ależ tak. A przy okazji, powiem ci to, żebyś się nie martwiła. Mnie on nie interesuje.

Honorcia tylko zamrugwała.

– Pamiętasz, że u Royle'ów zastanawiałam się, czy mógłby dość szybko się we mnie zakochać? – spytała Sarah.

– Tak – przypomniała sobie Honorcia i próbowała nie zauważać skurczu żołądka na samą myśl o tym, że Marcus mógłby zakochać się w kimś innym. Odchrząknęła. – Zapomniałam.

Sarah wzruszyła ramionami.

– Mówiłam tak z czystej desperacji. – Popatrzyła na tłum i mruknęła: – Ciekawe, czy są tu jacyś panowie, którzy ożeniliby się ze mną przed środą.

– Sarah!

– Żartuję. Mój Boże, przecież powinnaś to wiedzieć. – I zaraz dodała: – Znowu na ciebie patrzy.

– Skądże. Przecież tańczy z Cecily.

– Tańczy z Cecily i patrzy na ciebie. – Sarah sprawiała wrażenie zadowolonej z tego stanu rzeczy.

Honorcia chciałaby myśleć, że to znaczy, że mu na niej zależy, ale przecież czytała list Daniela, więc знаła prawdę.

– To nie dlatego, że mu na mnie zależy.

– W takim razie, co to może znaczyć?

Honorcia przełknęła ślinę, a potem dyskretnie rozejrzała się dokoła.

– Dotrzymasz tajemnicy?

– Oczywiście.

– Daniel prosił go, żeby mnie „pilnował” pod jego nieobecność.

Na Sarah nie zrobiło to wrażenia.

– Dlaczego to tajemnica?

– Może i nie tajemnica. Jednak tak. Bo nikt mi o tym nie powiedział.

– To skąd wiesz?

Honorio poczuła, że się czerwieni.

– Chyba przeczytałam coś, co nie było przeznaczone dla mnie.

Sarah szeroko otworzyła oczy.

– Naprawdę? – Pochyliła się w stronę Honorii. – To do ciebie niepodobne.

– Zrobiłam to w chwili słabości.

– I teraz żałujesz?

Honorio chwilę się zastanawiała.

– Nie – przyznała.

– Honorio Smythe-Smith, jestem z ciebie dumna. – Sarah uśmiechnęła się, by dodać jej otuchy.

– Zapytałabym dlaczego, ale nie jestem pewna, czy chcę usłyszeć odpowiedź.

– To chyba najbardziej niecna rzecz, jaką w życiu zrobiłaś.

– Nieprawda.

– A może zapomniałaś mi opowiedzieć, jak nago biegałaś po Hyde Parku?

– Sarah!

Sarah zachichotała.

– Każdy kiedyś przeczytał coś, co nie było dla niego przeznaczone. Cieszę się tylko, że dołączyłaś do reszty ludzkości.

– Nie jestem aż taką grzeczną sztywniaczką – obruszyła się Honorio.

– Jasne, że nie. Ale nie nazwałabym cię ryzykantką.

– Ja ciebie też nie.

– Uhm. To prawda.

Chwilę tak stały, trochę smutne, trochę zamyślane.



– No cóż, nie będziesz chyba biegać nago po Hyde Parku? – powiedziała Honoria, starając się wrócić do beztroskiego tonu.

– Bez ciebie nie – sprytnie odparła Sarah.

Honoria roześmiała się, a potem odruchowo objęła kuzynkę i ją uścisnęła.

– Kocham cię, przecież wiesz.

– Oczywiście – przytaknęła Sarah. Honoria czekała.

– Ja ciebie też kocham – stwierdziła Sarah.

Honoria uśmiechnęła się i przez chwilę czuła się pogodzona ze światem. A jeśli nawet nie całkiem, przynajmniej poczuła się normalnie. Jest w Londynie, na balu, stoi koło swojej ulubionej kuzynki. Nic bardziej zwyczajnego. Lekko przechyliła głowę na bok i spojrzała na tłum. Menuet pięknie się prezentował, taki dystyngowany i pełen wdzięku. Może Honorii się wydawało, ale odniosła wrażenie, że damy ubrane są w suknie podobnego koloru – migotały na parkiecie błękitem, zielenią i srebrem.

– Prawie jak w pozytywce – mruknęła.

– Tak. – Sarah domyśliła się, o co chodzi Honorii, a potem zepsuła nastrój, mówiąc: – Nie znoszę menueta.

– Nie znosisz?

– Właśnie. Nie wiem dlaczego.

Honoria nadal przyglądała się tancerzom. Ileż to razy stały tak razem z Sarah i wpatrywały się w tłum? Potrafiły rozmawiać i ani razu na siebie nie spojrzeć. Nie musiały. Znały się tak dobrze, żeby bez przyglądania się swoim twarzom wiedzieć, co druga czuje.

W końcu dojrzały Marcusa i Cecily. Honoria obserwowała ich – krok w przód i krok w tył.

– Myślisz, że Cecily zależy na Marcusie? – zapytała.

– A tobie?

Honorcia utkwiła wzrok w stopach Marcusa. Jak na tak postawnego mężczyznę poruszał się z wdziękiem.

– Nie wiem – mruknęła.

– Zależy ci na nim?

Honorcia chwilę zastanawiała się, czy chce się podzielić swoimi uczuciami.

– Chyba tak – odparła w końcu.

– Nie ma znaczenia, czy on jej się podoba. Jemu na niej nie zależy – stwierdziła Sarah.

– Wiem, ale wydaje mi się, że na mnie też mu nie zależy.

– Poczekaj tylko. Tylko poczekaj. – Sarah w końcu odwróciła się, żeby spojrzeć jej w oczy.

Jakąś godzinę później Honorcia stała nad pustą tacą przy stole z deserami i kiedy gratulowała sobie, że dopadła ostatnią ekierkę, podszedł do niej Marcus, aby zaprosić ją do walca.

– Udało ci się?

– Co?

– Dostać ekierkę. Niebo w gębie. Och. – Usiłowała stłumić śmiech. – Przepraszam. Widzę po twojej minie, że nie.

– Cały wieczór starałem się tu dotrzeć – mruknął.

– Może jeszcze są – powiedziała, udając optymistkę.

Popatrzył na nią i uniósł jedną brew.

– Pewnie jednak nie. Tak mi przykro. Może zapytamy lady Bridgerton, gdzie je kupiła. Albo – zrobiła przebiegłą minę – jeśli zrobił je jej kucharz, możemy go wynająć.

Uśmiechnął się.

– Albo możemy zatańczyć.

– Albo możemy zatańczyć – zgodziła się z radością. Położyła dłoń na jego ramieniu i pozwoliła się poprowadzić na środek sali balowej. Zdarzało już im się tańczyć, raz lub dwa nawet walca, ale teraz było inaczej. Jeszcze zanim zaczęła grać muzyka, Honoria poczuła się tak, jakby swobodnie frunęła po wypolerowanym parkiecie. A kiedy położył dłoń na jej ramieniu, a ona spojrzała mu w oczy, miała wrażenie, że w piersiach rozlewa jej się coś, jak gorąca ciecz.

Nic nie ważyła. Nie musiała oddychać. Poczowała głód, pilną potrzebę czegoś, czego nie potrafiła określić, lecz było to tak silne, że powinno ją przerazić.

Ale nie przeraziło. Przecież Marcus trzymał dłoń na jej ramieniu. W jego objęciach czuła się bezpieczna, choć jej ciało jakby zupełnie oszalało. Ciepło Marcusa przenikało do niej przez ubranie jak ożywczy, przyprawiający o zawrót głowy napój, który sprawiał, że miała ochotę stanąć na palcach i odlecieć.

Pragnie go. Zrozumiała to w jednej chwili. To pożądanie.

Nic dziwnego, że dziewczyny rujnowały sobie reputację. Słyszała o takich, które „popęłniły błąd”. Ludzie szeptali, że są rozwiązłe, że zbłądziły. Honoria nigdy tego nie rozumiała. Dlaczego ktoś miałby poświęcić bezpieczne życie dla jednej namiętnej nocy?

Teraz wiedziała. I też tego pragnęła.

– Honorio? – Głos Marcusa dotarł do jej uszu jak spadające gwiazdy.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że patrzy na nią zaciekawiony. Muzyka już się rozpoczęła, ale ona nawet nie drgnęła.

Przechylił głowę, jakby chciał o coś zapytać. Ale nie musiał nic mówić, a ona odpowiadać. Wystarczyło, że ścisnęła mu dłoń i zaczęli tańczyć.

Muzyka opadała i wznosiła się, a Honoria pozwalała się prowadzić Marcusowi. Nie spuszczała oczu z jego twarzy. Muzyka unosiła ją i spowijała. Dziewczyna dopiero teraz zrozumiała, na czym polega taniec. Jej stopy poruszały się w idealnym rytmie walca – raz–dwa–trzy, raz–dwa–trzy – a serce wzbijało się do nieba. Zjednoczyła się z muzyką, a kiedy ta umilkła, kiedy oddzielili się od siebie i dygnęła w odpowiedzi na jego ukłon, poczuła się z czegoś ograbiona.

– Honorio? – cicho zapytał Marcus. Wyglądał na zatroskanego. I to nie w sensie: Dobry Boże, co zrobić, żeby mnie uwielbiała, lecz: Dobry Boże, ona zaraz się rozchoruje.

Nie wyglądał na zakochanego. Sprawiał raczej wrażenie kogoś, kto martwi się, że stoi obok osoby ciężko chorej.

Zatańczyła z nim i poczuła się całkiem odmieniona. Ona, która nie potrafiła trzymać się melodii ani rytmicznie wybijać stopą rytmu, w jego ramionach była jak zaczarowana. W tańcu było jej dobrze jak w niebie i wprost umierała na myśl, że on tego nie czuje.

Co do tego miała pewność. Ona ledwo stała, a on... Wyglądał normalnie.

To ten sam Marcus, który uważa ją za obowiązek. Może nie całkiem nieprzyjemny, ale jednak obowiązek. Wiedziała, dlaczego nie może się doczekać przyjazdu Daniela do Anglii. Będzie wtedy mógł wyjechać z Londynu i wrócić na wieś, gdzie czuje się o wiele lepiej.

Będzie wolny.

Znów wymówił jej imię i jakoś udało jej się wyrwać z zamyślenia.

– Marcus, dlaczego tu jesteś? – spytała nagle. Chwilę patrzył na nią osłupiały.

– Zostałem zaproszony – odparł lekko wzburzony.

– Nie. – Bolała ją głowa, marzyła, żeby potrzebować sobie oczy, a najbardziej chciało jej się płakać. – Nie na tym balu. W Londynie.

Zerknął na nią podejrzliwie.

– Dlaczego pytasz?

– Bo nie znosisz Londynu.

Poprawił fular.

– Nie to, że nie znoszę...

– Nie znosisz sezonu – przerwała. – Przecież mi to powiedziałaś.

Zaczął coś mówić i w połowie sylaby przestał. Wtedy Honoria przypomniała sobie: jest okropnym kłamcą. Zawsze taki był. Kiedyś we dwójkę z Danielem ściągnęli z sufitu żyrandol. Honoria do tej pory nie wiedziała, jak tego dokonali. Gdy lady Winstead kazała im się przyznać, Daniel skłamał jej prosto w oczy i to z takim wdziękiem, że Honoria widziała, że matka nie jest pewna, czy czasem nie mówi prawdy.

Marcus natomiast poczerwieniał i zaczął skubać sobie kołnierzyk, jakby go swędziało szyja.

Zupełnie tak samo jak teraz.

– Mam tu... obowiązki – odparł zakłopotany.

Obowiązki.

– Rozumiem – wydusiła.

– Honorio, nic ci nie jest?

– Nic – rzuciła ostro. Nienawidziła siebie za tę irytację. To nie jego wina, że Daniel go obciążył... no cóż, nią. Nawet nie jego wina, że się zgodził. Każdy dżentelmen tak by zrobił.

Marcus stał spokojnie, ale spoglądał to w lewo, to w prawo, zupełnie jakby szukał powodu, dla którego Honoria tak dziwnie się zachowuje.

– Jesteś zła – powiedział trochę pojednawczo, a może trochę z wyższością.

– Nie – odcięła się.

Większość osób uznałaby, że mówi ze złością, ale Marcus popatrzył tylko na nią z tym swoim nieznośnym spokojem.

– Nie jestem zła – burknęła, bo jego milczenie to na niej wymusiło.

– Oczywiście, że nie.

Drgnęła. Tym razem potraktował ją protekcjonalnie. Wszystko inne może sobie wymyśliła, ale nie to.

Krótko i węzłowato. Jak zwykle. Marcus nigdy nie robi sceny.

– Źle się czuję – wyznała.

Przynajmniej teraz mówiła prawdę. Bolała ją głowa, było jej za gorąco, a to wszystko wytrąciło ją z równowagi, więc chciała tylko iść do domu i zakopać się w łóżku pod kołdrą.

– Wezmę cię na dwór – odparł sztywno i położył jej dłoń na plecach, aby zaprowadzić ją do przeszklonych drzwi do ogrodu.

– Nie – powiedziała, a słowo to zabrzmiało przesadnie głośno i zgrzytliwie. – To znaczy... nie, dziękuję. – Przełknęła ślinę. – Chyba wrócę do domu.

Skinął głową.

– Znajdę twoją mamę.

– Sama ją znajdę.

– Z przyjemnością ją...

– Umiem radzić sobie sama – wybuchła. Dobry Boże! Nienawidziła dźwięku własnego głosu. Nie potrafiła odpowiednio się zachować. I nie mogła tego zmienić. – Nie chcę być dla ciebie ciężarem.

– Co ty opowiadasz?

Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie, więc powiedziała tylko:

– Chcę iść do domu.

Patrzył na nią przez chwilę, która dla niej była wiecznością, a potem sztywno się uklonił.

– Jak sobie życzysz. –I odszedł.

Więc wróciła do domu. Tak jak chciała. Dostała dokładnie to, o co prosiła.

I czuła się okropnie.

TTLR

*Dzień koncertu,  
sześć godzin przed występem*

Gdzie jest Sarah?

Honorcia podniosła wzrok znad nut. Na marginesie miała notatki. Wszystko, co napisała, było bez sensu, ale dawało jej złudzenie, że choć trochę wie, co robi, więc na każdej stronie koniecznie musiała zrobić uwagi.

Na środku pokoju muzycznego stała Iris.

– Gdzie jest Sarah? – powtórzyła.

– Nie wiem. – Honorcia rozejrzała się. – A Daisy? Iris niecierpliwie machnęła ręką w stronę drzwi.

– Poszła doprowadzić się do porządku po podróży. Nie martw się o nią. Za nic w świecie nie zrezygnowałaby z występu.

– Nie ma Sarah?

Iris się zdenerwowała.

– A widzisz ją?

– Iris!

– Przepraszam. Nie chcę być niemiła, ale gdzie się ona, do diabła, podziewa?

Honorcia prychnęła zirytowana. Iris nie ma większych zmartwień?

Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę przed mężczyzną, którego kocham (co wiedziała od niedawna), stwierdziła.

Minęły trzy dni i sama myśl o tym wytrącała ją z równowagi.

Nie potrafiła sobie dokładnie przypomnieć słów, które powiedziała. Pamiętała tylko straszny ton swego głosu – zduszony, nerwowy. Pamiętała, jak jej mózg prosił usta, aby przestały mówić, a usta nie chciały słuchać.



Zachowała się idiotycznie, więc jeśli on przedtem traktował ją jak obowiązek, teraz stała się dla niego pewnie kulą u nogi.

Nawet jeszcze zanim zaczęła gadać głupstwa i dała tak się ponieść emocjom, że jej zachowanie uzasadniało poglądy mężczyzn o kobietach jako istotach humorzastych, też zachowała się jak idiotka. Tańczyła z nim tak, jakby zależało od niego jej zbawienie, patrzyła na niego, jej oczy zdradzały uczucia do niej, a on...

Milczał. Nic nie powiedział. Tylko jej imię. A potem spoglądał na nią, jakby zzieleniała. Pewnie myślał, że zwymiotuje i zniszczy mu następne porządne buty.

To było trzy dni temu. Trzy dni. Bez słowa.

– Powinna przyjechać co najmniej dwadzieścia minut temu – utyskiwała Iris.

– On powinien był przyjść dwa dni temu – mruknęła na to pod nosem Honoria.

Iris gwałtownie się odwróciła.

– Co powiedziałaś?

Honoria szybko ochłonęła.

– Może na drodze jest duży ruch? – zapytała.

– Mieszka tylko pół mili stąd.

Honoria z roztargnieniem kiwnęła głową. Popatrzyła na notatki, które zrobiła na drugiej stronie nut, i stwierdziła, że napisała tam imię Marcusa. Dwa razy. Nie, trzy. Obok półnuty z kropką w małych zakrętach ukryła jego inicjały: M.H. Dobry Boże. Jest żałosna.

– Honorio! Honorio! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Znowu Iris. Honoria omal nie jęknęła.

– Jestem pewna, że za chwilę tu będzie – odezwała się pojednawczo.

– Serio? – ostro spytała Iris. – Bo ja nie. Wiedziałam, że mi to zrobi.

– Co?

– Nie rozumiesz? Nie przyjedzie.

Honorcia wreszcie podniosła oczy.

– Nie wygłupiaj się. Sarah nigdy by tak nie postąpiła.

– Naprawdę? – Iris spojrzała na nią z absolutnym niedowierzaniem. I spanikowana. – Naprawdę?

Honorcia wlepiła w nią wzrok, a potem:

– O mój Boże!

– Mówiłam, że nie powinnaś była wybierać kwartetu numer jeden. Sarah nieźle gra na fortepianie, ale ten utwór jest dla niej zdecydowanie za trudny.

– Dla nas też jest trudny – cicho odparła Honorcia.

Zaczynało ją mdlić.

– Nie tak trudny, jak partia fortepianowa. A poza tym tak naprawdę nie ma znaczenia, jak trudne są partie na skrzypce, bo... – Iris przerwała. Przełknęła ślinę i się zaczerwieniła.

– Nie uda ci się mnie urazić. Wiem, że gram strasznie. I wiem, że Daisy robi to jeszcze gorzej. Nie ma znaczenia, co gramy. I tak wyjdzie nam beznadziejnie – stwierdziła Honorcia.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Iris zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. – Nie potrafię uwierzyć, że mogła coś takiego zrobić.

– Jeszcze przecież nie wiemy, że nie będzie grała – zauważyła Honorcia.

Iris okręciła się na pięcie.

– Czyżby?

Honorcia speszona przełknęła ślinę. Iris miała rację. Sarah nigdy wcześniej nie spóźniła się na próbę dwadzieścia... nie, teraz już dwadzieścia pięć minut.

– To by się nie zdarzyło, gdybyś nie wybrała tak trudnego utworu – oskarżyła ją Iris.

Honorcia poderwała się.

– Tylko mnie nie obwiniaj! To nie ja cały poprzedni tydzień narzekałam na... No, nieważne. Jestem tu, a ona nie, i nie rozumiem, dlaczego to ma być moja wina.

– Oczywiście, że nie twoja. – Iris pokręciła głową. – Tyle że... Ojej! – głośno krzyknęła ze złości i rozpacz. – Nie mogę uwierzyć, że mi coś takiego zrobiła.

– Nam – cicho przypomniała jej Honorcia.

– Tak, ale to ja nie chciałam występować. Tobie i Daisy było wszystko jedno.

– Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

– Nie wiem – jęknęła Iris. – Miałyśmy to robić wspólnie. Tak mówiłaś. Codziennie to powtarzałaś. I jeśli mam upokorzyć się przed absolutnie wszystkimi, których znam, to Sarah też.

W tym momencie weszła Daisy.

– Co tu się dzieje? – zapytała. – Dlaczego Iris tak się denerwuje?

– Sarah nie przyjechała – wyjaśniła Honorcia.

Daisy popatrzyła na zegar na kominku.

– Bardzo nieładnie z jej strony. Spóźniła się już prawie pół godziny.

– Nie przyjedzie – oświadczyła Iris.

– Nie wiemy tego na pewno – zaprotestowała Honorcia.

– Co to znaczy, nie przyjedzie? – jak echo powtórzyła Daisy. – Nie może nie przyjechać. Jak zagramy kwartet fortepianowy bez fortepianu?

W pokoju zapadła długa cisza.

– Daisy, jesteś genialna – westchnęła Iris.

Daisy zrobiło się miło, ale i tak zapytała:

– Tak?

– Możemy odwołać występ!

– Nie. – Daisy szybko pokręciła głową i zwróciła się do Honorii. – Nie chcę go odwoływać.

– Nie mamy wyboru – ciągnęła Iris, a oczy pojaśniały jej z radości. – Tak jak mówiłaś. Nie da się zagrać kwartetu fortepianowego bez fortepianu. Sarah jest wspaniała.

Honorii nie była jednak o tym przekonana. Uwielbiała Sarah, ale trudno było jej sobie wyobrazić, że mogłaby zaplanować coś takiego, zwłaszcza w tej sytuacji.

– Naprawdę myślisz, że zrobiła to, żeby odwołać cały występ?

– Nie wiem, dlaczego to zrobiła – szczerze powiedziała Iris. – Jestem tak szczęśliwa, że mogłabym... – Na chwilę dosłownie odjęło jej mowę. – Jestem wolna! Jesteśmy wolne! Jesteśmy...

– Dziewczęta! Dziewczęta!

Iris umilkła i wszystkie odwróciły się w stronę drzwi. Matka Sarah – ich ciotka Charlotte – reszcie świata znana jako lady Pleinsworth – wparowała do pokoju, a za nią weszła młoda ciemnowłosa kobieta w bardzo prostej sukni. Guwernantka.

Honorii się zaniepokoiła.

Nie z powodu nieznanego. Wyglądała na osobę bardzo miłą, choć może trochę speszoną tym, że wciągnięto ją w rodzinną sprzeczkę. Ale ciotka Charlotte miała przerażający błysk w oczach.

– Sarah jest chora – oznajmiła.

– No nie! – krzyknęła Daisy i gwałtownie usiadła. – I co teraz zrobimy?

– Ja ją zabiję – mruknęła Iris do Honorii.

– Oczywiście nie możemy dopuścić do odwołania koncertu –ciągnęła ciotka Charlotte. – Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby doszło do czegoś tak strasznego.

– Ani jej – burknęła pod nosem Iris.

– Najpierw pomyślałam, że możemy zerwać z tradycją i poprosić jedną z naszych byłych uczestniczek, aby zagrała z grupą, ale pianistki nie miałyśmy od czasu, kiedy Philippa grała na koncercie w roku 1816.

Honorja z przerażeniem spojrzała na ciotkę. Naprawdę pamięta takie szczegóły, czy to gdzieś sobie zapisała?

– Philippa oczekuje dziecka – powiedziała Iris.

– Wiem – odparła ciotka Charlotte. – Jeszcze niecały miesiąc; biedactwo strasznie przytyła. Może udałoby jej się zagrać na skrzypcach, ale w żaden sposób nie zmieściłaby się przy fortepianie.

– A kto grał przed Philippą? – zapytała Daisy.

– Nikt.

– Niemożliwe – obruszyła się Honorja. Przez osiemnaście lat koncertów Smythe–Smithowie przygotowali tylko dwie pianistki?

– Ale tak właśnie jest. Byłam równie zdziwiona jak ty – przyznała ciotka Charlotte. – Dla pewności przejrzałam wszystkie programy. Przeważnie występowały dwie skrzypaczki, altówka i wiolonczela.

– Kwartet smyczkowy – odezwała się Daisy. – Cztery klasyczne instrumenty.

– W takim razie odwołujemy koncert? – zapytała podniecona Iris.

Honorja zgromiła ją spojrzeniem.

– Wykluczone. – Ciocia Charlotte wskazała kobietę, która przy niej stała. – To jest panna Wynter. Zastąpi Sarah.

Wszystkie odwróciły się w stronę ciemnowłosej kobiety, która w milczeniu stała z boku, tuż za ciocią Charlotte. Była, krótko mówiąc, przepiękna. Wręcz ideał – od błyszczących włosów po białą jak mleko cerę. Twarz miała w kształcie serca, usta pełne, różowe, a rzęsy tak długie, że jeśli zbyt szeroko otworzyłaby oczy, na pewno dotknęłaby brwi.

– No cóż – mruknęła Honoria do Iris – przynajmniej nikt nie będzie patrzył na nas.

– To nasza guwernantka – wyjaśniła ciocia Charlotte.

– Umie grać? – zapytała Daisy.

– Nie przyprowadziłabym jej, gdyby nie umiała – obruszyła się ciotka.

– To trudny utwór – nie ustępowała Iris. – Bardzo trudny utwór. Bardzo, bardzo...

Honoria szturchnęła ją w bok.

– Zna go – powiedziała ciocia Charlotte.

– Naprawdę? – spytała Iris. Z niedowierzaniem i... z rozpaczą zwróciła się do panny Wynter: – Tak?

– Niezbyt dobrze – przyznała panna Wynter – ale grałam kilka jego części.

– Wydrukowano już programy – naciskała Iris. – Jest w nich Sarah.

– Nieważne – z irytacją odparła ciocia Charlotte. – Od razu na początku zapowiemy zmianę. W teatrze bardzo często tak robią. – Machnęła ręką w stronę panny Wynter, niechcący uderzając ją w ramię. – Możemy uznać ją za dublerkę Sarah.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Honoria zrobiła krok do przodu.

– Witamy – powiedziała stanowczym tonem, tak by Iris i Daisy zrozumiały, że mają iść za jej przykładem, albo źle się to dla nich skończy. – Bardzo miło mi panią poznać.

Panna Wynter lekko dygnęła.

– A mnie panią, ech...

– Przepraszam. Nazywam się Honoria Smythe–Smith, ale jeśli mamy grać razem, proszę mówić do nas po imieniu. – Wskazała na kuzynki. – To jest Iris, a to Daisy. Też Smythe–Smith.

– Jak ja kiedyś – wtrąciła ciocia Charlotte.

– Anne – przedstawiła się panna Wynter.

– Iris gra na wiolonczeli – ciągnęła Honoria – a my z Daisy jesteśmy skrzypaczkami.

– Zostawię was, żebyście mogły zacząć próbę. – Ciocia Charlotte skierowała się w stronę drzwi. – Macie przed sobą pracowite popołudnie.

Cztery muzykujące dziewczęta poczekały, aż wyszła, a potem Iris doskoczyła do Anne.

– Nie jest naprawdę chora, prawda?

Anne spłoszyła się, najwyraźniej zdziwiona agresją w głosie Iris.

– Słucham?

– Sarah! – rzuciła Iris napastliwie. – Udaje. Przecież wiem.

– Trudno mi powiedzieć – bardzo dyplomatycznie odparła Anne. – Nawet jej nie widziałam.

– Może ma wysypkę – zasugerowała Daisy. – Nie chciałaby, żeby ktoś ją widział krostowatą.

– Mnie udobruchałoby tylko trwałe kalectwo – burknęła Iris.

– Iris! – zbeształa ją Honoria.

– Niezbyt dobrze znam lady Sarah. Pracuję dopiero od roku, a lady Sarah nie potrzebuje guwernantki – wyjaśniła Anne.

– I tak by ciebie nie słuchała – stwierdziła Daisy. – Chyba nie jesteś od niej nawet starsza?

– Daisy! – krzyknęła Honoria. Mój Boże, tak często muszę rugać te moje kuzynki.

Daisy wzruszyła ramionami.

– Jeśli mówi do nas po imieniu, to mogę chyba zapytać, ile ma lat?

– Od ciebie na pewno jest starsza, co znaczy, że nie, nie możesz jej zapytać – oświadczyła Honoria.

– Nieważne. – Anne lekko uśmiechnęła się do Daisy. – Mam dwadzieścia cztery lata. Zajmuję się Harriet, Elizabeth i Frances.

– Boże, dopomóż jej – mruknęła Iris.

Honoria nie mogła jej skarcić. Trzy młodsze siostry Sarah, każda z osobna, były bardzo mile. Ale razem... Nie bez powodu w domu Pleinsworthów zawsze coś się działo.

Westchnęła.

– Trzeba by zacząć próbę.

– Muszę was ostrzec – powiedziała Anne. – Nie jestem zbyt dobra.

– Nie szkodzi. My też nie.

– To nieprawda! – zaprotestowała Daisy.

Honoria nachyliła się tak, że pozostałe dziewczęta nie słyszały, co mówi.

– Iris jest dość utalentowana, a Sarah była niezła, ale my z Daisy gramy tragicznie – szepnęła do ucha pannie Wynter. – Radzę ci zrobić dobrą minę i jakoś to przetrwać.

Anne sprawiała wrażenie zaniepokojonej. Honoria wzruszyła tylko ramionami. Anne musi zrozumieć, na czym polega występ na koncercie Smythe-Smithówien.

Bo inaczej zwariuje.

Marcus przyszedł na wieczorny koncert wcześniej, chociaż nie był pewny, czy po to, aby zająć miejsce z przodu, czy z tyłu. Przyniósł kwiaty –



nie szafirki, i tak nigdzie ich nie było, ale tuzin radośnie kolorowych tulipanów z Holandii.

Nigdy przedtem nie kupił kobiecie kwiatów. Świadomość tego sprawiła, że głęboko zastanawiał się nad tym, co do tej pory zrobił ze swoim życiem.

Myślał o tym, żeby nie iść na koncert. Honoria tak dziwnie zachowywała się na balu urodzinowym lady Bridgerton. Najwyraźniej była na niego o coś zła. Nie miał pojęcia o co, a nawet czy to ważne. A w dodatku, kiedy po raz pierwszy ją odwiedził po powrocie do Londynu, była wobec niego dziwnie oschła.

Za to, kiedy tańczyli...

Było jak w bajce. Przysięgłby, że ona też to czuła. Reszta świata po prostu przestała istnieć – tylko oni dwoje wśród feerii rozmazanych kolorów i dźwięków. Nawet ani razu nie nadepnęła mu na nogę – niezwykle!

Ale może to wszystko mu się zdawało. Lub najzwyczajniej było uczuciem jednostronnym, bo kiedy muzyka ucichła, Honoria zrobiła się oschła i szorstka. Powiedziała, że źle się czuje, ale odrzuciła jego ofertę pomocy.

Nigdy nie zrozumie kobiet. Myślał, że ona może być wyjątkiem, ale nie. Od trzech dni usiłował znaleźć powód takiego jej zachowania. W końcu jednak uznał, że nie może opuścić koncertu. Jak wyjaśniła Honoria, przeszedł on do tradycji. Od czasu kiedy Marcus stał się pełnoletni i sam mógł przyjeżdżać do Londynu, był na koncercie co roku. Gdyby nie pojawił się po tym, jak jej wcześniej powiedział, że tak szybko po chorobie przyjechał do Londynu specjalnie na koncert – uznałaby to za policzek.

Nie mógł tego zrobić. Nie miało znaczenia, że jest na niego zła. Nie miało znaczenia, że on jest zły na nią i uważa, że jak najbardziej słusznie.

Zachowała się dziwnie i nieprzyjaźnie, i w dodatku w żaden sposób nie wytłumaczyła dlaczego.

Są przyjaciółmi. Nawet jeśli nigdy go nie pokocha, będzie jego przyjaciółką, a on nie potrafi celowo sprawić jej przykrości, wolałby już odrąbać sobie prawą rękę.

Może dopiero niedawno się w niej zakochał, lecz zna ją od piętnastu lat... Piętnaście lat, aby poznać jej serce. Nie zmieni o niej zdania z powodu jednej dziwnej nocy.

Skierował się w stronę sali muzycznej, w której wrzało jak w ulu, bo służący przygotowywali ją do koncertu. Chciał tylko zobaczyć się na chwilę z Honorią, może szepnąć jej słowo otuchy przed występem.

Do diabła, to on potrzebuje otuchy! Będzie mu bardzo przykro siedzieć i patrzeć, jak na najważniejszym koncercie swojego życia Honoria poświęca się, by zadowolić rodzinę.

Sztywno stanął z boku; żałował, że tak wcześnie przyszedł. Przedtem uznał to za dobry pomysł, ale teraz nie rozumiał dlaczego. Nigdzie nie spostrzegł Honorii. Powinien był to przewidzieć; razem z kuzynkami na pewno stroiła instrumenty gdzieś w innej części domu. Służący dziwnie na niego patrzyli, jakby chcieli powiedzieć: Co pan tu robi?

Podniósł brodę i rozejrzał się po sali – miał taki zwyczaj. Prawdopodobnie sprawiał wrażenie znudzonego i na pewno wyglądał wyniośle, lecz to tylko pozory.

Przypuszczał, że nikt z pozostałych gości nie przyjedzie jeszcze przez co najmniej trzydzieści minut. Zastanawiał się, czy może poczekać w salonie, na pewno pustym. Wtedy dojrzał jednak coś różowego i stwierdził, że to lady Winstead, która biega po pokoju niezwykle, jak na nią, zdenerwowana. Kiedy go zobaczyła, natychmiast szybko do niego podeszła.

– Dzięki Bogu, że jesteś – zawołała.

Przyjrzał się jej, ależ zaaferowana!

– Coś się stało?

– Sarah zachorowała.

– Bardzo mi przykro – powiedział uprzejmie. – Ale to nic groźnego?

– Nie mam pojęcia – odparła lady Winstead trochę niegrzecznie, biorąc pod uwagę, że mówiła o zdrowiu swojej siostrzenicy. – Nie widziałam jej. Wiem tylko, że nie przyjechała.

Serce w nim zamarło.

– Trzeba odwołać koncert?

– Dlaczego wszyscy wciąż o to pytają? No, nieważne. Oczywiście, że nie możemy go odwołać. Podobno guwernantka Pleinsworthów umie grać, więc zastąpi Sarah.

– Więc wszystko jest w porządku – odchrząknął. – Prawda?

Popatrzyła na niego jak na niedorozwinięte dziecko.

– Nie wiemy, czy guwernantka się nadaje.

Nie widział związku między umiejętnościami guwernantki a jakością koncertu, ale powstrzymał się od uwag, wymruczał tylko coś w rodzaju:

– No cóż – lub – no właśnie.

Tak czy inaczej, chciał się odezwać, a jednak nic nie powiedzieć.

To najważniejsze w tych okolicznościach.

– To nasz osiemnasty koncert, wiesz? – zapytała lady Winstead.

Nie wiedział.

– Zawsze odnosiliśmy sukces i nagle coś takiego.

– Może guwernantka jest bardzo utalentowana – starał się ją pocieszyć.

Lady Winstead spojrzała na niego zniecierpliwiona.

– Talent się nie liczy, jeśli ktoś ma tylko sześć godzin na ćwiczenie.

Marcus zrozumiał, że ich rozmowa ograniczy się do powtarzania w kółko tego samego, więc uprzejmie zapytał, czy może jakoś pomóc w przygotowywaniu koncertu. Spodziewał się usłyszeć „nie”, co oznaczałoby, że będzie mógł odejść, by spokojnie wypić w salonie kieliszek brandy.

Ku jego kompletnemu zaskoczeniu i, trzeba uczciwie powiedzieć, przerażeniu, szybko chwyciła jego dłoń.

– Tak!

Zamarł.

– Słucham?

– Czy mógłbyś zanieść dziewczętom lemoniadę?

Chciała, żeby... Co?!

– Wszyscy są zajęci. Wszyscy. – Zamachała rękami, jakby pragnęła to zademonstrować. – Służący już trzy razy przestawiali krzesła.

Marcus rozejrzał się po sali – co za problem ustawić dwanaście równych rzędów?

– Prosi pani, żebym zaniósł im lemoniadę – powtórzył.

– Na pewno chce im się pić – wyjaśniła.

– Ale nie śpiewają? – Mój Boże. To by dopiero było straszne.

Z irytacji zacisnęła usta.

– Oczywiście, że nie. Ale cały dzień ćwiczyły. To ciężka praca. Grasz?

– Na instrumencie? Nie. – Była to jedna z nielicznych umiejętności, których ojciec nie kazał mu opanować.

– No, więc nie zrozumiesz. Biedne dziewczęta na pewno umierają z pragnienia.

– Lemoniada – powtórzył, zastanawiając się, czy zanieść ją na tacy. – Znakomicie.

Uniosła brwi, trochę zła, że jest tak nierozgarnięty.

– Chyba masz siłę unieść dzbanek?

Zniewaga była zbyt wielka, żeby go oburzyć.

– Myślę, że sobie poradzę. Jak najbardziej – odparł oschle.

– Dobrze. Stoi tam. – Wskazała na stół z boku. – A Honoria jest za tamtymi drzwiami. – Pokazała za siebie.

– Tylko Honoria?

– Oczywiście, że nie. Cały kwartet.

Odeszła i zajęła się wydawaniem poleceń lokajom i wypytywaniem pokojówek – wychodziła ze skóry, aby organizować coś, co zdaniem Marcusa było dobrze zorganizowane.

Podszedł do stolików z napojami i wziął dzbanek z lemoniadą. Nie wystawiono jeszcze szklanek. Czy lady Winstead czasem nie każe mu wlewać dziewczętom lemoniady prosto do gardeł?

Uśmiechnął się. Zabawny pomysł!

Z dzbankiem w ręce poszedł w stronę drzwi, które mu wskazała lady Winstead. Zachowywał się cicho, aby nie przeszkadzać w ewentualnej próbie.

Ale próby nie było.

Zobaczył natomiast kobiety, które kłóciły się, jakby od tego zależały losy świata. A właściwie kłóciły się tylko trzy. Siedząca przy fortepianie – zapewne guwernantka – rozsądnie trzymała się od tego z daleka.

To niezwykle, jak Smythe–Smithówny potrafiły spierać się bez podnoszenia głosu. Pewnie nakazywała im to intuicja, gdyż wiedziały, że do sali obok mogą już przychodzić goście.

– Gdybyś tylko się uśmiechnęła, Iris, byłoby o wiele łatwiej – narzekala Honoria.

– Dla kogo? Dla ciebie? Bo nie dla mnie.

– Wszystko mi jedno, czy się uśmiechnie. Dla mnie może już nigdy się nie uśmiechać. Jest zła – oświadczyła druga.

– Daisy! – krzyknęła Honoria.

Daisy zmrużyła oczy i zmierzyła Iris wściekłym wzrokiem.

– Jesteś zła.

– A ty jesteś idiotką.

Marcus spojrział na guwernantkę. Głowę miała opartą na fortepianie, więc zaczął się zastanawiać, jak długo Smythe–Smithówny już się kłóca.

– A mogłabyś postarać się uśmiechnąć? – zapytała zmęczona Honoria.

Iris ułożyła usta w tak przerażający grymas, że Marcus omal nie wyszedł z pokoju.

– O mój Boże, nieważne – mruknęła Honoria. – Tylko tak nie rób.

– Nie potrafię udawać, że jestem w dobrym humorze, skoro myślę tylko o tym, żeby wyskoczyć przez okno.

– Okno jest zamknięte – zauważyła kpiąco Daisy.

Iris przeszyła ją jadowitym spojrzeniem.

– No właśnie.

– Proszę, nie kłóćmy się – błagała Honoria.

– Moim zdaniem gramy cudownie – stwierdziła Daisy, pociągając nosem. – Nikt nie pozna, że miałyśmy tylko sześć godzin na ćwiczenie z Anne.

Na dźwięk swego imienia guwernantka podniosła wzrok, a potem znów go spuściła, kiedy zorientowała się, że nie musi się odzywać.

Iris odwróciła się do siostry niemal z wrogością.

– Nie masz pojęcia, na czym polega dobra gra. Ej, Honorio!

– Przepraszam. To był mój łokieć?

– Szturchnęłaś mnie w żebra.

Honorcia syknęła coś do Iris, co, zdaniem Marcusa, przeznaczone było tylko dla niej, ale najwyraźniej dotyczyło to Daisy, bo Iris obrzuciła młodszą siostrę pogardliwym spojrzeniem, a potem przewróciła oczami i powiedziała:

– Dobrze.

Ponownie spojrzął na guwernantkę. Wyglądała, jakby liczyła plamy na suficie.

– Zagramy jeszcze raz na próbę? – z determinacją zapytała Honorcia.

– I tak nam to nie pomoże. – To oczywiście powiedziała Iris. Daisy zmiażdżyła ją spojrzeniem i odcięła się:

– Trening czyni mistrza.

Marcus odniósł wrażenie, że guwernantka tłumi śmiech. W końcu podniosła wzrok i zobaczyła go, jak stoi z dzbankiem lemoniady w ręce.

Podniósł palec do ust, a ona leciutko kiwnęła głową i wróciła do fortepianu.

– Gotowe? – zapytała Honorcia.

Skrzypaczki podniosły instrumenty.

Ręce guwernantki uniosły się na klawisze.

Iris żałośnie jęknęła, ale przyłożyła smyczek do wiolonczeli.

I horror się rozpoczął.

Marcus w żaden sposób nie potrafił opisać dźwięku, który wydobywał się z czterech instrumentów w sali do prób Smythe—Smithów. Zastanawiał się, czy istnieją słowa, które by to oddawały, przynajmniej w kulturalnym towarzystwie. Absolutnie nie nazwałby tego muzyką; szczerze mówiąc, bardziej przypominało to wzywanie do boju niż cokolwiek innego.

Przyjrzał się każdej z dziewcząt po kolei. Guwernantka sprawiała wrażenie szalonej. Kiedy przenosiła wzrok z klawiatury na nuty, głowa podskakiwała jej w dół i w górę. Daisy zamknęła oczy i kołysała się w rytm, no cóż, musi chyba powiedzieć: muzyki, jakby zauroczona jej pięknem. Iris była o krok od płaczu. Albo od zamordowania Daisy.

A Honoria?

Wyglądała tak pięknie, że jemu chciało się płakać. A może zamordować jej skrzypce.

Nie przypominała sobie z ubiegłorocznego koncertu. Wtedy uśmiechała się błogo, a jej oczy błyszczały namiętnością. Teraz skrzypce atakowała z ponurą determinacją. Zmrużyła oczy i zacisnęła zęby, jakby prowadziła oddział do boju.

To ona była spoiwem, dzięki któremu trzymał się ten śmieszny kwartet, a on z całego serca ją kochał.

Zamierzają przeciwżyć cały utwór? Na szczęście jednak Iris podniosła wzrok, zobaczyła go i krzyknęła:

– Ooo!

Na tyle głośno, aby przerwać próbę.

– Marcus – zawołała Honoria i mógłby przysiąc, że ucieszyła się na jego widok, choć w kwestii uczuć już sobie nie dowierzał. – Po co przyszedłeś?



Podniósł dzbanek.

– Twoja mama przysłała mnie z lemoniadą.

Chwilę stała, wpatrzona w niego, a potem roześmiała się. Iris też i nawet guwernantka zmusiła się do uśmiechu. Daisy stała jak wryta ze zdziwioną miną.

– Co w tym śmiesznego? – zapytała.

– Nic – parsknęła Honoria. – Tylko... cały ten dzień jest taki zwariowany, a teraz mama przysłała hrabiego z lemoniadą.

– Ja nie widzę w tym nic śmiesznego. Raczej coś w najwyższym stopniu nie na miejscu – oświadczyła Daisy.

– Nie zwracaj na nią uwagi. Nie ma poczucia humoru – stwierdziła Iris.

– Nieprawda!

Marcus nawet się nie poruszył. Tylko spojrzął na Honorię w poszukiwaniu wskazówki, co robić. Lekko skinęła głową, zgadzając się z Iris.

– Proszę nam powiedzieć, milordzie, co pan sądzi o naszym występie? – spytała pompatycznie Iris.

Pod żadnym pozorem nie odpowie na to pytanie.

– Przyszedłem tylko podać lemoniadę – wymigał się.

– Brawo – mruknęła Honoria i wstała, by do niego podejść.

– Mam nadzieję, że są tu jakieś szklanki, bo na stole ich nie było – zwrócił się do niej.

– Są. Możesz najpierw nalać pannie Wynter? Najbardziej się napracowała, bo dołączyła do kwartetu dopiero po południu.

Marcus mruknął coś na zgodę i podszedł do fortepianu.

– Proszę – powiedział sztywno, nieprzyzwyczajony przecież podawać napojów.

Nalał jej, a potem uprzejmie się uklonił.

– Czy się znamy? – zapytał.

Wyglądała bardzo znajomo.

– Chyba nie – odparła i szybko wzięła szklanę.

W myślach wzruszył na to ramionami i podszedł do Daisy. Mógłby uznać, że guwernantka ma twarz, która zawsze wydaje się znajoma, ale nie było to prawdą. Była porażająco piękna, a jednocześnie miała w sobie jakiś spokój i pogodę. W żadnym razie nie należała do tych kobiet, które większość matek zwykle chce zatrudnić jako guwernantkę. Lady Pleinsworth nie musiała jednak czuć się zagrożona. Nie miała synów, a jej mąż tak rzadko opuszczał Dorset, że Marcus nigdy go nie widział.

– Dziękuję, milordzie – powiedziała Daisy, kiedy nalał jej lemoniady. – Jest pan wielkim demokratą, skoro podjął się pan takiego zadania.

Nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć, więc tylko skinął głową i zwrócił się do Iris, która przewracała oczami, kpiąc sobie z siostry. Uśmiechnęła się, kiedy ją obsłużył, no i w końcu mógł wrócić do Honorii.

– Dziękuję. – Upiła łyk.

– Co teraz zrobisz?

Popatrzyła na niego pytająco.

– Z czym?

– Z koncertem, oczywiście.

– O co ci chodzi? Zagram. Co innego mogę zrobić?

Ruchem głowy wskazał guwernantkę.

– Masz idealny powód, żeby go odwołać.

– Nie mogę – wyznała i w jej głosie usłyszał żal.

– Nie musisz się poświęcać dla rodziny.

– To nie poświęcenie. To... – Uśmiechnęła się z zażenowaniem, a może i trochę ze smutkiem. – Nie wiem, co to jest, ale nie poświęcenie. – Podniosła wzrok, a oczy miała ogromne i takie ciepłe. – To moja rola.

– Ja...

Chwilę zaczekała, a potem:

– Tak?

Chciał jej powiedzieć, że jego zdaniem jest najdzielniejszą i najmniej samolubną osobą, jaką zna; że przecierpiałby tysiąc koncertów Smythe-Smithów, byle być przy niej.

Chciał powiedzieć, że ją kocha. Ale nie mógł tego zrobić tutaj.

– Nic takiego – odparł. – Po prostu cię podziwiam.

Roześmiała się cicho.

– Pod koniec wieczoru może to odwołasz.

– Nie zdobyłbym się na to, na co zdobywasz się ty.

Odwróciła się i popatrzyła na niego zdziwiona powagą w jego głosie.

– Co masz na myśli?

Nie wiedział, jak to dokładnie wyrazić.

– Nie lubię być w centrum zainteresowania – powiedział w końcu z wahaniem.

Przechyliła głowę na bok i przyglądała mu się przez chwilę.

– To prawda. Nie lubisz – przyznała. A potem: – Zawsze byłeś drzewem.

– Słucham?

Jej oczy rozszerzyły się rozmarzone.

– Pamiętasz, jak w dzieciństwie urządzaliśmy te straszne przedstawienia? Zawsze byłeś drzewem.

– Nic nie musiałem mówić.

– I mogłeś stać z tyłu.

Poczuł, że się uśmiecha, z całego serca.

– Lubię być drzewem.

– Byłeś bardzo dobrym drzewem. – Wtedy ona też się uśmiechnęła promiennym, cudownym uśmiechem. – Świat potrzebuje więcej drzew.

Pod koniec koncertu twarz bolała Honorię od uśmiechów. Uśmiechała się na początku, promieniała uśmiechem w środku, a pod koniec mogłaby trafić do dentysty, bo tak mocno szczyrzyła zęby.

Występ był pod każdym względem tak straszny, jak się obawiała. Szczerze mówiąc, był chyba najgorszym w historii występów Smythe-Smithówien, a to niełatwe. Anne całkiem nieźle radziła sobie przy fortepianie i gdyby miała na ćwiczenie więcej czasu niż zaledwie sześć godzin, pewnie zagrałaby przyzwoicie. W tej jednak sytuacji ciągle o takt lub pół taktu się spóźniała, nie nadążając za resztą kwartetu.

Co komplikowało sprawy, zwłaszcza że Daisy bez przerwy wszystkie o takt wyprzedzała.

Iris grała wspaniale, a raczej mogłaby grać wspaniale. Honoria słyszała, jak ćwiczy pojedynczo, i była tak zaszokowana jej umiejętnościami, że nie zdziwiłaby się, gdyby Iris nagle oznajmiła, że ją adoptowano.

Ale Iris była nieszczęśliwa, że musiała wejść na zaimprovizowaną scenę, więc poruszała smyczkiem bez najmniejszego zaangażowania. Plecy miała zgarbione, zbolałą minę i za każdym razem, kiedy Honoria na nią spojrzała, wyglądała tak, jakby za chwilę miała nadzieć się na szyjkę wiolonczeli.

Natomiast sama Honoria... No cóż, grała strasznie. Ale wiedziała, że tak będzie. Grała jeszcze gorzej niż zwykle. Tak skupiła się na uśmiechaniu, że często gubiła się w nutach.

Warto jednak było wystąpić. W pierwszym rzędzie słuchaczy siedziała rodzina: mama, siostry, ciotki, mnóstwo kuzynów... Wszyscy promiennie odwzajemniali jej uśmiech dumni, że podtrzymują tradycję.

I nawet jeśli reszta widowni wyglądała, jakby zbierało się jej na mdłości, to przecież wiedzieli, co ich czeka. Po osiemnastu latach nikt nie przychodził na koncert do Smythe–Smithówien nieświadomy, co go spotka.

Rozległa się burza oklasków, bez wątpienia dla uczczenia końca koncertu, a kiedy było już po wszystkim, Honoria nadal uśmiechała się i witała z tymi gośćmi, którzy odważyli się podejść do sceny, niepewna, czy utrzymają powagę podczas gratulacji dla kwartetu.

A potem, kiedy już myślała, że może przestać udawać, że wierzy wszystkim tym, którzy udawali, że koncert im się podobał, podeszła do niej jeszcze jedna osoba.

Nie Marcus, a niech go... Był pochłonięty rozmową z Felicity Featherington, najładniejszą z czterech sióstr Featherington. Honoria z wielkim wysiłkiem rozciągnęła w uśmiechu na dobre zaciśniętą już szczękę, by powitać...

Lady Danbury. Mój Boże!

Starła się jej nie bać, lecz niestety, starsza pani napawała ją strachem.

Bum, bum, stukała laską, a potem:

– Nie jest pani w tym roku nowa, prawda?

– Słucham? – Honoria nie miała pojęcia, o co jej chodzi. Lady Danbury pochyliła się w jej stronę i tak się skrzywiła, że prawie zniknęły jej oczy.

– Grała pani w zeszłym roku. Sprawdziłabym w programie, ale nigdy ich nie przechowuję. Za dużo papieru.

– No tak – powiedziała Honoria. – Nie, milady, to znaczy tak, nie jestem nowa. – Usiłowała wyplątać się z tych „nie” i „tak”, a w końcu stwierdziła, że

nie ma znaczenia, czy mówi, jak trzeba. Widziała, że lady Danbury rozumie, o co jej chodzi.

Nie mówiąc już o tym, że co najmniej połowa mózgu Honorii obserwowała Marcusa nadal pogrążonego w rozmowie z Felicity Featherington. Która, Honoria nie mogła nie zauważyć, wyglądała wyjątkowo ładnie w sukni koloru różowej prymulki i to dokładnie w takim samym odcieniu, jaki ona sama chciała kupić, zanim wyjechała z Londynu, aby zająć się chorym Marcusem.

Jest czas i miejsce na wszystko, postanowiła, nawet na małostkowość.

Lady Danbury pochyliła się nad nią i wlepiła wzrok w jej skrzypce.

– Skrzypce?

Honoria oderwała oczy od Felicity i spojrzała na lady Danbury.

– Hm, tak, milady.

Wiekowa hrabina popatrzyła na nią przenikliwie.

– Widzę, że chciała pani się odciąć, powiedzieć, że na pewno nie jest to fortepian.

– Nie, milady. – A potem, ponieważ był to tak dziwny wieczór, dodała:

– Miałam zamiar powiedzieć, że na pewno nie jest to wiolonczela.

Pomarszczona twarz lady Danbury rozciągnęła się w uśmiechu i hrabina tak głośno się roześmiała, że mama Honorii popatrzyła na nią przerażona.

– Ja z trudem odróżniam skrzypce od altówki – oznajmiła lady Danbury.

– A pani?

– Ja nie – odparła Honoria, trochę już śmielej, gdyż zaczęła wciągać ją ta rozmowa – może dlatego, że gram na skrzypcach.

„Gram” to chyba zbyt ambitne określenie, pomyślała, ale zachowała to dla siebie.

Lady Danbury głośno stuknęła laską.

– Nie wiem, kim jest dziewczyna przy fortepianie.

– To panna Wynter, guwernantka młodszych córek Pleinsworthów. Kuzynka Sarah rozchorowała się i ktoś musiał ją zastąpić. Nie ogłoszono tego? – Honoria zmarszczyła brwi.

– Może i ogłoszono, ale ja nie słuchałam.

Honoria już chciała powiedzieć, że ma nadzieję, że lady Danbury niczego innego też nie słuchała, lecz powstrzymała się od tego komentarza. Powinna udawać, że jest wesoła, a tymczasem była strasznie rozdrażniona i to głównie z powodu Marcusa, no i Felicity Featherington.

– Komu tak się pani przygląda? – przebiegle zapytała hrabina.

– Nikomu – Honoria odpowiedziała bardzo szybko.

– Więc kogo pani szuka?

Do diabła, przyczepiła się do niej jak rzep.

– Też nikogo, milady.

– Hm. On jest moim siostrzeńcem, wie pani.

Nie przeraż się, nakazała sobie Honoria.

– Przepraszam?

– Chatteris. Jestem jego praprababką, jeśli mamy to sprecyzować, choć wszystkie te „pra” sprawiają, że czuję się prastara.

Honoria popatrzyła na Marcusa, a potem znów na lady Danbury.

– Marcus, to znaczy lord Chatteris, jest pani siostrzeńcem?

– Niestety nie odwiedza mnie tak często, jak powinien.

– Cóż, nie lubi Londynu – mruknęła Honoria bez zastanowienia.

Lady Danbury zachichotała.

– Pani o tym wie, prawda?

Honoria ze złością stwierdziła, że zaczyna się czerwienić.

– Znam go prawie całe życie.

– Tak, tak – powiedziała lady Danbury chyba trochę lekceważąco. – Słyszałam o tym. A ja... – Coś przyciągnęło jej uwagę; po chwili nachyliła się z przerażającym błyskiem w oku. – Oddam pani ogromną przysługę.

– Wolałabym nie skorzystać – wykrztusiła Honoria, bo mina lady Danbury na pewno nie wróżyła nic dobrego.

– Pst. Zaufaj mi. Mam znakomite osiągnięcia w tej dziedzinie – przerwała. – No, może jedna rzecz mi się udała, a jedna niekoniecznie, ale w przyszłość patrzę z optymizmem.

– Słucham? – z rozpaczą zapytała Honoria. Lady Danbury nie zwracała na nią uwagi.

– Panie Bridgerton! Panie Bridgerton! – zawołała z entuzjazmem. Pomachała ręką, ale niestety tą z laską i Honoria musiała się wyginać, żeby nie dać sobie obciąć ucha.

Ledwie zdążyła jakoś się pozbierać, dołączył do nich przystojny mężczyzna z szatańskim błyskiem w zielonych oczach. Chwilę jej to zajęło, lecz jeszcze nim został przedstawiony, rozpoznała Colina Bridgertona, jednego ze starszych braci George'a Bridgertona. Osobiście go nie знаła, ale słyszała, że jej siostry wciąż do niego wzdychały, kiedy jeszcze były pannami. Legenda jego czaru była równie piękna, jak uśmiech.

A uśmiechał się do niej. Honoria poczuła, jak ściska ją w żołądku, szybko się jednak opanowała. Gdyby nie zakochała się tak beznadziejnie w Marcusie (on miał uśmiech znacznie bardziej subtelny, a zatem zdecydowanie bardziej wymowny), uznałaby go niewątpliwie za mężczyznę niebezpiecznego.

– Nie było mnie w kraju – gładko wyrecytował pan Bridgerton po tym, jak pocałował ją w rękę – więc nie pamiętam, czy zostaliśmy sobie przedstawieni.



Honorio kiwnęła głową i właśnie miała odpowiedzieć jakimś banałem, kiedy zobaczyła, że ma zabandażowaną rękę.

– Mam nadzieję, że nie jest pan ciężko ranny – rzuciła uprzejmie.

– Aaa, to? – Podniósł rękę. Mógł poruszać palcami. – Nic takiego.

Drobny wypadek z nożem do otwierania listów.

– Proszę obserwować, czy nie wda się zakażenie – powiedziała Honorio nieco bardziej stanowczo, niż było *de rigueur*. – Jeśli rana zaczerwieni się, spuchnie, a co gorsza zrobi się żółta, musi pan natychmiast iść do lekarza.

– A jak się zrobi zielona? – zażartował.

– Słucham?

– Wymieniła pani tyle kolorów, których mam się wystrzegać...

Przez chwilę Honorio patrzyła na niego bez słowa. Zainfekowana rana to nie żarty.

– Lady Honorio? – szepnął.

Postanowiła zachowywać się tak, jakby nic nie powiedział.

– Najważniejsze, żeby pan uważał na czerwone pręgi, które mogą odchodzić od rany. Są groźne.

Zamrugnął, ale jeśli zaskoczył go obrót rozmowy, nie pokazał tego po sobie. Spojrzał tylko z ciekawością na swoją rękę.

– Mocno czerwone? – zapytał.

– Słucham?

– Jak mocno czerwone muszą być te pręgi, żebym musiał zacząć się nimi martwić?

– Skąd u pani taka znajomość medycyny? – wtrąciła się lady Danbury.

– Wie pan, nie jestem pewna, jak mocno muszą być czerwone. Myślę, że wszystko, co przypomina pręgi, należy traktować jako ostrzeżenie – wyjaśniła

mu Honoria, po czym zwróciła się do lady Danbury. – Niedawno pomagałam komuś, kto miał bardzo zainfekowaną ranę.

– Ręka? – mruknęła lady Danbury. Honoria nie wiedziała, o co jej chodzi.

– Czy ta pani miała ranę na rękę? Na ramieniu? Na nodze? Najważniejsze są szczegóły, dziecino. – Stuknęła laską, omal nie trafiając pana Bridgertona w stopę. – Bez nich historyjka jest nudna.

– Przepraszam, hm... na nodze. – Honoria nie widziała powodu, żeby sprostować: „pan”, a nie „pani”.

Lady Danbury przez chwilę milczała, a potem parsknęła śmiechem. Honoria nie miała pojęcia dlaczego. Starsza pani stwierdziła, że musi porozmawiać z drugą skrzypaczką, i się oddaliła, a Honoria została sam na sam – o ile to możliwe w zatłoczonej sali – z panem Bridgertonem. Nie mogła się powstrzymać, by nie patrzeć, jak lady Danbury podchodzi do Daisy.

– Proszę się nie martwić, przeważnie jest nieszkodliwa – próbował uspokoić ją pan Bridgerton.

– Moja kuzynka Daisy? – spytała z powątpiewaniem.

– Nie – odparł zbity z tropu. – Lady Danbury.

Honoria przyjrzała się Daisy i lady Danbury.

– Jest głucha?

– Pani kuzynka Daisy?

– Nie, lady Danbury.

– Chyba nie.

– Ojej – Honoria wzdrygnęła się. – Ale może ogłuchnąć po rozmowie z Daisy.

Wtedy pan Bridgerton spojrzął za siebie i zobaczył, a może raczej usłyszał, jak Daisy zwraca się do lady Danbury i bardzo stara się mówić głośno i powoli. On także się wzdrygnął.

– Dobrze się to nie skończy – skomentował cicho.

Honorcia nic nie mogła zrobić. Pokręciła tylko głową.

– To prawda – szepnęła.

– Czy kuzynka dba o swoje palce u nóg?

Honorcia, zdziwiona, zamrugwała.

– Chyba tak.

– To niech lepiej uważa na laskę.

Honorcia popatrzyła na nią, akurat kiedy Daisy cicho krzyknęła, jednocześnie usiłując odskoczyć do tyłu. Niestety nie udało jej się. Laska lady Danbury przytwierdziła ją do podłogi.

Chwilę stali bez słowa. Oboje powstrzymali śmiech.

– Podobno w zeszłym miesiącu była pani w Cambridge – przerwał milczenie pan Bridgerton.

– Tak. Miałam przyjemność jeść obiad z pańskim bratem.

– Z Gregorym? Naprawdę? Uważa pani, że to przyjemność? – Ale kiedy to mówił, uśmiechał się i Honorcia natychmiast wyobraziła sobie życie w domu Bridgertonów: mnóstwo przekomarzania się i miłości.

– Był dla mnie bardzo miły.

– Zdradzić pani tajemnicę? – cicho spytał pan Bridgerton, a Honorcia stwierdziła, że w jego przypadku wypada uwierzyć plotkom: niesamowity flirciarz z niego.

– A muszę jej dotrzymać? – zapytała, lekko pochylając się do przodu.

– Zdecydowanie nie.

Rozpromieniła się.

– W takim razie, dobrze.

Tak jak ona przed chwilą pan Bridgerton też pochylił się do przodu.

– Znany jest z tego, że przy kolacji strzelał groszkiem na drugą stronę stołu.

Honorina poważnie skinęła głową.

– To było niedawno?

– Nie, już tego nie robi.

Zacisnęła usta, by się nie uśmiechnąć. Uwielbiała przekomarzać się rodzeństwa. U niej w domu przekomarzano się często, choć ona rzadko brała w tym udział. Była dużo młodsza od reszty rodzeństwa i, szczerze mówiąc, przeważnie zapominali, żeby i z nią się podroczyć.

– Mam pytanie, panie Bridgerton.

– Tak?

– Jak skonstruował katapultę?

Uśmiechnął się.

– Strzelał ze zwykłej łyżki. Ale w jego zdradliwych rękach zmieniała się nie do poznania.

Roześmiała się, a potem nagle poczuła, że ktoś trzyma ją za łokieć. Marcus.

Wyglądał na wściekłego.

Marcus nie pamiętał, kiedy ostatnio użył przemocy, ale patrząc na bezczelny uśmiech Colina Bridgertona, czuł nieprzepartą pokusę, żeby mu przyłożyć.

– Lord Chatteris – mruknął Bridgerton i przywitał go uprzejmym skinieniem głowy. Skinieniem i spojrzeniem. Gdyby Marcus był w lepszym humorze, mógłby powiedzieć, co dokładnie zirytowało go w tym spojrzeniu, ale się złościł. Przedtem miał świetny humor. Wręcz znakomity, mimo że musiał ścierpieć chyba najgorszą interpretację Mozarta, jaką kiedykolwiek poznała ludzkość.

Nieważne, że jakieś zakamarki jego uszu prawdopodobnie uległy unicestwieniu. Cała reszta Marcusa wprost pławiła się w szczęściu. Siedział na swoim miejscu i patrzył na Honorię. Jeśli podczas ostatniej próby była ponurym wojownikiem, na koncercie przeistoczyła się w radosną członkinię grupy. Cały czas się uśmiechała, a on wiedział, że nie do całego audytorium i że nie cieszy się z muzyki. Uśmiechała się do ludzi, których kocha. A on, choćby przez krótką chwilę, mógł sobie wyobrażać, że do nich należy.

W głębi serca czuł, że uśmiecha się do niego.

Ale teraz uśmiechała się do Colina Bridgertona, słynnego czarusia o roziskrzonych zielonych oczach. Mógłby to jeszcze znieść, lecz kiedy Bridgerton zaczął uśmiechać się do niej...

Nie wszystko da się znieść.

Nie mógł jednak interweniować, dopóki nie uwolnił się od Felicity Featherington, a raczej matki Felicity Featherington, która go zagadywała. Był chyba nieuprzejmy; nie, na pewno był nieuprzejmy, ale od Featheringtonów nie da się uciec subtelnie bądź taktownie.

W końcu, kiedy dosłownie wyrwał rękę z uścisku pani Featherington, ruszył w stronę Honorii, która zanosila się wesołym śmiechem ku uciezce pana Bridgertona.

Miał szczery zamiar załatwić to grzecznie. Naprawdę. Ale kiedy podchodził do Honorii, zrobiła kroczek i pod rąbkim jej sukni zamigotała czerwien satyny.

Jej czerwone buty na szczęście.

Nagle Marcus się wściekł.

Nie chciał, żeby inny mężczyzna zobaczył te buty. Nie chciał nawet, żeby inny mężczyzna o nich się dowiedział!

Patrzył, jak uwodzicielska czerwień znika pod jej suknią. Zbliżył się i powiedział, być może bardziej oziębło, niż zamierzał:

– Lady Honorio.

– Lordzie Chatteris.

Nie znosił, kiedy nazywała go lordem Chatteris.

– Miło mi cię widzieć. – Mówiła do niego uprzejmie, jak do kogoś, kogo ledwie poznała, albo do bardzo dalekiego kuzyna. –Znasz pana Bridgertona?

– Tak – odparł krótko.

Bridgerton skinął głową, a potem zrobił to Marcus. Wymiana zdań, na jaką obaj mieli ochotę, na tym się skończyła.

Marcus czekał, aż Bridgerton wymyśli jakiś powód, aby odejść. Trudno, żeby nie zrozumiał, że dokładnie tego się po nim spodziewa. Ale on był tak głupi, że stał z durnym uśmiechem, jakby nic innego nie miał do roboty.

– Pan Bridgerton mówił właśnie... – zaczęła Honorio, ale wtedy Marcus interweniował:

– Bardzo przepraszam, ale muszę porozmawiać z lady Honorio na osobności.

Jego słowa zabrzmiały głośno, bardzo dobitnie, a co więcej dokończył to, co chciał powiedzieć. Honoria zacisnęła usta i umilkła.

Pan Bridgerton zmierzył ich wzrokiem i tak długo się nie poddawał, że Marcus aż zacisnął szczękę, lecz potem, jakby nigdy nic znów stał się czarujący.

– Oczywiście. Właśnie pomyślałem, że mam wielką chęć na lemoniadę.  
– Ukłonił się, uśmiechnął i już go nie było.

Honoria odczekała, aż znajdzie się poza zasięgiem jej głosu, a potem ze złością zwróciła się do Marcusa:

– Aż trudno uwierzyć, że zachowałeś się tak niegrzecznie. Obrzucił ją surowym spojrzeniem.

– W odróżnieniu od młodszego Bridgertona ten nie jest żółtodziobem.

– Co ty opowiadasz?

– Nie powinnaś z nim flirtować.

Honoria osłupiała.

– Nie flirtowałam!

– Oczywiście, że flirtowałaś. Przyglądałem ci się.

– Wcale nie. Rozmawiałaś z Felicity Featherington.

– Która jest ó głowę niższa ode mnie. Wszystko widziałem.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to twoja ciotka go tu zawołała. Mam być niegrzeczna dla gości w moim własnym domu? Na przyjęciu, na które zostali zaproszeni? – wychrypiała Honoria, sama nie mogąc uwierzyć, że się broni.

Niegrzeczna? Niby nie, a co do zaproszenia, jej matka na pewno nie wysłała je Bridgertonom.

– Moja ciotka? – spytał.

– Lady Danbury. Twoja praprapra.

Zmierzył ją wściekłym wzrokiem.

– Prapraprapra – ciągnęła, grając mu na nerwach.

Mruknął coś pod nosem, a potem dodał głośniejszym głosem i tylko trochę uprzejmiej:

– Jest okropna.

– Ja ją lubię – buńczucznie oświadczyła Honoria.

Nic nie powiedział, ale wyglądał na porządnie rozeźlonego. A Honorii przychodziło do głowy tylko: Co się dzieje? Dlaczego jest aż tak wściekły? To przecież ona kocha się w mężczyźnie, który uważa ją za ciężar. Za kogoś, z kim co prawda można się przyjaźnić, ale jednak jest ciężarem. Nawet teraz chodzi mu zwłaszcza o dane Danielowi głupie przyrzeczenie, że odstraszy od niej mężczyzn, którzy mu się nie spodobają.

Jeśli nie chce jej pokochać, niech przynajmniej nie rujnuje jej szans u innych.

– Wychodzę – oznajmiła, bo dłużej nie mogła już tego wytrzymać. Nie chciała widzieć jego, Daisy, Iris, matki i pana Bridgertona, który w kącie popijał lemoniadę i czarował starszą siostrę Felicity Featherington.

– Dokąd? – zapytał.

Nie odpowiedziała. To nie jego interes. Wyszła z sali i nawet się nie obejrzała.

Ech, do diabła.

Marcus chętnie pobiegłby za Honorią, ale wybuchłby wtedy wielki skandal. Chciałby też, żeby nikt nie zauważył ich kłótni, ale Colin Bridgerton złośliwie się uśmiechał znad szklanki z lemoniadą, a lady Danbury miała minę, która mówiła: „Wszystko wiem i nad wszystkim panuję”, na co Marcus zwykle nie zwracał uwagi.

Tym razem miał jednak ponure przeczucie, że jego porażkę wyreżyserowała.



Wreszcie, kiedy ten straszny Bridgerton podniósł zabandażowaną łapę i ironicznie mu zasalutował, Marcus miał dość. Wyszedł tymi samymi drzwiami co Honoria. Do diabła z plotkami. Jeśli ktoś to zauważy i zrobi aferę, niech zażąda, żeby Marcus się oświadczył.

Żaden problem.

Przeszukał ogród, salon, pokój muzyczny, bibliotekę i nawet kuchnię, aż w końcu znalazł Honorię w jej sypialni, czyli miejscu, o którym nie chciał myśleć. Ale w domu Winsteadów spędził tyle czasu, że wiedział, gdzie są prywatne apartamenty, a kiedy już przeszukał wszystkie inne pokoje, no to co, do czorta? Uważała, że tam jej nie znajdzie?

– Marcus! – niemal wrzasnęła. – Co ty tutaj robisz? Najwyraźniej nie myślała, że ją tutaj znajdzie. Jego pierwsze słowa były całkiem bez sensu.

– Co się z tobą dzieje?

– Ze mną? – Szybko usiadła na łóżku i jak krab cofnęła się w stronę wezgłowia. – Co dzieje się z tobą?

– To nie ja uciekłem z przyjęcia, żeby dąsać się w kącie.

– To nie przyjęcie. To koncert.

– Twój koncert.

– I jak zechcę, będę się dąsać – mruknęła.

– Co?

– Nic. – Zmroziła go spojrzeniem i skrzyżowała ramiona na piersiach. – Nie powinieneś tu przychodzić.

Podniósł rękę dłonią do góry, jakby (z wielkim sarkazmem) chciał powiedzieć: Coś takiego!

Popatrzyła na jego dłoń, a potem na twarz.

– Co to miało znaczyć?

– Ty w mojej sypialni siedziałaś ponad pół tygodnia.

– Prawie umierałeś!

Racja, ale nie chciał jej tego przyznać.

– Musisz zrozumieć, że oddałem ci przysługę, prosząc Bridgertona, żeby odszedł.

Z wściekłości aż otworzyła usta: –Ty...

– Z takim mężczyzną nie powinnaś się zadawać – przerwał jej.

– Co?

– Możesz ciszej? – syknął.

– Nie krzyczałam, zanim tu wszedłeś – odcięła się. Zrobił krok do przodu. Nie całkiem panował nad sobą.

– To nie jest odpowiedni mężczyzna dla ciebie.

– Nie powiedziałam, że jest! Lady Danbury go zawołała.

– Okropna kobieta.

– Już to mówiłeś.

– Warto powtórzyć.

W końcu zsunęła się z łóżka.

– Co okropnego jest w tym, że przedstawiła mi Colina Bridgertona?

– Chciała, żebym był zazdrosny! – wybuchnął.

Oboje zamilkli, a potem Marcus rzucił szybkie spojrzenie na drzwi i natychmiast je zamknął.

Kiedy znów odwrócił się w stronę Honorii, stała tak nieruchomo, że widział, jak przęłyka ślinę. Oczy miała ogromne i patrzyła na niego tym swoim spojrzeniem, które zawsze wytrącało go z równowagi. W migotliwym blasku świec błyszcząły prawie jak srebro, a on poczuł się jak zahipnotyzowany.

Jest piękna. Już wcześniej to wiedział, ale jej uroda znów go uderzyła z powalającą siłą.

– Po co miałyby to robić? – zapytała cicho. Zacisnął zęby, aby nie odpowiadać, ale w końcu odparł:

– Nie wiem.

– Dlaczego uważała, że jej się to uda? – naciskała Honoria.

– Bo wydaje jej się, że jest wszechmogąca – burknął zdesperowany. Byle nie powiedzieć jej prawdy. Nie żeby nie chciał jej powiedzieć, że ją kocha, ale nie był czas po temu. I nie tak chciał jej to wyznać.

Jeszcze raz przełknęła ślinę, cała sztywna.

– Dlaczego ci się wydaje, że możesz decydować, z jakimi mężczyznami wolno mi się zadawać?

Milczał.

– Dlaczego, Marcus?

– Daniel mnie o to prosił – wydusił.

Nie wstydził się tego. Nie wstydził się nawet, że jej o tym nie powiedział. Ale nie lubił, gdy przypierano go do muru.

Honoria wzięła długi urywany oddech, a potem wypuściła powietrze. Jedną rękę przyłożyła do ust i zacisnęła oczy. Przez chwilę wydawało mu się, że zacznie płakać, ale potem zrozumiał, że w ten sposób opanowuje emocje. Smutek? Wściekłość? Nie wiedział i z jakiegoś powodu poruszyło to jego serce.

Chciał ją poznać. Chciał poznać dokładnie.

– No cóż, wkrótce wraca, więc jesteś zwolniony z obowiązku – oświadczyła w końcu.

– Nie. – Słowo to wydobyło się z niego jak przysięga, wypłynęło z głębi duszy.

Popatrzyła na niego zmieszana i zniecierpliwiona.

– Co to znaczy?

Postąpił krok do przodu. Nie zastanawiał się, co robi. Wiedział tylko, że nie może się zatrzymać.

– To znaczy, że nie. Nie chcę być zwolniony.

Otworzyła usta.

Następny krok. Serce waliło mu jak młotem, rozpalał go jakiś żar, pożądanie – i jeśli na świecie było coś oprócz niej, oprócz niego, teraz przestało dla niego istnieć.

– Pragnę cię – wyznał. Jego słowa były szczere, niemal ostre, i absolutnie, niezaprzeczalnie prawdziwe.

– Pragnę cię – powtórzył i wziął ją za rękę. – Bardzo cię pragnę.

– Marcus, ja...

– Chcę cię całować. – Palcem dotknął jej ust. – Chcę cię przytulać. – A potem, bo nie mógł już tego ani sekundy dłużej wytrzymać, wybuchnął: – Dla ciebie płonę.

Ujął jej twarz w swoje ręce, a potem ją pocałował. Pocałował z głębi tego, co w nim narastało, z ostatniego bolesnego, wyglodniałego porywu pożądania. Od chwili, kiedy zrozumiał, że ją kocha, wzbierała w nim namiętność. Pewnie była w nim zawsze, ale czekała, aż ją zauważy.

Kocha ją.

Pragnie jej.

Potrzebuje.

I to już, natychmiast.

Całe życie był idealnym dżentelmenem. Nigdy nie flirciarzem. Nigdy nie chciał być draniem. Nie znosił znajdować się w centrum zainteresowania, ale, na Boga, chce być w centrum jej zainteresowania. Łamać dobre obyczaje. Chce wziąć ją w ramiona, zanieść na łóżko, zedrzeć z niej ubranie, a potem ją uwielbiać. Chce jej pokazać wszystko to, czego nie potrafi powiedzieć.

– Honorio – przynajmniej potrafił wypowiedzieć jej imię. Może ona usłyszy w jego głosie, co czuje.

– Ja... ja... – Dotknęła jego policzka, a jej oczy szukały czegoś w jego twarzy. Rozchyliła usta, a on zobaczył, jak koniuszkiem języka szybko zwilża wargi.

Dłużej nie mógł wytrzymać. Musiał znów ją pocałować, wziąć w ramiona, poczuć jej ciało przy swoim. Gdyby powiedziała „nie”, gdyby pokręciła głową albo w jakikolwiek sposób dała znać, że tego nie chce, odwróciłby się i wyszedł z pokoju.

Ale nie zrobiła tego. Wpatrywała się tylko w niego, a oczy miała ogromne, zdziwione, więc przyciągnął ją do siebie, oplótł ramionami i pocałował, tym razem pozbywając się resztek zahamowań, które tak go ograniczały.

Pieścił jej kragłości i zagłębienia ciała. Cicho jęknęła – z rozkoszy, z pożądania – a w nim rozgorzał płomień.

– Honorio – szepnął, a jego dłonie jak szalone błędziły po jej plecach, aż do kuszącego wygięcia pośladków. Ścisnął ją i gładził, a wreszcie na jej miękkim brzuchu zaczął napierać członkiem. Kiedy go poczuła, westchnęła, jakby zdumiona, a on nie miał siły się od niej oderwać, żeby to wyjaśnić. Była niewinna i pewnie nie wiedziała, co to znaczy, kiedy jego ciało tak reaguje.

Powinien zwolnić, poprowadzić ją krok po kroku, ale nie potrafił. Są granice męskiej powściągliwości, a on je przekroczył, kiedy dotknęła jego policzka.

W jego ramionach była miękka i gibka, a choć niewyuczone, jej usta gorliwie odwzajemniały pocałunki. Uniósł ją więc i prędko zaniósł do łóżka. Położył ją delikatnie, a potem, nadal w ubraniu, położył się na niej i prawie eksplodował, czując pod sobą jej ciało.

Jej suknia miała bufiaste rękawy, które lubią damy, i Marcus szybko odkrył, że kiedy leży, są luźne i łatwo dają zsunąć się z ramion. Więc je zsunął. Oddech miał chrapliwy, lecz oderwał się od niej i pochłaniał ją wzrokiem.

– Honorio – szepnął i gdyby nie był tak bardzo napięty, może by się roześmiał. Jej imię było jedynym dźwiękiem, jaki wydobył się z niego.

Może było to jedyne słowo obdarzone znaczeniem.

Podniosła na niego wzrok. Usta miała pełne i nabrzmiące od intymnego kontaktu. Nigdy kogoś tak pięknego nie widział. Oczy płonęły jej z pożądania, a piersi falowały z każdym, coraz szybszym oddechem.

– Honorio – powtórzył, a tym razem było to pytanie, a może prośba. Usiadł, aby zrzucić frak i koszulę. Musiał poczuć powietrze na skórze, poczuć Honorię na skórze. Podniosła jedną rękę i dotknęła jego policzka, drugą położyła mu na piersiach. Wyszepiała jego imię i już było po nim.

Nie była pewna, kiedy postanowiła mu się oddać. Może kiedy wypowiedział jej imię, a ona wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. A może kiedy na nią spojrział gorącymi spragnionymi oczami i wyznał: „Dla ciebie płonę”.

Miała jednak przeczucie, że stało się to, kiedy wpadł do jej pokoju. Już wtedy coś jej mówiło, czym to się skończy. Jeśli w jakikolwiek sposób okaże, że ją kocha, a nawet że jej pożąda, będzie zgubiona. Siedziała na łóżku i zastanawiała się: wieczór popsuł się nie wiadomo dlaczego – a tu nagle Marcus był przy niej, jakby go wyczarowała.

Pokłócili się i gdyby ktoś ją w tej chwili zapytał, powiedziałyby, że chce go wygnać z pokoju i zamknąć drzwi na klucz, ale gdzieś głęboko coś zaczynało się w niej rozpalać i żarzyć. A intymność chwili zniewalała.

Tak więc, gdy przełamał bariery między nimi i powiedział: „Dla ciebie płonę”, nie mogła zaprzeczyć swojemu pożądaniu ani trochę bardziej niż temu, że oddycha. Kiedy położył ją na łóżku, pomyślała tylko, że tu jest jej miejsce, a jego – przy niej.

Należy do niej. Jakie to proste.

Zdjął koszulę i obnażył umięśniony tors. Oczywiście już go widziała bez koszuli, ale nie tak. Nie, kiedy był nad nią, a jego oczy płonęły żądzą, aby ją osiąść.

A ona tego chciała. Bardzo tego chciała. Jeśli on należy do niej, ona chętnie będzie należeć do niego. Na zawsze.

Wyciągnęła rękę i dotknęła go, podziwiając ciepło jego ciała. Czuła, jak wali mu serce, i usłyszała swój głos szepczący jego imię. Był taki przystojny, poważny, taki... dobry.

Jest dobry. Jest dobrym człowiekiem. Ma dobre serce. I mój Boże, cokolwiek jego usta robią na jej szyi – też robią to dobrze.

Kiedy tylko weszła do sypialni, zdjęła pantofelki. Tak więc teraz stopami w samych pończochach przesunęła po jego...

Roześmiała się głośno.

Marcus uniósł głowę. W oczach miał pytanie, ale też rozbawienie.

– Twoje buty – parsknęła.

Znieruchomiał, a potem spojrzał na swoje stopy.

– Och, do czorta!

Jeszcze głośniej się roześmiała.

– To nie jest śmieszne – mruknął. – To... Wstrzymała oddech.

– Śmieszne – przyznał.

Wybuchnęła tak szaleńczym śmiechem, że całe łóżko się zatrzęsło.

– Możesz je zdjąć? – wykrztusiła.

Spojrzał na nią wyniośle i przesunął się na brzeg łóżka. Kilka razy odetchnęła, aż wreszcie udało jej się powiedzieć:

– Pod żadnym pozorem nie będę ich rozcinać nożem, żebyś mógł je zdjąć.

Odpowiedzią było głośne uderzenie prawego buta o podłogę.

– Nóż nie będzie potrzebny – oświadczył.

Starła się zrobić poważną minę.

– Miło mi to słyszeć.

Upuścił na podłogę drugi but, a potem popatrzył na nią spod przymkniętych powiek, tak że cała stała się miękka.

– Mnie też – mruknął i wyciągnął się przy niej. – Mnie też.

Palcami odnalazł rząd guziczków z tyłu jej sukni i bladoróżowy jedwab jakby się rozplątał. Suknia opadła. Honoria instynktownie zakryła piersi dłońmi. Nie protestował, nie próbował ich odciągnąć. Znow ją pocałował, mocno napierając rozpalonymi, namiętymi wargami na jej usta. I z każdą chwilą, gdy pocałunek stawał się coraz głębszy, ona coraz bardziej się rozluźniała, aż nagle zrozumiała, że to nie jej dłoń obejmuje jej pierś, tylko jego.

Co za rozkosz.

Nie miała pojęcia, że jej ciało – każda część jej ciała – może być tak wrażliwe, tak spragnione.

– Marcus! – westchnęła i wygięła się, kiedy znalazł jej różowy sutek.

– Jesteś taka piękna – szepnął, a ona czuła się piękna. Kiedy na nią patrzył, kiedy jej dotykał, czuła się najpiękniejszą kobietą na świecie.

Poznawał ją ustami. Jęknęła, nogi jej się napięły i wyprostowały, palcami wczepiła mu się we włosy. Musiała się czegoś chwycić. Musiała,



inaczej odleciałyby. Albo najzwyczajniej zniknęła, rozpadła się od eksplozji ciepła i energii, która w niej krążyła.

Własne ciało wydało jej się obce, całkiem inne niż sobie wcześniej wyobrażała. Jednocześnie wszystko było tak naturalne. Jej dłonie wiedziały, dokąd zmierzać, biodra wiedziały, jak się poruszać, a kiedy jego usta schodziły coraz niżej w dół jej brzucha, wiedziała, że to wszystko jest dobre, a ona nie tylko tego pragnie, ale chce coraz bardziej. I to już, proszę.

Dłońmi mocno objął jej uda i delikatnie je rozsunął, a ona stopniała i ułożyła się, jak chciał.

– Tak... Proszę!... Marcus! – jęczała.

A potem ją pocałował. Nie spodziewała się tego i myślała, że umrze z rozkoszy. Kiedy rozsunął jej uda, wstrzymała oddech i czekała, że w nią wejdzie. Ale on ubóstwiał ją językiem, ustami, aż zaczęła wić się i dyszeć z pożądania.

– Proszę, Marcus – błagała i marzyła, żeby wiedzieć, o co. Ale cokolwiek to było, wiedziała, że on umie jej to dać. Potrafi wysłać ją do nieba, a potem ściągnąć z powrotem na ziemię, by zawsze żyła w jego ramionach.

Na chwilę się od niej oderwał, a ona omal się nie rozplakała, że już go nie czuje. Zrzucił spodnie i leżeli teraz obok siebie, twarz przy twarzy, dłoń w dłoni, a jego biodra szybko układały się między jej nogami.

Rozchyliła usta, aby wyrównać oddech. Kiedy na niego spojrzała, wpatrywał się w nią.

– Weź mnie – szepnęła.

Naparł na nią członkiem. Poczowała ból i wtedy zrozumiała: to takie trudne, bo z całej siły zaciska wszystkie mięśnie; ale jakoś udało jej się rozluźnić; z każdym ruchem wchodził w nią coraz głębiej i głębiej. Do końca.

Drżał z rozkoszy, a potem zaczął się poruszać w innym rytmie. Wślizgiwał się i wyślizgiwał – w przód i w tył. Zaczęła coś nieskładnie mówić. Może błagała go, prosiła, żeby nie przestawał, żeby zabrał ją ze sobą i dokończył, a może, żeby to się nigdy nie skończyło...

Wtedy coś się stało.

Każda, najmniejsza drobinka jej istoty zwinęła się w kłębek, a potem wybuchła jak petardy na Vauxhall. Marcus krzyknął, jeszcze jeden, ostatni raz wezbrał, eksplodował w niej i opadł z sił.

Honorcia długo nie mogła się ruszyć. Leżała i zachwycała się ciepłem ciała obok niej. Marcus naciągnął na nich miękki koc i razem stworzyli sobie własne niebo. Spletli palce, a ona nie potrafiła sobie wymarzyć spokojniejszej i piękniejszej chwili.

Będzie jej. Na zawsze. Do końca życia. Nie wspomniał o małżeństwie, ale o to się nie martwiła. To przecież Marcus. Nigdy nie porzuci kobiety po czymś takim. I pewnie tylko czeka na stosowną chwilę, żeby się oświadczyć. Lubi wszystko robić tak, jak trzeba, jej Marcus.

Jej Marcus!

Wspaniałe słowa. Oczywiście, pomyślała z błyskiem w oku, dziś wieczorem nie zachował się wcale przyzwoicie, więc może...

– O czym myślisz?

– O niczym – skłamała. – Dlaczego pytasz?

Oparł się na łokciu, tak żeby móc na nią patrzeć.

– Masz straszną minę.

– Straszną?

– Przebiegłą – poprawił się.

– Nie wiem, które określenie wolę.

Roześmiał się cicho. Przejmująco. Potem spoważniał.

– Musimy wracać.

– Wiem – westchnęła. – Zauważą, że nas nie ma.

– Mnie nie, tylko ciebie.

– Zawsze mogę powiedzieć mamie, że się rozchorowałam, że złapałam to samo, co Sarah. To znaczy nic, ale nikt oprócz Sarah tego nie wie. – Zacisnęła usta i zrobiła złośliwą minę. – I jeszcze oprócz mnie. I Iris. I pewnie panny Wynter. Ale i tak...

Znowu się roześmiał, a potem nachylił się i pocałował ją w nos.

– Gdybym mógł, zostałbym tu na zawsze.

Uśmiechnęła się – te słowa były jak pocałunek.

– Właśnie pomyślałam, że dobrze nam jak w niebie. Milczał chwilę, a potem, tak cicho, że nie była pewna, czy dobrze słyszy, szepnął:

– W niebie na pewno nie jest aż tak dobrze.

Na szczęście Honoria nie była wymyślnie uczesana. Tyle prób po południu... nie miała czasu o to zadbać. Bez trudu tak samo ułożyła włosy.

Ale fular Marcusa to całkiem inna sprawa. Mimo wielu starań nie potrafili odtworzyć jego wyrazistego skomplikowanego węzła.

– Nigdy nie będziesz mógł się pożegnać ze swoim lokajem – stwierdziła po trzeciej nieudanej próbie. – Może nawet powinieneś podnieść mu pensję.

– Powiedziałem lady Danbury, że mnie zaciął – mruknął Marcus.

Honoria zakryła usta dłonią.

– Staram się nie śmiać – powiedziała. – Bo to nie jest wcale śmieszne.

– Jest.

Zastanowiła się.

– Jest.

Patrzył na nią z uśmiechem, szczęśliwy i rozluźniony. Serce Honorii skakało z radości. Jakie to dziwne, a jednocześnie cudowne, że jej szczęście tak bardzo może zależeć od szczęścia drugiej osoby.

– Daj, spróbuję. – Chwycił końce fularu i stanął przed lustrem.

Przyglądała mu się chwilę.

– Będziesz musiał jechać do domu – oznajmiła.

Nie spuszczał oczu z odbicia fularu w lustrze.

– Nie zawiązałem jeszcze nawet pierwszego węzła.

– I nie zawiążesz.

Spojrzał na nią z wyższością – uniósł brwi i tak dalej.

– Nigdy dobrze tego nie zrobisz – stwierdziła. – Kiedy tak patrzę na ten fular i na twoje buty, zastanawiam się, czyje stroje są mniej praktyczne, kobiece czy męskie.

– Naprawdę?

Przyglądała się jego na błysk wypolerowanym butom.

– Moich butów nikt nigdy nie musiał rozcinać.

– A ja nie noszę niczego, co ma guziki na plecach.

– Tak, ale ja mogę włożyć suknię z guzikami na przodzie, a ty nie pójdziesz nigdzie bez fularu.

– W Fensmore mogę – mruknął, zmagając się z coraz bardziej pomiętym materiałem.

– Ale nie jesteśmy w Fensmore – zauważyła z uśmiechem.

– Poddaję się. – Ściągnął fular, wepchnął go do kieszeni, pokręcił głową i powiedział: – Właściwie to dobrze. Nawet gdybym zawiązał to draństwo, nie miałyby sensu wracać na przyjęcie. Wszyscy na pewno myślą, że pojechałem do domu – przerwał, a potem dodał: – O ile ktoś w ogóle o mnie pomyślał.

W sali było kilka panien na wydaniu, a co ważniejsze ich matki, więc Honoria nie wątpiła, że jego nieobecność została zauważona.

Tak czy inaczej, plan Marcusa miał sens, więc ukradkiem zeszli na dół tylnymi schodami. Honoria zamierzała przez kilka bocznych pomieszczeń dostać się do pokoju prób przy sali koncertowej; stamtąd Marcus mógł cichaczem wymknąć się wejściem dla służby. W miejscu, gdzie musieli się rozstać, spojrzął na nią i delikatnie pogładził jej policzek dłonią.

Uśmiechnęła się. Promieniała szczęściem.

– Jutro do ciebie przyjdę – obiecał.

Kiwnęła głową. A potem, bo nie mogła się powstrzymać, poprosiła:

– Pocałuj mnie na pożegnanie.

Nie musiała go namawiać. Pochylił się, ujął jej twarz w dłonie i namiętnie pocałował. Honoria poczuła, że płonie, potem się rozplywa i unosi

w powietrze. Ze szczęścia niemal się śmiała; stanęła na palcach, by nie musiał się pochylać i wtedy...

Nagle zniknął.

Ze strasznym krzykiem Marcus przeleciał na drugą stronę korytarzyka i walnął w przeciwległą ścianę.

Honorcia też krzyknęła. Jakiś intruz wszedł do domu i trzymał Marcusa za gardło. Nie miała czasu się przerazić. Bez zastanowienia skoczyła mu na plecy.

– Puszczaj – zacharczała, starając się chwycić go za ramię, żeby znów nie uderzył Marcusa.

– Na miłość boską – warknął mężczyzna. – Zejdź ze mnie, Robaczku.

Robaczku? Oniemiała.

– Daniel?

– A myślałaś, że kto, u diabła?

Mogłaby wymienić kilka osób, zwłaszcza że od lat nie było go w kraju. Nieważne, że napisał, iż zamierza wrócić; nie uznał za stosowne nikogo powiadomić kiedy.

– Daniel – powtórzyła i zsunęła mu się z pleców. Zrobiła krok do tyłu i tylko na niego patrzyła.

Wyglądał na starszego, bo oczywiście był starszy, ale nie tylko w sensie przeżytych lat. Był jakby bardziej zmęczony, znużony światem. Może to tylko kwestia niedawnej podróży. W końcu każdy byłby zmęczony po tak długiej drodze jak z Włoch do Anglii.

– Wróciłeś – powiedziała głupio.

– Tak, ale co tu się, do diabła, dzieje?

– Ja...

Podniósł rękę.

– Nie wtrącaj się, Honorio. Ale przecież zadał jej pytanie?

– Mój Boże, Daniel. – Marcus wstał z podłogi. Chwiał się lekko i rozcierał sobie głowę w miejscu, gdzie uderzył nią o ścianę. – Następnym razem postaraj się nas zawiadomić...

– Ty draniu – syknął Daniel i walnął Marcusa pięścią w policzek.

– Daniel! – wrzasnęła Honoria. Znow skoczyła mu na plecy, a raczej chciała to zrobić, bo strząsnął ją jak...

No, jak robaczka, choć to strasznie denerwujące. Zawsze był zwinny, a teraz zawładnęła nim wściekłość. Zanim się pozbierała, znow uderzył Marcusa.

– Nie chcę z tobą walczyć, Daniel – powiedział Marcus i wytarł rękawem krew z brody.

– Co, do diabła, robiłeś z moją siostrą?

– Jesteś...

Oj!

– ...szalony! – stęknął Marcus i głos mu się załamał, bo Daniel uderzył go pięścią w brzuch.

– Prosiłem, żebyś jej pilnował – warknął Daniel, a każde słowo podkreślał uderzeniem pięścią w tors Marcusa. – Jej-pil-no-wał.

– Daniel. Przestań! – błagała Honoria.

– Jest moją siostrą – syczał.

– Wiem – odwarknął Marcus. Wyraźnie zbierał się w sobie. Zamachnął się i uderzył Daniela w szczękę. – A ty...

Ale Daniel nie chciał dyskutować, przynajmniej póki Marcus nie odpowiadał na jego bardzo konkretne pytanie. Zanim Marcus zdołał skończyć zdanie, Daniel chwycił go za szyję i przycisnął do ściany.

– Co robiłeś mojej siostrze?

– Zabijesz go – wrzasnęła Honoria. Znow ruszyła do ataku. Chciała odciągnąć Daniela, ale Marcus dawał już sobie radę.

Mocno uderzył Daniela kolanem w krocze. Daniel zawył i upadł na podłogę, pociągając za sobą Honorię.

– Obaj zwariowaliście – wydyszała, próbując się oswobodzić. Ale oni nie słuchali. Równie dobrze mogłaby mówić do ściany.

Marcus podniósł dłonie do gardła i krzywił się z bólu, kiedy masował miejsce, gdzie Daniel go dusił.

– Na miłość boską, Daniel. Omal mnie nie zabiłeś.

Leżąc na podłodze, Daniel zmierzył go dzikim wzrokiem. Nadal dyszał z bólu.

– Co zrobiłeś Honorii?

– To nie... – chciała się wtrącić, powiedzieć, że to nieważne, ale Marcus jej przerwał.

– Co widziałeś?

– Nieważne, co widziałem – burknął Daniel. – Prosiłem cię, żebyś jej pilnował, a nie wykorzysty...

– Prosiłeś mnie... – ze złością wpadł mu w słowo Marcus. – Tak, pomyślmy, o co. Chciałeś, żebym pilnował twojej młodej, niezameżonej siostry. A co ja mogłem wiedzieć o wprowadzaniu w życie panny na wydaniu?

– Najwyraźniej wiedziałeś więcej, niż powinienes! – krzyknął Daniel. – Miałeś język w jej...

Honoria otworzyła usta i walnęła brata w głowę. Uderzyłaby go jeszcze raz, choćby dlatego, że w odwecie Daniel szturchnął ją w bok, ale zanim zareagowała, rzucił się na niego Marcus.



– Hhhhhhhrrrrrrrrrrrrrczzzz! – Z jego gardła wydobył się niezrozumiały bełkot, odgłos czystej, żywej wściekłości.

Honorcia ledwo zdążyła się odsunąć, a on rzucił się na człowieka, którego zawsze uważała za swojego prawdziwego, najlepszego przyjaciela.

– Na miłość boską, Marcus – dyszał Daniel między ciosami. – Co ci się, do diabła, stało?

– Nigdy więcej tak o niej nie mów – sapnął Marcus.

Daniel wymknął mu się. Chwiał się na nogach.

– Jak? To ciebie znieważałem.

– Naprawdę? – wycedził Marcus. – To masz. – Pięścią uderzył Daniela w bok twarzy. – To za tę zniewagę. A to – druga pięść w drugą stronę twarzy – za to, że ją zostawiłeś.

Bardzo to z jego strony miłe, ale Honorcia nie była pewna, czy w pełni ma rację.

– On właściwie mnie nie...

Daniel dotknął ust, z których ciekła krew.

– Oni by mnie powiesili!

Marcus pchnął go w plecy, a potem jeszcze mu dołożył.

– Mogłeś już dawno wrócić.

Honorcia wstrzymała oddech. To prawda?

– Nie – odparł Daniel i uderzył Marcusa. – Nie mogłem. A może nie wiesz, że Ramsgate jest niepoczytalny?

Marcus skrzyżował ramiona.

– Ponad rok do niej nie napisałeś.

– Nieprawda.

– Prawda – powiedziała Honorcia, nie żeby któryś jej słuchał. W końcu zrozumiała. Nie będą jej słuchać. Nie kiedy się biją.

– Twoja matka była załamana – dodał Marcus.

– Nic na to nie poradzę – odgryzł się Daniel.

– Ja wychodzę – oznajmiła Honoria.

– Mogłeś do niej napisać.

– Do matki? Pisałem. Ani razu mi nie odpowiedziała.

– Wychodzę – powtórzyła Honoria, a oni stali teraz blisko siebie – nos w nos – i obrzucali się nawzajem epitetami i Bóg jeden wie, czym jeszcze. Wzruszyła ramionami. Przynajmniej nie chcieli już się pozabijać. Wszystko się ułoży. Już bywało, że się kłócili, i pewnie na tej kłótni też się nie skończy, ale musiała przyznać, że odrobinę, no może nawet dużo bardziej niż odrobinę schlebiali jej, że pobili się o nią. Nie tyle jej brat, ile Marcus...

Westchnęła, przypominając sobie dziki wyraz jego oczu, kiedy jej bronił. Kocha ją. Jeszcze tego nie powiedział, ale ją kocha i na pewno to powie. Wyjaśnił sobie z Danielem, co trzeba, a historia miłosna – historia jej miłości – skończy się happy endem. Pobiorą się i będą mieli całą gromadkę dzieci, dzięki którym stworzą szczęśliwą radosną rodzinę. Taką, jaką miała kiedyś. Taką, na jaką Marcus zawsze zasługiwał. I co tydzień będą jedli tartę z melasą.

Będzie wspaniale.

Ostatni raz spojrzała na mężczyzn, którzy nadal okładali się pięściami, ale, dzięki Bogu, nie tak mocno, jak przedtem. Może spokojnie dołączyć do gości. Ktoś musi powiedzieć matce, że Daniel wrócił.

– Dokąd poszła Honoria? – kilka minut później spytał Daniel.

Siedzieli obok siebie na podłodze oparci o ścianę. Marcus miał nogi podkulone, Daniel wyciągnięte przed siebie. Przestali się bić i w cichej zgodzie osunęli po ścianie i obolali nareszcie zrozumieli, co sobie nawzajem zrobili.

Marcus podniósł głowę i rozejrzał się wkoło.

– Pewnie wróciła na przyjęcie.

Miał wielką nadzieję, że Daniel nie poczuje już chęci do bijatyki, bo wątpił, czy starczy mu siły, żeby znowu się na niego rzucić.

– Wyglądasz strasznie – stwierdził Daniel. Marcus wzruszył ramionami.

– A ty jeszcze gorzej.

– Całowałaś ją – mruknął Daniel.

Marcus ze złością zmierzył go wzrokiem.

– I co?

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Nim walnąłeś mnie w brzuch, zamierzałem prosić cię o jej rękę.

Daniel zamrugął.

– Ooo.

– A jak, do diabła, mógłbym inaczej postąpić? Uwieść ją i rzucić wilkom na pożarcie?

Daniel zdrętwiał, a z oczu posypały mu się iskry wściekłości.

– I uwiod...

– Nie – przerwał mu Marcus i podniósł do góry rękę. – Nie zadawaj tego pytania.

Daniel ugryzł się w język, ale nadal podejrzliwie patrzył na Marcusa.

– Nie pytaj – powtórzył Marcus. Chwycił się za żuchwę. Ale boli. Zerknął na Daniela, który rozprostowywał palce i przyglądał się siniakom na kłykciach.

– A tak w ogóle, to witaj w domu.

Daniel spojrział na niego i uniósł brwi.

– Następnym razem daj znać, kiedy zamierzasz przyjechać.

Daniel chyba chciał odpowiedzieć, ale przewrócił tylko oczami.

– Matka przez trzy lata nie wypowiedziała twojego imienia –szepnął Marcus.

– Po co mi to mówisz?

– Bo wyjechałeś i...

– Nie miałem wyjścia.

– Mogłeś wrócić – zarzucił mu Marcus. – Wiesz, że...

– Nie – przerwał mu Daniel. – Ramsgate wynajął człowieka, który śledził mnie na kontynencie.

– Nie wiedziałem o tym.

– Nie szkodzi – westchnął Daniel i oparł głowę o ścianę. –Nie odpowiadała na moje listy.

Marcus podniósł wzrok.

– Matka – wyjaśnił Daniel. – Nie dziwi mnie, że nie wypowiedziała mojego imienia.

– Dla Honorii to było bardzo trudne – cicho stwierdził Marcus.

Daniel przełknął ślinę.

– Od kiedy wy, no...

– Dopiero od tej wiosny.

– Jak to się stało?

Marcus poczuł, że się uśmiecha. Połową ust, bo druga zaczynała mu puchnąć.

– Właściwie to nie wiem – przyznał.

Nie chciał opowiadać mu o kreciej dziurze, zwichniętej kostce, zakażeniu na nodze albo tarcie z melasą. To były tylko fakty. Nie wyrażały tego, co zaszło w jego sercu.

– Kochasz ją?

Marcus skinął głową.

– No to... – Daniel wzruszył ramionami.

Nie muszą mówić nic więcej. Są mężczyznami i tak już z nimi jest, pomyślał Marcus. Chciał wyciągnąć rękę i poklepać Daniela po nodze lub po plecach. Ale szturchnął go tylko łokciem w żebra.

– Cieszę się, że jesteś w domu – powiedział.

Daniel chwilę milczał.

– Ja też, Marcus. Ja też.

TTLRR

Honorcia zostawiła Marcusa i Daniela w korytarzu i cicho wślizgnęła się do pokoju prób. Był pusty, tak jak się spodziewała. Na podłodze widniała smuga światła od uchylonych drzwi do głównej sali. Honorcia po raz ostatni sprawdziła swoje odbicie w lustrze. Było ciemno, więc dobrze siebie nie widziała, ale uznała, że może się pokazać ludziom.

W sali było jeszcze sporo gości, więc Honorcia miała nadzieję, że nikt nie zauważył jej nieobecności, przynajmniej nikt spoza rodziny. Na środku sali królowała Daisy. Wszystkim, którzy jej chcieli słuchać, objaśniała konstrukcję swoich nowych skrzypiec Ruggieriego. Lady Winstead stała z boku. Sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej i zadowolonej. A Iris... znalazła się tuż przy Honorcii.

– Gdzie ty się podziewałaś? – syknęła.

– Źle się czułam – odparła Honorcia.

Iris parsknęła z niesmakiem.

– Za chwilę powiesz, że masz to samo, co Sarah.

– Hm, może.

– Marzę tylko o tym, żeby stąd wyjść, ale matka nie chce o tym słyszeć – westchnęła Iris.

– Przykro mi – powiedziała Honorcia. Trudno jej było okazywać prawdziwe współczucie, kiedy sama aż kipiała radością, ale starała się.

– Najgorsza jest Daisy – ze złością stwierdziła Iris. – Puszy się jak... Ojej, masz chyba krew na rękawie?

– Co? – Honorcia spojrzała na bufkę rękawa. No tak, plamka wielkości pensowej monety. Bóg jeden wie, czyja to krew. Kiedy odchodziła, obaj mężczyźni krwawili. – Hm, nie wiem, co to jest.

Iris zmarszczyła brwi i dokładnie przyjrzała się plamce.

– Moim zdaniem to krew.

– Zapewniam cię, że nie – skłamała Honoria.

– W takim razie...

– Co zrobiła Daisy? – szybko przerwała jej Honoria. A kiedy Iris tylko zamruwała, dodała: – Powiedziałas, że jest najgorsza.

– No tak. Nie musi nic konkretnego robić. Jest po prostu...

Przerwał jej głośny wybuch śmiechu. Daisy.

– Chyba się rozplaczę – oznajmiła Iris.

– Nie, Iris, nie ...

– Pozwól mi czuć się nieszczęśliwą – Iris nie pozwoliła jej dokończyć.

– Przepraszam – ze skruczą mruknęła Honoria.

– To był najbardziej upokarzający dzień w moim życiu. – Iris pokręciła głową z nieprzytomnym wyrazem twarzy. – Nie stać mnie na to, by jeszcze raz przez to przejść, Honorio. Mówię ci, nie stać. Nic mnie nie obchodzi, czy w rodzinie jest wiolonczelistka, która może mnie zastąpić. Więcej już nie zagram.

– Jeśli wyjdiesz za mąż...

– Dobrze o tym wiem – burknęła Iris. – Nie myśl, że nie brałam tego pod uwagę w zeszłym roku. Mało brakowało, a zgodziłabym się wyjść za lorda Venable'a tylko po to, żeby nie grać w kwartecie.

Honorio aż podskoczyła. Lord Venable mógłby być ich dziadkiem.

– Proszę, już więcej nie znikaj – wydusiła Iris. Gardło miała tak ściśnięte, że niemal szlochała. – Nie znoszę, kiedy ludzie do mnie podchodzą i chwają mój występ. Nie wiem, co powiedzieć.

– Obiecuję. – Honoria wzięła kuzynkę za rękę.

– Tutaj jesteś, Honorio! – Szybkim krokiem podeszła do niej mama. –  
Gdzież ty się podziewałaś?

Honorio odchrząknęła.

– Poszłam na górę na chwilę się położyć. Nagle całkiem opadłam z sił.

– No cóż, to był ciężki dzień – przyznała mama.

– Nie wiem, jak mi minął czas. Chyba zasnęłam – usprawiedliwiła się Honorio. Kto by pomyślał, że tak dobrze umie kłamać? Najpierw krew, a teraz to.

– Nic się nie stało – uspokoiła ją mama, a potem zwróciła się do Iris.

– Widziałaś pannę Wynter?

Iris pokręciła głową.

– Charlotte chciałyby już iść do domu, ale nigdzie nie może jej znaleźć.

– Pewnie poszła do garderoby – zasugerowała Iris.

– Nie byłaby tam aż tak długo – powątpiewała lady Winstead.

– Mamo, muszę z tobą porozmawiać – powiedziała Honorio, myśląc o Danielu.

– Nie teraz. – Lady Winstead pokręciła głową. – Zaczynam się martwić o pannę Wynter.

– Może też musiała się położyć.

– Pewnie tak. Mam nadzieję, że Charlotte da jej w tym tygodniu wolny dzień. – Lady Winstead lekko skinęła głową, jakby sama ze sobą się zgadzała.

– Pójdę teraz do niej i ją o to poproszę. Chociaż tyle możemy zrobić. Panna Wynter uratowała nasz koncert.

Honorio i Iris patrzyły, jak odchodzi.

– Zależy, jak rozumiemy słowo „ratunek” – mruknęła Iris. Honorio zachichotała i wzięła kuzynkę pod ramię.



– Chodź ze mną – zaproponowała. – Przejdziemy się po salonie i będziemy wyglądać na szczęśliwe i dumne z siebie.

– Za wiele ode mnie wymagasz, ale...

Przerwał jej głośny trzask. Może niedokładnie trzask. Coś jakby odgłos łamanego drewna, pęknięcia i brzdęknięcia.

– Co to było? – zapytała Iris.

– Nie wiem. Zupełnie jakby...

– Ojej, Honorio! – krzyknęła Daisy. – Twoje skrzypce!

– Co? – Honoria wolno podeszła do zbiegających się ludzi.

– O mój Boże – szepnęła Iris i zasłoniła dłonią usta. Drugą ręką przytrzymała Honorię, jakby chciała powiedzieć: lepiej nie patrz.

– Co się dzieje? Ja... – Honoria osłupiała.

– Lady Honorio! Bardzo mi przykro z powodu pani skrzypiec – mruknęła lady Danbury.

Honoria tylko mrugała, wpatrując się w roztrzaskane resztki swojego instrumentu. – Co? Jak?...

Lady Danbury kręciła głową z żalem, według Honorii przesadzonym.

– Nie mam pojęcia. Wszystko przez moją łaskę. Chyba zrzuciłam je ze stołu.

Honoria poczuła, że bezdźwięcznie otwiera i zamyka usta. Skrzypce wcale nie wyglądały, jakby spadły ze stołu. Szczerze mówiąc, nie potrafiła wyobrazić sobie, co musiało się wydarzyć, by znalazły się w takim stanie. Były kompletnie zniszczone. Pękła każda struna, poodrywały się całe kawałki drewna...

Wyglądały, jakby słoń je rozdeptał.

– Koniecznie muszę kupić pani nowe skrzypce – oznajmiła lady Danbury.

– O nie – pisnęła Honoria. – Nie trzeba.

– Co więcej – dodała lady Danbury, nie zwracając na nią uwagi – będzie to Ruggieri.

Daisy aż zatkanęło.

– Nie, naprawdę. – Honoria nie mogła oderwać wzroku od skrzypiec. Coś ją w nich intrygowało.

– To przeze mnie się zniszczyły – wyniośle stwierdziła lady Danbury i machnęła ręką, zwracając się bardziej do gapiów niż do samej Honorii. –I to ja muszę naprawić szkodę.

– Ale Ruggieri! – krzyknęła Daisy.

– Wiem, są bardzo drogie, lecz w takich sprawach zadośćuczynieniem może być tylko to, co najlepsze – oświadczyła lady Danbury i położyła rękę na sercu.

– Jest długa lista oczekujących. – Daisy pociągnęła nosem.

– Tak. Już przedtem to mówiłaś.

– Czekają sześć miesięcy. A nawet rok.

– Może jeszcze dłużej? – zapytała lady Danbury chyba rozbawiona.

– Nie potrzebuję drugich skrzypiec – powiedziała Honoria. I była to prawda. Wyjdzie za Marcusa. Już nigdy w życiu nie będzie musiała brać udziału w koncercie.

Oczywiście nie mogła tego nikomu powiedzieć.

Musiał się oświadczyć.

Ale to drobiazg. Była pewna, że to zrobi.

– Możesz grać na moich starych skrzypcach – zaproponowała Daisy. – Nie mam nic przeciwko temu.

Kiedy lady Danbury się z nią spierała, Honoria pochyliła się do Iris i, przyglądając się strzaskanym skrzypcom, powiedziała:

– Niesamowite. Jak ona to zrobiła?

– Nie wiem – odparła równie zdumiona Iris. – Laska to za mało. Jakby słoń je zdeptał.

– Pomyślałam dokładnie to samo! – westchnęła Honoria.

Spojrzały sobie w oczy i wybuchły śmiechem i to tak gwałtownym, że lady Danbury i Daisy przestały się spierać i popatrzyły na nie.

– Chyba coś z nią nie w porządku – powiedziała Daisy.

– Oczywiście, głuptasie. Przecież straciła skrzypce – sapnęła lady Danbury.

– Dzięki Bogu! – stwierdził ktoś, i to bardzo zdecydowanie.

Kto to? Honoria go nie poznawała. Modnie ubrany dżentelmen w średnim wieku z równie modną damą u boku. Przypominał jej rysunek, który przedstawiał Beau Brummela, najmodniejszego mężczyznę na świecie w czasach, kiedy jej siostry grały w kwartecie.

– Tej dziewczynie niepotrzebne są skrzypce – dodał. – Trzeba ją raczej związać, żeby już nigdy ich nie dotykała.

Kilka osób zachichotało. Inni wyglądali na skrepowanych.

Honoria nie wiedziała, co zrobić. W Londynie istniał niepisany zwyczaj, że choć można wyśmiewać się z koncertu Smythe–Smithówien, nigdy nie wolno tego robić w obecności kogoś z ich rodziny. Nawet w rubrykach towarzyskich nie pisano, jak dziewczęta straszliwie grają.

Gdzie jest mama? Albo ciocia Charlotte? Czy to słyszały? To je zabije.

– Proszę państwa – powiedział, zwracając się do gromadki ludzi, którzy się wokół niego zebrali. – Dlaczego nie mówimy prawdy? Grają strasznie, beznadziejnie.

Jeszcze kilkoro gości się roześmiało. Co prawda usta zasłonili dłońmi, ale jednak się śmiali.

Honorcia chciała coś powiedzieć, bronić swojej rodziny. Iris stała uczepiona jej ramienia, jakby miała zemdleć, a Daisy była w szoku.

– Błagam – dżentelmen zwrócił się bezpośrednio do Honorii. – Proszę nie przyjmować nowych skrzypiec od hrabiny. Proszę nawet nie dotykać skrzypiec. – Potem zachichotał, patrząc na swoją towarzyszkę, jakby uprzedzając ją: Czekaj, co teraz powiem. – Zęby bołą, kiedy pani gra. Ptaki przez panią płaczą. Ja też prawie płakałem.

– Jeszcze ja się chyba rozplaczę – odezwała się dama u jego boku. Dumna z siebie, w oczach miała iskry i z rozbawieniem spoglądała na zebranych.

Honorcia przełknęła ślinę i zamrugła, by powstrzymać łzy wściekłości. Zawsze myślała, że jeśli ktoś ją publicznie zaatakuje, odpowie druzgocącym dowcipem. Zrobi to z idealnym wyczuciem chwili; odetnie się z takim polotem, że jej oponent nie będzie miał wyboru i wycofa się z podkulonym ogonem.

Ale teraz, kiedy to się działo, była jak sparaliżowana. Potrafiła tylko w niego się wpatrywać. Ręce jej się trzęsły, a ona walczyła, żeby nie stracić panowania nad sobą. Później będzie wiedziała, jak należało ripostować, teraz jednak miała pustkę w głowie. Nie potrafiłaby sklecić zdania, nawet gdyby ktoś jej wręczył dzieła Szekspira.

Usłyszała, jak roześmiała się następna osoba, a potem jeszcze jedna. Ten straszny człowiek, którego nawet z nazwiska nie знаła, przyszedł do jej domu, obraził ją przy wszystkich, a teraz triumfuje. Nie miał racji z wielu powodów, oprócz najważniejszego. Naprawdę gra okropnie. Ale przecież ludzie powinni wiedzieć, że nie wolno tak się zachowywać. Ktoś chyba weźmie ją w obronę.

Nagle, wśród stłumionych śmiechów i syku szeptów, usłyszeli charakterystyczny odgłos butów stukających o drewnianą podłogę. Wolno, jak

uniesieni falą, zgromadzeni spojrzeli w stronę drzwi. Zobaczyli... (Honorcia jeszcze raz na nowo się zakochała) Marcusa, który zawsze chciał być drzewem w czasie przedstawień, który wołał wszystko robić cicho, gdzieś z boku. Marcusa, który nie znosił być w centrum uwagi...

Przyszedł urządzić wielką awanturę.

– Co do niej powiedziałaś? – zapytał ostro, idąc przez salę jak rozgniewany bóg. Posiniaczony i zakrwawiony zagniewany bóg. Rozwścieczony bóg. I jej zdaniem zdecydowanie był bogiem.

Dzientelmen, który stał naprzeciwko niej, aż podskoczył. Kilka innych osób również. Marcus wyglądał jak szaleniec.

– Co do niej powiedziałaś, Grimson? – powtórzył i podszedł do niego blisko.

Honorcia doznała olśnienia. To Basil Grimson. Kilka lat go nie było, ale w czasach, kiedy królował w salonach, słychać z brutalnego dowcipu. Jej siostry go nienawidziły.

Grimson zadarł brodę.

– Powiedziałem prawdę.

Jedna z dłoni Marcusa ułożyła się w pięść, którą oparł na drugiej, rozprostowanej.

– Nie będziesz pierwszym, kogo dzisiaj uderzę – oświadczył spokojnie.

Honorcia uważnie mu się przyjrzała. Wyglądał jak dzikus – włosy sterczały mu na wszystkie strony, podbite oczy błyszczały, a usta zaczynały puchnąć z lewej strony. Miał podartą, poplamioną krwią koszulę, a do surduta przyczepiło mu się... piórko.

Pomyślała, że jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała.

– Honorio – szepnęła Iris i mocno wbiła palce w jej ramię. Honoria tylko pokręciła głową. Nie chciała rozmawiać z Iris.

Nawet na sekundę nie chciała przestać patrzeć na Marcusa.

– Co do niej powiedziałaś? – znów spytał.

Grimson zwrócił się do zebranych.

– Trzeba go wyprowadzić. Gdzie jest pani tego domu?

– Tutaj. – Honoria zrobiła krok do przodu. Nie było to całkiem zgodne z prawdą, ale mamy nigdzie nie widziała, więc stwierdziła, że może ją zastąpić.

Ale kiedy spojrzała na Marcusa, zobaczyła, że kręci głową, więc bez słowa wróciła na swoje miejsce przy Iris.

– Jeśli nie przeprosisz lady Honorii, zabiję cię – zagroził głosem tak spokojnym, że aż przerażającym.

Wszyscy wstrzymali oddech; Daisy udała, że mdleje, teatralnie osunęła się na Iris, która odskoczyła i pozwoliła jej upaść na podłogę.

– Chwileczkę, nie dojdzie chyba do strzelaniny o świcie – obruszył się Grimson.

– Nie mówię o pojedynku – syknął Marcus. – Zabiję cię tu, w tym miejscu.

– Zwariowałeś – wydyszał Grimson.

Marcus wzruszył ramionami.

– Może.

Grimson spojrzał na swoją przyjaciółkę, na zebranych, a potem znów na przyjaciółkę. Nikt nie kwapił się z żadną radą, więc, jak typowy dandys, który boi się, że ktoś zmasakruje mu twarz, odchrząknął i zwrócił się do Honorii:

– Przepraszam, lady Honorio.

– Zrób to porządnie – warknął Marcus.

– Przepraszam – powtórzył Grimson, zaciskając szczęki.

– Grimson! – ostrzegł go Marcus.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny. – Wyglądał na zdruzgotanego, a przy tym rozwścieczonego, ale to powiedział.

– Dziękuję – odparła szybko, zanim Marcus zdążył postanowić, że nie uznaje i tych przeprosin.

– Teraz wyjdź – rozkazał.

– Nawet mi się nie śni zostawać. – Grimson pociągnął nosem.

– Zaraz ci przyłożę. – Marcus z niedowierzaniem pokręcił głową.

– To nie będzie konieczne – wtrąciła przyjaciółka Grimsona, zrobiła krok do przodu, chwyciła go za ramię i odciągnęła.

– Dziękuję za piękny wieczór – zwróciła się do Honorii. –Może być pani pewna, że jeśli ktoś mnie spyta, powiem, że minął spokojnie.

Honorii nadal nie wiedziała, kim jest ta kobieta, ale i tak skinęła głową.

– Dzięki Bogu, poszli – mruknął Marcus, kiedy drzwi się za nimi zamknęły. Rozcierał sobie kłykcie. – Naprawdę nie chciałem już nikogo bić. Twój brat ma twardy łeb.

Honorii poczuła, że się uśmiecha. Głupio śmiać się z takiego powodu, a jeszcze głupiej w takiej chwili. Daisy nadal leżała na podłodze i jęczała w swoim udawanym omdleniu, lady Danbury do każdego, kto na nią zwracał uwagę, burczała, że „nie ma co tu oglądać”, a Iris wciąż zasypywała Honorię pytaniami.

Ale Honorii nie słuchała Iris.

– Kocham cię – szepnęła, kiedy tylko Marcus na nią spojrział. Nie miała zamiaru mówić tego w tej chwili, lecz nie mogła się powstrzymać. – Kocham cię. Zawsze będę kochać.

Ktoś musiał ją usłyszeć i zapewne powiedział to komuś innemu, kto podał to dalej, bo zapadła cisza. Marcus znów znalazł się w centrum zainteresowania.

– A ja kocham ciebie – odparł stanowczo i wyraźnie. A potem, kiedy wpatrywała się w nich połowa londyńskiej socjety, wziął ją za rękę, uklęknął na kolano i powiedział:

– Lady Honorio Smythe–Smith, czy zrobisz mi zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Honorio usiłowała powiedzieć „tak”, ale gardło jej się zacisnęło, więc tylko skinęła głową. Tak szybko i mocno, że niemal straciła równowagę i... osunęła się w jego ramiona, kiedy wstawał.

– Tak – wydusiła w końcu. – Tak.

Iris powiedziała jej potem, że cała sala wiwatowała, ale Honorio tego nie słyszała. W tej wspaniałej chwili istnieli tylko oni dwoje. A kiedy Marcus opierał swój nos o jej nosek, widziała wyłącznie jego uśmiech.

– Miałem ci to powiedzieć, ale mnie uprzedziłaś.

– Nie chciałam, żeby tak było – przyznała.

– Czekałem na odpowiednią chwilę...

Stanął na palcach, pocałował go i tym razem usłyszała rozlegające się wokół okrzyki radości.

– To jest odpowiednia chwila – szepnęła.

Chyba się z nią zgodził, bo ją pocałował. Przy wszystkich.



## *Epilog*

Nie jestem pewny, czy z pierwszego rzędu widać najlepiej – powiedział Marcus, tęsknie spoglądając na puste krzesła. Na tegoroczny koncert Smythe-Smithówien przyjechali z Honorią dużo wcześniej. Upierała się, że tak trzeba, żeby na pewno udało im się zająć „najlepsze” miejsca.

– Rzecz nie w tym, żeby było dobrze widać, ale słyszać – odparła.

– Wiem – przyznał przygnębiony.

– A tak w ogóle, nie chodzi nawet o słuchanie, tylko o to, żeby im okazać wsparcie. – Z promiennym uśmiechem usiadła na miejscu, które wybrała: na samiułku śródku pierwszego rzędu. Marcus westchnął i zajął miejsce po jej prawej stronie.

– Wygodnie ci? – zapytał.

Honorია była w zaawansowanej ciąży, właściwie nie powinna już pokazywać się publicznie, ale stwierdziła, że koncert jest wyjątkiem. „To rodzinna tradycja”, powiedziała. Według niej, więcej nie trzeba było tłumaczyć.

A on za to ją kochał.

Dziwnie się czuł, mając rodzinę. Nie chodziło tylko o całe hordy Smythe-Smithów, których było tyle, że nadal nie mógł ich spamiętać. Każdej nocy, kiedy kładł się spać przy żonie, nie dowierzał, że naprawdę należy do niego. A on do niej. Są rodziną.

A wkrótce będzie ich trójka.

Niesamowite.

– Sarah i Iris wciąż narzekają, że muszą wystąpić. – Honoria powiedziała to szeptem, choć wkoło nie było żywej duszy.

– Kto przyszedł na twoje miejsce?

– Harriet. Młodsza siostra Sarah. Ma dopiero piętnaście lat, ale nikogo innego nie było.

Marcus chciał zapytać, czy Harriet dobrze gra, stwierdził jednak, że woli nie słyszeć odpowiedzi.

– W tym roku mamy w kwartecie dwie pary sióstr – zauważyła Honoria, jakby dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. – Ciekawe, czy tak już kiedykolwiek się zdarzyło.

– Twoja mama będzie to wiedziała.

– Albo ciocia Charlotte. Najlepiej zna historię rodziny. Ktoś przeszedł koło nich, żeby zająć miejsce w rogu, więc

Marcus się rozejrzał i stwierdził, że sala powoli się wypełnia.

– Bardzo się denerwuję – wyznała podniecona Honoria. – No wiesz, pierwszy raz jestem na widowni.

Zamrugął zmieszany.

– A te lata, kiedy jeszcze nie występowałaś?

– To co innego. – Spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć: Ty tego nie zrozumiesz. – Aha. Właśnie się zaczyna.

Marcus poklepał ją po dłoni, a potem wygodniej usadowił się na krześle, żeby przyjrzeć się, jak Iris, Sarah, Daisy i Harriet zajmują swoje miejsca. Wydawało mu się, że słyszał, jak Sarah jęknęła.

Zaczęły grać.

To było straszne.

Oczywiście wiedział, że będzie straszne. Zawsze było. Ale jego uszy zapomniały, jak straszne. A może w tym roku było gorzej niż przedtem. Harriet dwa razy upuściła smyczek, więc nie mogło być dobrze.

Spojrzał na Honorię pewny, że zobaczy na jej twarzy empatię. W końcu sama kiedyś występowała na scenie. Wiedziała, jak to jest, być tam i w tym uczestniczyć.

Ale Honoria wcale nie wyglądała na zatroskaną. Patrzyła na kuzynki z promiennym uśmiechem, prawie jak dumna mama, która pławi się w chwale swoich dzieci.

Dla pewności, że się nie myli, musiał jej się przyjrzeć dwa razy.

– Są wspaniałe – mruknęła i przechyliła głowę w jego stronę.

Oślupiał i aż otworzył usta. Co jej odpowiedzieć?

– Zrobiły wielki postęp – dodała.

Może i prawda. Jeśli tak, całe szczęście, że nie był na ich próbach.

Przez resztę koncertu przyglądał się Honorii. Promieniała, wzdychała, a raz położyła dłoń na sercu. A kiedy kuzynki odstawiły instrumenty (Sarah przewróciła oczami i podniosła palce znad klawiszy), pierwsza poderwała się i z całej siły klaskała.

– Ale będzie cudownie, kiedy nasze córki zagrają w kwartecie! – powiedziała do niego i głośno pocałowała go w policzek.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz szczerze mówiąc, nie bardzo wiedział co. Ale na pewno nie to, co w końcu wydusił, to znaczy:

– Nie mogę się doczekać.

Kiedy jednak tak stał z dłonią delikatnie opartą na ramieniu żony i słuchał paplaniny jej kuzynek, wzrok ześlizgnął mu się na jej brzuch, gdzie kształtowało się nowe życie. I stwierdził, że to prawda: naprawdę nie mógł się doczekać. Przyszłości przed nimi.

Nachylił się.

– Kocham cię – czule szepnął Honorii do ucha. Nie podniosła wzroku, ale się uśmiechnęła. On też się uśmiechnął.